

Harlan Coben

Błękitna krew

(Back spin)

Przełożył Andrzej Grabowski

Podziękowania

Kiedy autor pisze o czymś, co uwielbia tak, jak wsuwanie języka w wentylator (mowa o golfie), potrzebuje nie lada pomocy. W związku z tym pragnę podziękować następującym osobom: Jamesowi Bradbeerowi Młodszemu, Peterowi Roismanowi, Maggie Griffin, Craigowi Cobenowi, Larry'emu Cobenowi, Jacobowi Hqye'owi, Lisie Erbach Vance, Frankowi Snyderowi, zarządowi rec.sports.golf, Knitwit, Sparkle Hayter, Anicie Meyer, licznym golfistom, którzy uraczyli mnie błyskotliwymi opowieściami (flaki z olejem), i oczywiście Dave'owi Boltowi. Choć Otwarte Mistrzostwa Stanów w golfie są autentycznym turniejem, a Merion prawdziwym klubem golfowym, książka ta jest fikcją literacką. Pozwoliłem sobie połączyć w niej różne miejsca, turnieje et cetera. Jak zwykle wszelkie błędy – rzeczowe i pozostałe – są sprawką wyżej wymienionych. Autor jest bez winy.

Rozdział 1

Przez kartonowy peryskop Myron Bolitar patrzył na gęstą ciżbę pociesznie ubranych widzów. Kiedy po raz ostatni korzystał z tej zabawki? Przypomniał sobie, jak wysyłał pieczęcie z pudełek po chrupkach śniadaniowych Cap'n Crunch. Wspomnienie to stanęło mu przed oczami niczym czarne plamki od patrzenia w słońce, po których boli głowa.

Obserwował w lusterku mężczyzn w pumpach – w pumpach, litości! – stojących nad małą białą kulką. Maniacy w pociesznych strojach mamrotali podekscytowani. Myron stłumił ziewnięcie. Mężczyzna w pumpach przykucnął. Po krótkiej przepychance wśród śmiesznie odzianego mrowia zaległa niesamowita cisza. Wszystko zamarło, tak jakby nawet drzewa, krzewy i starannie przystrzyżone żdźbła trawy wstrzymały pospołu oddech.

A potem ten w pumpach walnął w białą kulkę kijem.

Tłum zaszemrał sylabami niezrozumiałymi jak przekomarzanki dochodzące zza sceny w teatrze. Piłeczka wzbijała się w powietrze, pomruki się natężyły. Można już było rozróżnić słowa, a zaraz potem zdania: „Wyborne zagranie”, „Super uderzenie”, „Przepięknie strzelił”, „Kapitalnie kropnął”.

– Panie Bolitar?

Myron odjął peryskop od oczu. Z chęcią zawołałby „Peryskop w górę!”, gdyby nie obawa, że w snobistycznym dostojnym Klubie Golfowym Merion uznają to za dziecinadę. Szczególnie podczas Otwartych Mistrzostw Stanów. Spojrzał na rumianego jegomościa koło siedemdziesiątki.

– Pańskie spodnie – powiedział.

– Słucham?

– Boi się pan wpaść pod wózek golfowy? Pomarańczowo-żółte portki miały odcień o ton jaskrawszy od wybuchającej supernowej, ale ich właściciel bynajmniej nie wyróżniał się strojem. Większość widzów obudziła się widząc z dylematem, w co się odziać, by pasowało do otoczenia jak pięść do nosa. Wielu wybrało oranże i zielenie, jakimi świecą najtandetniejsze neony. Dużym powodzeniem cieszył się też kolor żółty oraz dziwne odcienie fioletu, najczęściej w zestawieniach odrzuconych przez wszystkie pomponiarki ze szkół średnich na Środkowym Zachodzie. Czyżby kogoś tak zakłuło w oczy stworzone przez Boga naturalne piękno, że postanowił je zespecić? A może zadziałał tu inny mechanizm? Może owa papuzia konfekcja miała bardziej praktyczne źródło? Może w czasach, gdy zwierzęta biegały wolno, golfiści odstraszaali ciuchami dziką faunę? Niezła teoria.

– Musimy porozmawiać – szepnął starszy pan. – W pilnej sprawie.

Jowialna krągłość jego policzków przeczyła błagalnemu spojrzeniu.

– Proszę – dodał, chwytając Myrona za rękę.

– O co chodzi?

Nieznajomy poruszył szyją, jakby uwierał go ciasny kołnierzyk.

– Jest pan agentem sportowym, prawda?

– Tak.

– Jest pan tu, żeby zdobyć klientów.

Myron zmrużył oczy.

– Skąd pan wie, że nie podziwiam fascynującego spektaklu, jakim są spacerujący dorośli?

Starszy pan nie uśmiechnął się, ale przecież golfiarze nie słyną z poczucia humoru. Znów poruszył szyją i przysunął się bliżej.

– Mówi panu coś nazwisko Coldren? – spytał schrypłym szeptem.

– Oczywiście – odparł Myron.

Gdyby zadano mu to pytanie wczoraj, nie wiedziałby, o kim mowa. Golfem interesował się średnio, a przez minione dwadzieścia lat Jack Coldren był graczem co najwyżej przeciętnym. Jed-

nak po pierwszym dniu Otwartych Mistrzostw Stanów, na parę dołków przed końcem drugiej rundy, nieoczekiwanie wyprzedzał stawkę o imponujące osiem punktów.

– A czy wie pan, kim jest Linda Coldren?

To pytanie było łatwiejsze. Linda, żona Jacka Coldrena, od dziesięciu lat dominowała w światowym golfie kobiecym.

– Tak.

Nieznajomy pochylił się i znów poruszył szyją. Nie dość że irytująco, to zaraźliwie. Myron musiał walczyć z pokusą, żeby go zmałpować.

– Są w poważnych kłopotach – szepnął mężczyzna. – Jeżeli im pan pomoże, zyska nowych klientów.

– Jakich kłopotach?

Starszy pan rozejrzał się.

– Tu jest za dużo ludzi – rzekł. – Proszę ze mną. Czemu nie.

Myron wzruszył ramionami.

Odkąd zaciągnął go tu przyjaciel i partner w interesach, Windsor Horne Lockwood Trzeci, w skrócie Win, ten staruszek był pierwszą osobą, z którą nawiązał kontakt. Ponieważ turniej rozgrywano w Merion – macierzystym polu golfowym rodu Lockwoodów od jakiegoś miliarda lat – Win uznał, że to świetna okazja do zdobycia kilku doborowych klientów. Myron miał w tej mierze nieco inne zdanie. Od hord agentów sportowych, rojących się na zielonych łąkach klubu golfowego na podobieństwo szarańczy, odróżniała go, jak sądził, jawna niechęć do golfa, co nie stanowiło najlepszej reklamy w oczach wyznawców tego sportu. Myron Bolitar prowadził, mieszcząc się przy Park Avenue w Nowym Jorku, agencję RepSport MB. Jej powierzchnię dzierżawił od dawnego współlokatora z akademika, Wina, wielkiego bankiera inwestycyjnego, białego bogacza z dziada pradziada, do którego rodziny należała, mająca siedzibę na tejże Park Avenue, firma Lock-Horne Securities. Myron negocjował umowy ze sportowcami, Win, jeden z najbardziej szanowanych maklerów w kraju, zawiadywał ich finansami i inwestował pieniądze, resztą zaś zajmował się trzeci filar zespołu MB, Esperanza Diaz. Szli więc – cóż za patriotyzm – za chwalebny przykład trójpodziału demokratycznej amerykańskiej władzy.

Slogan reklamowy: Wybierz RepSport MB – konkurenci to kryptokomuszki.

Kiedy starszy pan prowadził Myrona wśród tłumu, kilku mężczyzn w zielonych marynarkach – modnych głównie na polach golfowych (jako strój maskujący na tle trawy?) – pozdrowiło go szeptami: „Moje uszanowanie, Bucky”, „Świetnie wyglądasz, Buckster”, „Doskonała pogoda na golfa, Buckaroo”. Ich wymowa zdradzała, że skończyli prywatne szkoły i są bogaczami, dla których „zima” i „lato” to czasowniki. Myron już miał zrobić uwagę o nazywaniu dorosłego mężczyzny „Bucky”, lecz kiedy masz na imię Myron... nie śmiejesz się dziadku z cudzego wypadku.

Jak wszystkie imprezy sportowe w wolnym świecie, także i ta przypominała bardziej gigantyczny billboard niż arenę zmagania. Sponsorem głównej tablicy była IBM. Canon rozdawał kartonowe peryskopy. Pracownicy American Airlines obsługiwali stoiska z gastronomią. (Linie lotnicze handlujące żywnością? Co za geniusze to wymyślili?). Aleję Korporacyjną zapełniały firmy, które buliły powyżej stu tysięcy od łebka za rozstawienie na kilka dni namiotu, głównie po to, by swoim dyrektorom stworzyć pretekst do obejrzenia turnieju. Travelers Group, Mass Mutual, Aetna (golfiści kochają się ubezpieczać?), Canon, Heublein. Heublein? Co za czort? Wyglądali na miłą firmę. Pewnie kupiłby jej produkty, gdyby wiedział, co sprzedają.

Najzabawniejsze, że na Otwartych Mistrzostwach Stanów było mniej komercji i reklam niż na innych zawodach golfowych. Na razie bowiem nikomu nie przehandlowano tej nazwy. Nazwy innych turniejów, opatrzone nazwiskami sponsorów, brzmiały cokolwiek głupio. Komu by się chciało ruszyć tyłek, żeby wygrać turniej Otwarty JC Penney, Otwartego Micheloba, a nawet Trzyrundowy Challenge Wendy's.

Starszy pan zaprowadził go na parking dla wybranych. Z mercedesami, cadillacami, limuzynami. Wśród nich stał jaguar Wina. Amerykański Związek Golfa umieścił tam niedawno tablicę z napisem PARKING TYLKO DLA CZŁONKÓW.

– Pan jest członkiem klubu Merion – domyślił się Myron, mistrz dedukcji.

Starszy pan odpowiedział ruchem szyi, bliskim skinięciu głową.

– Moja rodzina wywodzi się z czasów, kiedy powstał Merion – odparł z jeszcze wyraźniejszym snobistycznym akcentem. – Tak jak rodzina pańskiego przyjaciela Wina.

Myron spojrzał na niego bacznie.

– Pan zna Wina? – spytał.

Jego rozmówca uśmiechnął się błado i niezobowiązująco wzruszył ramionami.

– Jeszcze mi się pan nie przedstawił.

– Stone Buckwell. – Starszy pan wyciągnął rękę. – Wszyscy mówią mi Bucky.

Myron uścisnął mu dłoń.

– Jestem ojcem Lindy Coldren.

Bucky otworzył błękitnego cadillaca i wsiedli. Włożył kluczyk do stacyjki. Z radia lała się muzyczka, co gorsza syntetyczna wersja Raindrops Keep Falling on My Head. Myron natychmiast otworzył okno, żeby wpuścić trochę powietrza i dużą dawkę normalnego hałasu.

Na terenie klubu mogli parkować tylko jego członkowie, więc nie mieli kłopotów z wydosztaniem się z Merion. Na końcu ulicy skręcili w prawo, a potem jeszcze raz w prawo. Bucky na szczęście zgasił radio. Myron cofnął głowę do wnętrza.

– Co pan wie o mojej córce i jej mężu? – spytał Bucky.

– Niewiele.

– Nie jest pan wielbicielem golfa, co?

– Nie przepadam.

– To naprawdę wspaniały sport. Chociaż słowo „sport” nie oddaje golfowi sprawiedliwości.

– Mhm.

– To gra książęca. – Rumiana twarz Stone’a Buckwella rozjaśniła się, w jego oczach rozbłysła ekstaza, jaką widzi się tylko u ludzi głębokiej wiary, a w ściszym głosie zabrzmiał nabożny podziw. – Niezrównana. Człowiek toczy samotny pojedynek z polem. Nie ma na kogo zwalić winy. Nie ma kolegów z drużyny. Wyzwisk. Golf to najszlachetniejsza z gier.

– Mhm – mruknął ponownie Myron. – Przepraszam, panie Buckwell, nie chciałbym wyjść na gbura, ale o co właściwie chodzi?

– Proszę mi mówić Bucky.

– Dobrze. Bucky.

Starszy dżentelmen skinął z aprobatą głową.

– Podobno pan i Windsor Lockwood jesteście więcej niż tylko współnikami w interesach.

– To znaczy?

– Słyszałem, że znacie się od dawna. Na studiach dzieliliście pokój, zgadza się?

– Dlaczego pyta pan o Wina?

– Wpadłem do klubu go odszukać. Ale sądzę, że tak jest lepiej.

– Jak?

– Że od razu trafiłem na pana. Może kiedy... no cóż, zobaczymy. Nie obiecuję sobie za wiele.

Myron skinął głową.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

Bucky skręcił w sąsiadującą z polem golfowym ulicę Golf House Road. Golfiarze to ludzie z wyobraźnią.

Po prawej było pole golfowe, po lewej okazałe rezydencje. Minutę później Bucky wjechał na kolisty podjazd prowadzący do dużego domu, zbudowanego z kamienia zwanego „rzecznym”.

Kamień rzeczny był w tych stronach niebywale modnym budulcem, Win nazywał go „brukowcem filadelfijskim”. Budynku z dużym gankiem, zamkniętym z prawej strony, strzegł biały płot, masa tulipanów i dwa klony po bokach chodnika. Cadillac zatrzymał się. Przez chwilę obaj siedzieli bez ruchu.

– A więc o co chodzi, panie Buckwell? – zagadnął Myron.

– Mamy zmartwienie.

– Jakie zmartwienie?

– Wolałbym, żeby wyjaśniła to panu córka. Bucky wyjął kluczyk ze stacyjki i sięgnął do klamki.

– Dlaczego zwróciliście się do mnie? – spytał Myron.

– Powiedziano nam, że pan może pomóc.

– Kto?

Stone Buckwell znowu wprawił szyję w szybszy ruch. Kiedy wreszcie zatrzymał latającą jak na luźnym łożysku głowę, udało mu się spojrzeć Myronowi w oczy.

– Matka Wina.

Myron zeszytywniał. Serce zjechało mu nagle w ciemny szyb. Otworzył usta, zamknął je i czekał. Starszy pan wysiadł z samochodu i ruszył do wejścia. Po dziesięciu sekundach Myron podążył za nim.

– Win nie pomoże – powiedział.

Buckwell skinął głową.

– Właśnie dlatego zwróciłem się z tym do pana. Podeszli ceglanym chodnikiem do uchylonych drzwi. Buckwell pchnął je lekko.

– Linda?

Linda Coldren, wysoka brunetka z krótkimi sprężystymi włosami, stała przed telewizorem. Białe szorty i żółta bluzka bez rękawów odsłaniały jej gibkie, wysportowane nogi i ręce o gładkich, długich mięśniach, które uwydatniała opalenizna. Zmarszczki przy oczach i ustach świadczyły, że kobieta ma pod czterdziestkę, ale Myron od razu zrozumiał, dlaczego jest ulubienicą reklamodawców. Była w niej drapieżna kobiecość, piękno płynące nie tyle z subtelności, co siły.

Śledziła transmisję z turnieju. Na telewizorze stały rodzinne zdjęcia w ramkach. Kąt pokoju zajmowały obłożone poduchami duże kanapy ustawione w kształt litery V. Dyskretny wystrój jak na golfistów. Bez trawiastej wykładziny. Bez dołka. Bez golfowych ozdóbek, estetycznie stojących o parę klas niżej od, na przykład oleodruków z psami grającymi w pokera. Bez kubka z kołeczkiem i piłeczką, zwieszającego się z łopata łosia.

Linda Coldren zniemacka strzeliła okiem w ich stronę, omijając Myrona i trafiając w ojca.

– Pojechałeś po Jacka – wypaliła.

– Nie skończył rundy – usprawiedliwił się Bucky.

– Zalicza osiemnasty dołek. – Skinęła w stronę telewizora. – Sądziłam, że na niego zaczekasz.

– Przywiozłem za to pana Bolitara.

– Kogo?

– Myron Bolitar – przedstawił się z uśmiechem Myron, robiąc krok do przodu.

Linda Coldren zerknęła na niego i spojrzała na ojca.

– Kto to jest?

– Poleciała mi go Cissy – odparł Bucky.

– Jaka Cissy? – spytał Myron.

– Matka Wina.

– Aha, rzeczywiście.

– Co on tutaj robi? Pozbądź się go.

– Lindo, posłuchaj! Potrzebujemy pomocy.

- Nie od niego.
- Pan i Win mają doświadczenie w takich sprawach.
- Win to psychol – wycedziła.

– O, a więc pani dobrze go zna – wtrącił Myron.

Linda Coldren wreszcie go zauważyła.

– Nie zamieniłam z nim słowa, odkąd skończył osiem lat – odparła, mierząc go piwnymi, głęboko osadzonymi oczami. – Ale nie trzeba skakać do piekła, żeby wiedzieć, że jest tam gorąco.

– Ładne porównanie – pochwalił Myron.

Pokręciła głową i zwróciła się do ojca.

– Powiedziałam wyraźnie: żadnej policji. Spełnimy ich żądania.

– Ale pan nie jest z policji.

– Nie powinienś mówić nikomu.

– Powiedziałem tylko siostrze – zaprotestował Bucky. – A ona nic nie powie.

Myron znów poczuł, jak sztywnieje.

– Chwileczkę – rzekł do Bucky'ego. – Pańska siostra jest matką Wina?

– Tak.

– Pan jest wujem Wina, a pani jego wujeczną siostrą?

Linda Coldren obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby nasikał na podłogę.

– Co za inteligencja – zadryła. – Dobrze, że jest pan po naszej stronie.

Świat roi się od kpiarzy.

– Gdyby to nie rozwiało pańskich wątpliwości, mogę wyrysować nasze drzewo genealogiczne.

– Byle w żywych kolorach. Bardzo je lubię. Skrzywiła się i odwróciła do telewizora. Jack Coldren ustawił się do kończącego strzału z odległości trzech i pół metra. Uderzył. Piłeczka zatoczyła łuk i wpadła do dołka. Widownia nagrodziła to brawkami. Gracz wyjął dwoma palcami piłkę i uchylił kapelusza. Na ekranie pojawiła się tablica IBM. Jack prowadził ogromną przewagą dziewięciu punktów.

– Biedak.

Linda Coldren pokręciła głową. Myron nie odezwał się. Bucky również.

– Czekał na to dwadzieścia trzy lata – dodała. – Wreszcie sobie odbija.

Myron popatrzył na Bucky'ego. Bucky odpowiedział mu spojrzeniem i potrząsnął głową.

Linda, która wpatrywała się w ekran, dopóki jej mąż nie zszedł z pola, wzięła głęboki oddech i odwróciła się do Myrona.

– Jack jeszcze nie wygrał zawodowego turnieju, panie Bolitar. Najbliżej zwycięstwa był jako dziewiętnastolatek, w swoim pierwszym sezonie w gronie zawodowców. Właśnie wtedy po raz ostatni rozegrano w Merion Otwarte Mistrzostwa Stanów. Może pamięta pan nagłówki.

Znał w skrócie tę historię. Odgrzały ją poranne gazety.

– Stracił prowadzenie, tak?

Linda Coldren prychnęła kpiąco.

– Łagodnie mówiąc – odparła. – Od tej chwili zaczęło mu iść jak po grudzie. Zdarzały się lata, że nie załapywał się do turniejów.

– Wybrał świetny moment, żeby się odkuć. Otwarte Mistrzostwa Stanów.

Popatrzyła na niego jakoś dziwnie i splotła ręce pod piersiami.

– Gdzieś słyszałam pańskie nazwisko. Czy nie grał pan w koszykówkę?

– Owszem.

– W akademickiej lidze Wybrzeża Wschodniego. W drużynie uniwersytetu Karoliny Północnej?

– Uniwersytetu Duke'a – sprostował.

– Tak, Duke'a. Już pamiętam. Po naborze do NBA rozwalił pan kolano.

Myron wolno skinął głową.

– To był koniec pańskiej kariery, prawda?

Ponownie skinął głową.

– Ciężko pan to przeżył.

Nie odpowiedział. Machnęła ręką.

– To, co pana spotkało, ma się nijak do losu Jacka.

– To znaczy?

– Odniósł pan kontuzję. Na pewno dużo przeżył, ale nie z własnej winy. A Jack na osiem dołków przed zakończeniem turnieju miał sześć punktów przewagi. Zdaje pan sobie sprawę, co to znaczy? To tak, jakby na minutę przed końcem decydującego meczu o mistrzostwo NBA prowadzić dziesięcioma punktami. To tak, jakby w ostatnich sekundach spotkania zepsuć stuprocentowy wsad decydujący o mistrzostwie. Jack kompletnie się zmienił. Już się nie pozbierał. Resztę życia spędził, czekając na okazję do zmazania tej plamy.

Spojrzała na ekran. Znów pokazano tablicę wyników. Jack Coldren zachował dziewięciopunktową przewagę.

– Jeżeli znowu przegra...

Nie dokończyła zdania. Stali w milczeniu. Linda wpatrywała się w telewizor. Bucky, bliski łez, wyciągał szyję, drżała mu twarz, oczy miał wilgotne.

– Co się stało, Lindo? – spytał Myron.

– Nasz syn... Ktoś porwał naszego syna.

Rozdział 2

– Nie powinnam panu o tym mówić – powiedziała Linda Coldren. – Zagroził, że go zabije.

– Kto?

Linda Coldren wzięła kilka głębokich oddechów, jak dziecko przed skokiem z trampoliny. Myron czekał. „Skoczyła” po kilku dobrych chwilach.

– Zadzwoił dziś rano – zaczęła, wędrując wielkimi, chabrowymi, szeroko rozwartymi oczami po całym pokoju i nie zatrzymując ich nigdzie dłużej niż na sekundę. – Oświadczył, że ma mojego syna. Ostrzegł, że jeżeli zawiadomię policję, zabije go.

– Powiedział coś więcej?

– Tylko tyle, że następnym razem poda instrukcje.

– To wszystko?

Skinęła głową.

– O której był ten telefon?

– Dziewiąta, wpół do dziesiątej.

Myron podszedł do telewizora i wziął fotografię w ramkach.

– Czy to aktualne zdjęcie syna? – spytał.

– Tak.

– Ile ma lat?

– Szesnaście. A na imię Chad.

Myron przyjrzał się zdjęciu. Pucowałoby jak jego ojciec, uśmiechnięty nastolatek w baseballówce z daszkiem wywinętym zgodnie z młodzieżową modą mrużył oczy, jakby patrzył pod słońce, a na ramieniu – dumnie niczym karabin z bagnetem – opierał kij golfowy. Myron wpatrywał się w jego rysy. Szukał w nich wskazówki, nietuzinkowego wyjaśnienia? Nie znalazł.

– Kiedy pani spostrzegła, że syn zniknął? – spytał.

Linda Coldren zerknęła szybko na ojca i wyprostowała się, z głową uniesioną wysoko, jakby szykowała się na przyjęcie ciosu.

– Chada nie ma od dwóch dni – odparła wolno.

– Od dwóch dni? – zdziwił się Myron.

– Tak.

– Jak mam rozumieć „nie ma”?

– Dosłownie. Nie widziałam go od środy.

– Ale porywacz zadzwonił dzisiaj?

– Tak.

Już miał coś powiedzieć, lecz urwał i złagodził ton. Traktuj ją w rękawiczkach, Myron. W rękawiczkach, przykazał sobie.

– Wiedziała pani, gdzie jest syn?

– Sądziłam, że u kolegi, u Matthew – odparła Linda Coldren.

Skinęła głową raz i drugi, jakby jej odpowiedź była porażająco wnikliwa.

– Tak pani powiedział Chad?

– Nie.

– A więc – rzekł niby od niechcienia – przez dwa dni nie wiedziała pani, gdzie jest syn.

– Już mówiłam: byłam pewna, że jest u Matthew.

– Nie powiadomiła pani policji.

– Skądże.

Myron już miał zadać kolejne pytanie, ale jej postawa kazała mu je przemyśleć. Wykorzystując jego niezdecydowanie, wyprostowana jak struna Linda z płynną gracją ruszyła w stronę kuchni. Podążył za nią. A za nimi Bucky, który pewnie ocknął się z transu.

– Chcę się upewnić, czy dobrze zrozumiałem – spróbował z innej strony Myron. – Chad zniknął przed turniejem?

– Tak – potwierdziła Linda. – Mistrzostwa rozpoczęły się w czwartek. – Pociągnęła za uchwyt na lodówce. Drzwiczki otworzyły się z cmoknięciem. – A dlaczego pan pyta? Czy to ważne?

– Wyklucza pewien motyw.

– Jaki?

– Chęć wpłynięcia na wynik turnieju. Gdyby Chad zniknął dzisiaj, to przy tak wielkiej przewadze pani męża nad konkurentami można by podejrzewać, że ktoś chce mu przeszkodzić w wygranej. Jednak dwa dni temu, przed rozpoczęciem mistrzostw...

– Nikt nie dałby Jackowi cienia szans – dokończyła za niego Linda. – Bukmacherzy oceniali je w najlepszym razie jak jeden do pięciu tysięcy. – Skinęła głową, zgadzając się z tą oceną. – Napije się pan lemoniady?

– Nie, dziękuję.

– Tato?

Bucky odmówił, kręcąc głową. Linda Coldren zajrzała do lodówki.

– No, dobrze. – Myron klasnął w dłonie, siląc się na swobodny ton. – Wykluczaliśmy jedną możliwość. Sprawdźmy inną.

Linda Coldren znieruchomiała, utkwivszy w nim baczne spojrzenie. W ręce bez wysiłku trzymała czterolitrowy szklany dzbanek z lemoniadą. Myron zastanawiał się, jak to rozegrać. Zadanie nie było łatwe.

– Czy syn byłby zdolny do takiej intrygi? – spytał.

– Słucham?

– W tych okolicznościach to oczywiste pytanie. Postawiła dzbanek na drewnianej podstawie.

– Co pan sugeruje?! Że Chad sam się porwał?

– Tego nie powiedziałem. Chciałem sprawdzić, czy to możliwe.

– Proszę wyjść.

– Choć nie było go dwa dni, nie zawiadomiła pani policji. Można z tego wnioskować, że w domu doszło do konfliktu. I że nie jest to pierwsza ucieczka Chada.

– Albo też dojść do wniosku – Linda Coldren zacisnęła dłonie w pięści – że obdarzyliśmy syna zaufaniem, zapewniając mu swobodę zgodną z jego dojrzałością i odpowiedzialnością.

Myron zerknął na Bucky'ego. Ten głowę miał spuszczoną. – Skoro tak się sprawy mają...

– Tak się mają! – ucieła.

– A czy odpowiedzialne dzieci nie informują rodziców, dokąd idą? Żeby się nie martwili?

Linda Coldren wzięła szklankę. Z przesadnym pietyzmem postawiła ją na blacie i powoli napełniła lemoniadą.

– Chad nauczył się samodzielności – powiedziała. – Jego ojciec i ja gramy zawodowo w golfa. Co, szczerze mówiąc, oznacza, że oboje rzadko bywamy w domu.

– I wasza nieobecność nie doprowadziła do konfliktu?

– To bez sensu.

Linda Coldren pokręciła głową.

– Ja tylko...

– Panie Bolitar, Chad sam się nie porwał. Owszem, jest nastolatkiem. Nie jest ideałem, podobnie jak jego rodzice. Ale nie sfingował porwania. Załóżmy jednak teoretycznie, że to zrobił, chociaż wiem, że nie. Jeśli tak, to jest bezpieczny i pańska pomoc nie jest nam potrzebna. Wkrótce się dowiemy, czy to okrutny żart. Jeśli jednak mojemu synowi coś grozi, szkoda mi czasu na pańskie domysły.

Myron skinął głową. Miała rację.

– Rozumiem – rzekł.

– To dobrze.

– Czy po telefonie porywacza zadzwoniła pani do kolegi syna? Tego, u którego mógł przebywać?

– Do Matthew Squiresa. Tak.

– Nie domyślał się, gdzie jest Chad?

– Nie miał pojęcia.

– Przyjaźnią się, czy tak?

– Tak.

– Bardzo blisko?

Zmarszczyła brwi.

– Tak.

– Matthew często do niego dzwoni?

– Tak. Kontaktują się też przez Internet.

– Jaki jest numer jego telefonu?

– Powiedziałam przecież, że z nim rozmawiałam.

– Mimo to proszę o podanie – odparł. – Cofnijmy się jednak na moment. Kiedy ostatni raz widziała pani syna?

– W dniu zniknięcia.

– Co się stało?

– Jak to, co się stało? – Ponownie zmarszczyła brwi. – Pojechał na letnią szkołę. Więcej go nie widziałam.

Myron przyjrzał się jej. Milczała, przyglądając się mu nazbyt uporczywie. Coś się tu nie zgadzało.

– Zadzwoniła pani do szkoły i sprawdziła, czy dojechał?

– Nie pomyślałam o tym.

Myron zerkał na zegarek. Piąta po południu. Piątek.

– Wątpię, czy kogoś tam zastanę, ale spróbuję. W domu jest więcej telefonów?

– Tak.

– Niech pani nie korzysta z tego, na który zadzwonił porywacz. Niech ta linia będzie stale wolna.

Skinęła głową.

– Dobrze.

– Czy syn ma karty kredytowe, bankomatowe lub podobne?

– Tak.

– Poproszę o ich wykaz. I numery, jeśli je pani zna.

Ponownie skinęła głową.

– Skontaktuję się ze znajomą, sprawdzę, czy da się podłączyć do tej linii identyfikator numeru dzwoniącego. Żeby go namierzyć, gdy zadzwoni. Chad, jak słyszałem, ma komputer.

– Tak.

– Gdzie stoi?

– W jego pokoju.

– Prześlę do mojego biura wszystko, co jest na dysku. Moja asystentka, Esperanza, dokładnie to zbada. Może coś znajdzie.

– Na przykład?

– Słowo daję, nie wiem. E–maile. Korespondencję. Strony internetowe. Fora, w których uczestniczył. Cokolwiek, co może dostarczyć wskazówek. To nie praca naukowa. Sprawdza się dostępne informacje, licząc, że na coś się trafi.

– Dobrze – zgodziła się Linda Coldren po chwili.

– A pani ma jakichś wrogów?

Na jej twarzy pojawił się półuśmiech.

– Bez liku – odparła. – Jestem czołową golfistką świata.

– Czy kogoś z nich byłoby stać na coś takiego?

– Nie. Nikogo.

– No, a pani mąż? Czy któryś z jego wrogów mógłby go nienawidzić aż tak?

– Jacka? – Zmusiła się do śmiechu. – Jego wszyscy kochają.

– To znaczy?

Potrząsnęła głową i tylko machnęła ręką.

Myron zadał jeszcze kilka pytań, ale niewiele więcej mógł z niej wydobyć. Spytał, czy może wejść na górę do pokoju Chada. Zaprowadziła go po schodach.

Tuż po otwarciu drzwi w oczy rzuciły mu się trofea. Mnóstwo. Wszystkie związane z golfem. Wszystkie zwieńczone brązową figurką mężczyzny z wysoko uniesioną głową, ciałem skręconym tuż po uderzeniu piłki i kijem golfowym nad ramieniem. Niektórzy z miniaturowych golfiarzy nosili czapki do golfa. Część miała krótkie, faliste włosy jak futbolista Paul Horaung na starych kronikach sportowych. W prawym kącie stały dwa skórzane worki, wypchane ponad miarę kijami golfowymi. Ściany były pokryte zdjęciami Jacka Nicklause, Arnolda Palmera, Sama Sneada, Toma Watsona, a podłogę zaścielały numery miesięcznika „Golf Digest”.

– Chad gra w golfa? – spytał.

Linda Coldren spojrzała na niego wymownie. Napotkał jej wzrok i mądrze skinął głową.

– Moja genialna dedukcja niektórych onieśmiela – dodał. Niemal się uśmiechnęła. Rozbrajający Myron Bolitar, mistrz łagodzenia napięcia.

– Mnie nie – odparła.

– Jest dobry?

– Bardzo dobry. – Raptem się odwróciła i stanęła plecami do niego. – Coś jeszcze panu potrzeba?

– Nie w tej chwili.

– Będę na dole.

Zostawiła go.

– Wszedł do środka. Sprawdził sekretarkę Chada. Były na niej trzy nagrania. Dwa razy nagrała się mu Becky, jak można sądzić, jego dobra przyjaciółka. Zadzwoiła, żeby powiedzieć „cześć”, sprawdzić, czy ma jakieś plany na weekend. No bo ona, Millie i Suze wybierają się do Heritage, co nie, więc jakby chciał wpaść, niech wpadnie. Myron uśmiechnął się. Czasy się zmieniały, a przecież podobne słowa mogła wypowiedzieć jego szkolna koleżanka albo szkolna koleżanka jego taty lub dziadka. Cykl pokoleniowy. Wprawdzie inne były: muzyka, filmy, język czy moda, ale zmiany dotyczyły zewnętrznosci. Pod workowatymi spodniami i fryzurami podkreślającymi tożsamość nastoletnich właścicieli kryły się te same co zawsze lęki, potrzeby i kompleksy.

Trzecia nagrana wiadomość była od niejakiego Glena. Chciał wiedzieć, czy Chad zagra w ten weekend w golfa w Pine, ponieważ Merion odpada ze względu na mistrzostwa. „Tata załatwi nam spoko pukanko w gałkę”, zapewnił Chada Glen kulturalnym tonem ucznia prywatnej szkoły średniej.

Żadnych wieści od bliskiego kumpla Chada, Matthew Squiresa.

Myron włączył komputer. Windowsy 95. Byczo. Też miał z nimi na pieńku. Chad Coldren, jak od razu spostrzegł, korzystał z poczty America Online. Pięknie. Uruchomił Flash-Session. Modem włączył się i krótko zapiszczał. „Witaj. Masz wiadomość – oznajmił głos i po automatycznym przesłaniu tuzinów wieści z serwera powiedział: – Do widzenia”. Myron zajrzał do książki adresowej Chada i znalazł adres e-mailowy Matthew Squiresa. Przebiegł wzrokiem listę przesłanych wiadomości. Żadna nie była od Matthew.

Ciekawe.

Oczywiście, całkiem możliwe, że Matthew i Chad nie przyjaźnili się aż tak blisko, jak sądziła Linda Coldren. Całkiem możliwe też, że nawet jeśli się z sobą kumplowali, Squires – mimo że Chad przypadł bez ostrzeżenia – nie kontaktował się z nim od środy. Bywa.

Tak czy siak dawało to do myślenia.

Myron podniósł słuchawkę i przyciskiem wybrał ostatni numer, pod który dzwonił Chad. Po czterech sygnałach usłyszał głos:

– Dodzwoniłeś się do Matthew. Zostaw wiadomość lub nie. Jak chcesz.

Myron odłożył słuchawkę i – „jak chciał” – nie zostawił wiadomości. Hmm. Ostatnią rozmowę Chad przeprowadził z Matthew. Mógł to być ważny trop. Albo zupełnie bez znaczenia. Nic z tego nie wynikało.

Z telefonu Chada Myron zadzwonił do agencji.

– RepSport MB – odezwała się po drugim sygnale Esperanza.

– To ja.

Wprowadził ją w sprawę. Wysłuchiwała bez przerywania.

Esperanza Diaz pracowała w agencji RepSport MB od samego początku. Dziesięć lat temu, w wieku zaledwie osiemnastu lat, została Królową Niedzielnej Porannej Telewizji Kablowej. Nie był to jednak program informacyjno-reklamowy, choć nie brakowało w nim reklam, zwłaszcza tych z przyrządem do ćwiczenia brzucha, do złudzenia przypominającym średniowieczne narzędzie tortur. Występowała w nim jako zawodowa zapaśniczka, Mała Pocahontas, Zmysłowa Indiańska Księżniczka. Filigranowa, giętka, odziana w skąpe zamszowe bikini przez trzy lata z rzędu dzierżyła tytuł najpopularniejszej zapaśniczki WDR (Wspaniałych Dam Wrestlingu), czyli „Pieszczoszki, z którą najchętniej splótlbyś się w podwójnym nelsonie”. A mimo to pozostała skromna.

– To Win ma matkę? – spytała z niedowierzaniem tuż po tym, jak skończył opowiadać o porwaniu.

– Tak.

– No to po mojej teorii o czarcim pomioście – rzekła po chwili.

– Ha, ha!

– I po teorii o Winie – owocu poronionego eksperymentu.

– Nie pomagasz.

– A co tu pomoże? – odparła. – Wiesz, że go lubię. Ale ten chłopak... Jak nazywa takie przypadki psychiatria? To czubek.

– Ten czubek ocalił ci życie.

– Jasne, a pamiętasz jak? – odparowała.

Myron pamiętał. W ciemnej alejce. Spreparowanymi kulami. Mózg bandziora rozprysnął się jak konfetti. Cały Win. Skuteczny do przesady. Gotów rozgnieść robaka kulą do kruszenia murów.

– Tak jak powiedziałam – przerwała cichym głosem długie milczenie. – Czubek.

Myron zapragnął zmienić temat.

– Są jakieś wieści? – spytał.

– Z milion. Ale nic ekstra pilnego... Widziałeś ją? – zagadnęła po chwili.

– Kogo?

– Madonnę! – zirytowała się. – O kogo pytam?! Matkę Wina!

– Raz – odparł, sięgając pamięcią dziesięć lat wstecz. On i Win jedli wtedy kolację w klubie golfowym Merion.

Win nie odezwał się do niej. Ale ona do niego tak. Na to wspomnienie Myron znów poczuł zażenowanie.

– Powiedziałaś mu o porwaniu? – spytała.

– Nie. Co radzisz?

– Zrób to przez telefon – odparła. – Na bezpieczną odległość.

Rozdział 3

Szybko się rozłączyli.

Kiedy oddzwoniła, wciąż siedział w pokoju wypoczynkowym z Lindą. Bucky wrócił do Merion po Jacka.

– Wczoraj o szóstej osiemnaście po południu użyto karty bankomatowej chłopca – przekazała. – W oddziale banku First Philadelphia na Porter Street w południowej Filadelfii. Wyjęto sto osiemdziesiąt dolarów.

– Dzięki.

Zdobycie tej informacji nie było trudne. Każdy, kto znał numer konta, mógł ją otrzymać przez telefon, podając się za właściciela. A zresztą i bez tego mógł ją uzyskać byle ów, który zetknął się z pracą w policji, miał kontakty, dostęp do danych, a przynajmniej orientował się, komu dać w łapę. Przy ekspansji dzisiejszej, przyjaznej użytkownikowi techniki nie wymagało to żmudnych zabiegów. Techniki, która nie tylko depersonalizowała, ale rozpruwała życie człowieka, patroszyła go, odzierała z wszelkich pozorów prywatności.

Wystarczyło stuknąć w klawisze.

– Co się stało? – spytała Linda Coldren.

Powiedział jej.

– To nie musi oznaczać tego, co pan myśli – oświadczyła. – Numer PIN mógł podać porywaczowi Chad.

– Mógł – potwierdził Myron.

– Ale pan w to nie wierzy?

Wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że jestem bardziej niż nieco sceptyczny.

– Dlaczego?

– Przede wszystkim z powodu podjętej sumy. Jaki Chad miał limit dzienny?

– Pięćset dolarów.

– Więc dlaczego porywacz podjął tylko sto osiemdziesiąt?

– Gdyby podjął za dużo, mógłby wzbudzić podejrzenia – odparła po krótkim namyśle Linda Coldren.

Myron o mało nie zmarszczył brwi.

– I choć był taki ostrożny, ryzykował aż tyle dla stu osiemdziesięciu dolarów? Każdy wie, że przy bankomatach są kamery. I że z każdego komputera łatwo sprawdzić, skąd pobrano pieniądze.

Spojrzała na niego ze spokojem.

– Pan wątpi, że mój syn jest w niebezpieczeństwie.

– Tego nie powiedziałem. Pozory mylą. Ma pani rację. Najbezpieczniej jest przyjąć, że syna naprawdę porwano.

– I co dalej?

– Waham się. Ten bankomat jest na Porter Street w południowej Filadelfii. Czy Chad lubił tam przebywać?

– Nie – odparła bez pośpiechu. – Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, co mógłby tam robić.

– Dlaczego?

– To zakazana dzielnica. Jedna z najpodlejszych w mieście.

Myron wstał.

– Ma pani plan miasta?

– W schowku w samochodzie.

– Dobrze. Będę musiał na krótko pożyczyć pani wóz.

– Dokąd pan pojedzie?

– Chcę obejrzeć ten bankomat.

– Po co? – spytała, marszcząc brwi.

– Nie wiem – przyznał. – Jak wspomniałem, śledztwo to nie praca naukowa. Wykonujesz rutynowe czynności, naciskasz guziki i liczysz na to, że coś wyskoczy.

Linda Coldren sięgnęła do kieszeni po kluczyki.

– Może stamtąd go porwano – powiedziała. – Może zobaczy pan jego samochód.

O mały włos nie palnął się w czoło. Samochód! Zapomniał o czymś tak podstawowym. Zniknięcie chłopca w drodze do lub ze szkoły kojarzył sobie z żółtym szkolnym autobusem albo z dziarskim marszem z torbą z podręcznikami i zeszytami. Jak mógł zapomnieć o tak oczywistym tropie?!

Spytał ją o markę i model. Była to szara honda accord. Samochód niewyróżniający się w tłumie. Z rejestracją pensylwańską 567-AHJ. Przekazał ją telefonicznie Esperanzie i podał Lindzie Coldren numer swojej komórki.

– Gdyby coś się wydarzyło, proszę dzwonić – zachęcił.

– Dobrze.

– Niebawem wrócę.

Nie miał daleko. Niemalże w jednej chwili, niczym bohaterowie serialu Star Trek przekraczający któreś z wrót czasu, przeniósł się z zielonego przepychu w betonowe dziadostwo.

Bankomaty dla zmotoryzowanych mieściły się w dzielnicy, którą od biedy można nazwać biznesową. Las kamer. Brak kasjerów. Czy porywacz podjąłby takie ryzyko? Bardzo wątpliwe. Myron zastanawiał się, w jaki sposób bez ściągnięcia uwagi policji zdobyć z banku kopię nagrania. Win mógł kogoś znać. Instytucje finansowe z reguły nader chętnie współpracowały z rodziną Lockwoodów. Pozostawało pytanie, czy jego przyjaciel zechce pomóc.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się opuszczone – na takie w każdym razie wyglądały – składy i magazyny. Osiemnastokołowe tiry grzały po niej niczym w starym filmie o konwojach ciężarówek. Myronowi przypomniawszy się krótkofalarski bzik z czasów dzieciństwa. Krótkofalówkę kupił sobie, tak jak wszyscy, jego tata, właściciel fabryki bielizny w Newark. Choć urodził się we Flatbush na Brooklynie, do pogaduch w eterze wcinął się tekstem „Tu drucik zero dziewięć”, wymawianym z akcentem, który podłapał z filmu Dostawa. Milę pomiędzy ich domem na Hobart Gap Road i centrum handlowym w Livingston przemierzał, wypytyując „kumpli po radiu”, czy na horyzoncie nie widać jakichś „blacharzy”. Myron uśmiechnął się do tego wspomnienia. Ach, radio obywatelskie! Był pewien, że ojciec do dziś przechowuje krótkofalówkę. Pewnie wraz z ośmiościeżkowym magnetofonem.

Po jednej stronie bankomatów była stacja benzynowa, tak skromna, że bez nazwy. Z zardzewiałymi samochodami na rozpadających się pustakach. A po drugiej obskurny tani motel Zajazd Dworski, witający klientów zielonym napisem 19,99 \$ za godzinę.

Myrona Bolitara wskazówka nr 83 dla podróżnych: tam, gdzie świecą ci w oczy cenami za godziny, nie licz na pięciogwiazdkową obsługę.

Pod ceną mniejszymi czarnymi literami napisano: z niewielką DOPLATĄ ZA POKOJE TEMATYCZNE I Z LUSTREM NA SUFICIE. Pokoje tematyczne? Wolał nie wiedzieć, jak wyglądają. Ostatnia, znów zielona linijka zachęcała wołami: SPYTAJ O NASZ KLUB BYWALCÓW. Rany koguta!

Rozważając, czy warto zajrzeć do środka, uznał, że nie zawadzi. Prawdopodobnie to ślepy trop, lecz jeśli Chad się ukrywał – albo też go porwano – tani motel zdawał się wymarzoną meliną.

Myron zaparkował przed wręcz modelową piętrową rudera. Drewniane zewnętrzne schody i galerie Zajazdu Dworskiego były zmurszałe. Betonowe, niewykończone ściany tak chropawe, że groziły skaleczeniem ręki. Na ziemi walały się grudki cementu. Drzwi strzegł niczym gwardzista brytyjskiej królowej odłączony od prądu automat z pepsi. Myron minął go i wszedł do środka.

Spodziewał się ujrzeć widok typowy dla taniego motelu – nieogolonego neandertalczyka w przykrótkim podkoszulku bez rękawów, żującego wykałaczkę i żłowiącego piwo za kuloodporną szybą. Lub podobny. Ale się przeliczył. W Zajeździe Dworskim powitał go wysoki drewniany kontuar, a na nim brązowa tabliczka z napisem RECEPCJONISTA. Stłumił rzenie. Za kontuarem stał na baczność zadbany dwudziestokilkuletni młodzian o dziecięcej twarzy, w wyprasowanej koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem i idealnie zawiązanym ciemnym krawatem. Uśmiechnął się do gościa.

– Dzień dobry panu! – zawołał. Z wyglądu i głosu przypominał Johna Tesha z programu Entertainment Weekly. – Witam w Zajeździe Dworskim!

– Cześć – odparł Myron.

– Mogą w czymś panu pomóc?

– Mam nadzieję.

– Znakomicie! Nazywam się Stuart Lipwicz. Nowy kierownik Zajazdu Dworskiego.

– Spojrzał wyczekująco na Myrona.

– Moje gratulacje.

– Bardzo dziękuję, to miło z pana strony. W razie jakichkolwiek problemów, gdyby cokolwiek w Zajeździe Dworskim nie spełniało pana oczekiwań, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Załatwią to osobiście – zapewnił gospodarz z szerokim uśmiechem i dumnie wypiętą pierśią. – W Zajeździe Dworskim dbamy o komfort klienta.

Myron przyglądał się mu dłuższą chwilę, czekając, aż jego stuwatowy uśmiech przygaśnie. Nie przygasł. Wyjął zdjęcie Chada Coldrena.

– Widział pan tego młodzieńca? – spytał.

Stuart Lipwicz nawet nie spojrział na fotografię.

– Przepraszam – rzekł z tym samym uśmiechem. – Ale czy pan jest z policji?

– Nie.

– W takim razie, pan wybaczy, nie pomogę panu.

– Słucham?

– Przykro mi, lecz w Zajeździe Dworskim cenimy sobie dyskrecję.

– Chłopiec nic nie przeszkobił – zapewnił Myron. – Nie jestem detektywem, który chce przyłapać in flagranti niewiernego męża.

Uśmiech Lipwitza ani drgnął.

– Pan wybaczy, ale to jest Zajazd Dworski. Klienci korzystający z bogatego wachlarza naszych usług często chcą zachować anonimowość. W Zajeździe Dworskim respektujemy ten wymóg.

Myron przyjrzał się uważnie jego minie, szukając oznak zgrywy. Nie znalazł żadnych. Gość cały promieniał niczym wykonawca zapchajdziura w przerwie programu Up with People. Opierając się na kontuarze, Myron spojrział na jego buty. Lśniły jak lusterka. Włosy bubka były gładko zaczesane do tyłu. Iskra w oku wyglądała na prawdziwą.

Trochę mu zajęło, zanim wreszcie pojął, jak się sprawy mają. Wyjął portfel, wyciągnął dwadzieścia dolarów i przesunął je po blacie. Recepcjonista spojrział na banknot, ale się nie poruszył.

– Za co to, proszą pana? – spytał.

– To prezent.

Stuart Lipwicz nie tknął banknotu.

– W podzięce za informację. – Myron wyciągnął drugi banknot i zatrzymał w powietrzu. – Jeśli łaska, to mam jeszcze jeden.

– W Zajeździe Dworskim obowiązuje dewiza: klient nasz pan.

– Czy to nie jest dewiza prostytutek?

– Słucham?

– Nieważne.

– Jestem nowym kierownikiem Zajazdu Dworskiego, proszę pana.

– Już słyszałem.

– I właścicielem jednej dziesiątej udziałów.

– Koleżanki od partyjek madżonga z pewnością zazdroszczą pana mamie.

Lipwicz zachował uśmiech.

– Innymi słowy związałem się z tym na dłużej. Tak rozumiem interes, proszę pana. Długofalowo. Nie na dziś. Nie na jutro. Ale na przyszłość. Długoterminowo. Rozumie pan?

– Aha – skwitował beznamytnie Myron. – Na dłużej? Stuart Lipwicz strzelił palcami.

– Właśnie. Nasza dewiza brzmi: Dolary na rozpustę możesz wydać w wielu miejscach. Chcemy, żebyś wydał je tutaj.

Myron odczekał chwilę.

– Wyborna – pochwalił.

– W Zajeździe Dworskim ciężko pracujemy na zdobycie zaufania, a zaufanie to rzecz bezcenna. Kiedy budzę się rano, muszę spojrzeć w lustro.

– W lustro na suficie?

– Ujmę to inaczej – odparł z niezmiennym uśmiechem Lipwicz. – Jeżeli nasz klient bądź klientka wie, że w Zajeździe Dworskim może bezpiecznie zgrzeszyć, jest większa szansa na to, że powróci. – Pochylił się z mokrym błyskiem podniecenia w oku. – Rozumie pan?

Myron skinął głową.

– Na powtórkę.

– Właśnie.

– A do tego dochodzą rekomendacje. W rodzaju: „Wiesi, Bob, znam świetne miejsce na skok w bok”.

– Sam pan rozumie.

Do uśmiechu doszło skinienie głową.

– Wszystko to ładnie pięknie, Stuart, tylko że chłopak ma piętnaście lat. Piętnaście! – Chad wprawdzie skończył szesnaście, ale co tam. – W grę wchodzi naruszenie prawa.

W uśmiechu Lipwicza odbił się zawód, jak u belfra rozczarowanego odpowiedzią ulubionego ucznia.

– Pan wybaczy, że się z nim nie zgodzę. W świetle obowiązującego w tym stanie prawa osoby powyżej czternastego roku życia mogą dysponować własnym ciałem. A poza tym wynajęcie pokoju w motelu piętnastolatki jest w pełni legalne.

Gość stanowczo za dużo sobie pozwalał. Czy zadałby sobie aż tyle fatygi, gdyby chłopca nigdy tu nie było? Z drugiej strony, co tu ukrywać, Stuart Lipwicz dobrze się bawił, uszczęśliwiony niemal jak dzieciak, któremu fundnięto zestaw Happy Meal w barze McDonalda. Tak czy owak nadszedł czas, żeby trochę nim potrząsnąć.

– Nie jest, jeśli się go w tym pokoju napastuje – odparł Myron. – Nie jest, jeśli twierdzi, że ktoś wtargnął do tego pokoju, korzystając z dodatkowego klucza, który dano mu w recepcji.

Pan Blef jedzie do Filadelfii!

– Nie mamy dodatkowych kluczy – oświadczył Lipwicz.

– Jednak ten ktoś jakoś go zdobył. Uśmiech pozostał. Grzeczny ton również.

– Gdyby tak istotnie było, proszę pana, przyjechałaby policja.

– Nie pomoże mi pan, to zaraz do nich wpadnę.

– Chce pan wiedzieć, czy ten młody człowiek – Lipwicz wskazał na zdjęcie Chada – tu się zatrzymał?

– Tak.

Uśmiech recepcjonisty nabrał mocy. Mało brakowało, a Myron osłoniłby oczy.

– Jeżeli pan mówi prawdę, to ten młody człowiek sam może potwierdzić, czy tu był. Ja nie jestem do tego potrzebny.

Myron nie zmienił miny. Nowy kierownik Zajazdu Dworskiego przechytrył pana Blefa.

– Owszem – potwierdził, w lot zmieniając taktykę. – Wiem, że tutaj był. Zadałem pytanie wstępne. Policja też żąda podania nazwiska, mimo że je zna. Żeby od czegoś zacząć.

Pana Blefa zastąpił pan Improwizator.

Stuart Lipwitz wyjął kartkę i przystąpił do pisania.

– To nazwisko i numer telefonu prawnika Zajazdu Dworskiego – powiedział. – Dopomoże panu rozwiązać wszelkie problemy.

– Nie usunie ich pan osobiście? Nie zadba o komfort klienta?

– Proszę pana. – Lipwitz pochylił się do przodu, zachowując kontakt wzrokowy. W jego głosie i minie nie było śladu zniecierpliwienia. – Mam być szczery?

– Wal pan.

– Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo.

– Dzięki za szczerość.

– Nie, to ja panu dziękuję. I zapraszam znowu.

– Jeszcze jedna dewiza prostytutek?

– Słucham?

– Nic takiego. Czy ja też mogę być szczery? – spytał Myron.

– Tak.

– Jeżeli nie powie mi pan, czy widział tego chłopca, to mogę panu przywalić w twarz. Bardzo mocno.

Pan Improwizator „wyszedł z nerw”.

Drzwi otwały się z rozmachem i do środka wtoczyła się spleciona parka. Kobieta bez zęady miętosiła krocze partnera.

– Na gwałt potrzebujemy pokoju! – zawołał mężczyzna.

– Macie państwo kartę bywalców? – spytał Myron.

– Co?

– Do widzenia. Życzę panu miłego dnia – pożegnał go uśmiechnięty Stuart Lipwitz i z odnowionym uśmiechem zwrócił się do wijących się ciał: – Witam w Zajeździe Dworskim. Nazywam się Stuart Lipwitz. Jestem nowym kierownikiem.

Myron poszedł do wozu. Na parkingu wziął głęboki oddech i spojrzał za siebie. Wizyta w Zajeździe Dworskim wydawała się tak nierealna jak opisy porwania przez obcych (z pominięciem badania odbytu). Wsiadł do wozu i zadzwonił na komórkę Wina. Chciał mu tylko zostawić wiadomość. Ale ku jego zdumieniu przyjaciel odebrał telefon.

– Wysłów się – rzekł śpiewnie.

Myrona natychmiast zbiło z tropu.

– To ja – bąknął.

Win milczał. Nie cierpiał oczywistości. „To ja” było kompletną stratą czasu. Znał przecież jego głos. Gdyby nie znał, „To ja” nic by mu nie powiedziało.

– Myślałem, że na polu golfowym nie odbierzesz telefonu – usprawiedliwił się Myron.

– Jadę do domu się przebrać – wyjaśnił Win. – A potem obiadam w Merion. – Członkowie filadelfijskiej socjety nie jadaliby obiadów, oni obiadowali. – Przyłączysz się?

– Nie odmówię.

– Chwileczkę.

– Tak?

– Jesteś odpowiednio ubrany?

– Bez zarzutu. Myślisz, że mimo to mnie wpuszczą?

– Brawo, bardzo śmieszne. Zapiszę to sobie, jak tylko skończę się śmiać. Zaczynam szukać pióra. Tak mnie rozbawiłeś, że pewnie zaraz się właduję na pierwszy z brzegu słup telegraficzny. Dobrze chociaż, że umrę z weselem w duszy. Cały Win.

– Mamy sprawę – rzekł Myron.

Milczenie Wina bardzo ułatwiło mu zadanie.

– Opowiem ci o niej przy obiedzie.

– A do tego czasu rosnące napięcie i zaciekawienie będę gasił koniakiem.

Win rozłączył się. Na pewno ci się spodoba, pomyślał Myron. Nie zdążył przejechać mili, gdy zadzwoniła komórka.

– Porywacz znów się odezwał – oznajmił Bucky.

Rozdział 4

- Co powiedział?
- Chcą pieniędzy.
- Ile?
- Nie wiem.
- Nie wie pan? – zdziwił się Myron. – Jak to? Nie powiedzieli?
- Chyba nie – odparł Bucky. W tle rozległ się jakiś hałas.
- Gdzie pan jest?
- W Merion. Telefon odebrał Jack. Wciąż jest w szoku.
- Telefon odebrał Jack?
- Tak.
- Porywacz zadzwonił do Jacka w Merion? – spytał z jeszcze większym zdziwieniem Myron.

– Tak. Może pan tu przyjechać? Łatwiej to będzie wyjaśnić.

– Już jadę.

Od obskurnego motelu Myron dotarł na autostradę i wjechał w zieloność. Mnóstwo zieleności. Przedmieścia Filadelfii pełne są dorodnych trawników, wysokich krzewów i cienistych drzew. Aż dziw, że leżą tak blisko gorszych ulic. Także tutaj, jak w większości miast, triumf święciły jaskrawe podziały. Pamiętał, że gdy przed dwoma laty wybrali się z Winem na mecz Eagles, w drodze na Stadion Weteranów przejeżdżali przez dzielnicę włoską, polską, afroamerykańską. Miał wtedy wrażenie, że te etniczne mniejszości są oddzielone od siebie – znów niczym w serialu Star Trek – niewidzialnymi potężnymi polami siłowymi. Miasto Braterskiej Miłości, Filadelfia, zasługiwało niemalże na miano Małych Bałkanów.

Skręcił w Ardmore Avenue. Do klubu Merion pozostała mila. Powrócił myślami do Wina, zadając sobie pytanie, jak przyjaciel zareaguje na rodzinne związki z tą sprawą.

Pewnie nie za dobrze.

Przez tyle lat ich znajomości Win tylko raz wspomniał o matce.

Na trzecim roku studiów na Uniwersytecie Duke'a, po powrocie do akademika z dzięki imprezy studenckiego bractwa, podczas której wyłopano rzekę piwa. Myron nie miał „mocnej głowy”. Zwykle dwie szklaneczki wystarczałyby gotów był całować z językiem toster. Winił za to rodziców – kiepsko znosili trunki.

Inaczej było z Winem, który chyba od małego wychował się na sznapsach. Napoje wysokowe prawie wcale na niego nie działały. Ale na tamtej imprezie zaprawiony spirytusem poncz nawet jemu nieco poplątał nogi. Dopiero za trzecim razem udało się Winowi otworzyć drzwi ich wspólnego pokoju.

Myron od razu padł na łóżko. Sufit nad jego głową zawirował z zawrotną szybkością. Zamknął oczy. Przerażony, wpił się rękami w posłanie i przytrzymał. Zbladł jak ściana. Żołądek ścisnęły mdłości. Zastanawiał się, kiedy puści pawia; modlił się, żeby jak najprędzej.

Ech, urok studenckich balang.

Przez czas jakiś milczeli. Myron nie wiedział, czy Win zasnął. Może wyszedł. Zniknął w mroku nocy. A może nie przytrzymał się wirującego łóżka dość mocno i siła odśrodkowa wyrzuciła go przez okno w życie pozagrobowe.

– Spójrz na to – przeciął ciemności głos.

Coś spadło mu na pierś. Myron odważył się puścić jedną ręką łóżko. Dobrze, na razie nie zleciał. Wymacał przedmiot i podniósł go w górę. W świetle od okna – uniwersyteckie kampusy są oświetlone jak świąteczne choinki – zobaczył, że to zdjęcie. Kolorowe, gruboziarniste, wyblakłe, lecz na tyle wyraźne, by rozpoznać drogi samochód.

– To rollsroyce? – spytał. Nie znał się na samochodach. – Bentley S Trzy Continental Latająca Ostroga – odparł Win. – Z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego. Klasyczny model.

– Twój?

– Tak.

– Łóżko zawirowało bezszmerowo.

– Skąd go miałeś?

– Od faceta, który zerznął moją matką. Koniec. Na tym Win zamknął temat, otoczywszy go murem obronnym, do którego dostępu broniły miny, fosa oraz mnóstwo drutów pod wysokim napięciem. Przez piętnaście następnych lat Win ani razu nie wspomniał o matce. Ani wtedy, gdy co semestr przysyłała mu do akademika paczki. Ani wtedy, gdy co rok przysyłała mu w dniu urodzin prezenty do biura. Ani przed dziesięciu laty, gdy spotkali się z nią oko w oko.

Na zwykłej tablicy z ciemnego drewna widniał napis KLUB GOLFOWY MERION. Nic poza tym. Żadnych „Tylko dla członków”. Żadnych „Jesteśmy elitarni, nic tu po tobie”. Żadnych „Dla mniejszości etnicznych osobne wejście”. Nie było takiej potrzeby. Rozumiało się to samo przez się.

Ostatnia runda turnieju już się zakończyła i tłum prawie się rozjechał. Klub Merion mógł pomieścić zaledwie siedemnaście tysięcy fanów – niespełna połowę tego co większość pól golfowych – ale i tak parkowanie było istną katorgą. Większość widzów musiała zostawić samochody w pobliskim Haveford College. Wahadłowe autobusy jeździły więc bez przerwy.

– Jestem umówiony z Windsorem Lockwoodem – wyjaśnił Myron strażnikowi, który zatrzymał go na końcu dojazdu.

Ten natychmiast rozpoznał nazwisko, dając znak, żeby wjechał.

Nim Myron zdążył zaparkować, podbiegł do niego Bucky. Okrągłą twarz miał jeszcze pełniejszą, jakby wypchał sobie policzki mokrym piachem.

– Gdzie jest Jack? – spytał Myron.

– Na polu zachodnim.

– Gdzie?!

– W Merion są dwa pola – wyjaśnił starszek, znowu wyciągając szyję. – Wschodnie, bardziej sławne, i zachodnie. Podczas turnieju zachodnie służy do treningu.

– I tam jest pański zięć?

– Tak.

– Trenuje uderzenia?

– Oczywiście. – Bucky podniósł zdziwiony wzrok. – Jak zwykle po zakończonej rundzie. Wie o tym każdy gracz. Grał pan w koszykówkę. Nie ćwiczył pan po meczu rzutów na kosz?

– Nie.

– No cóż, golf to bardzo wyjątkowy sport. Tuż po zakończeniu rundy zawodnicy powtarzają zagrania. Nawet jeżeli grali dobrze. Skupiają się na dobrych uderzeniach, żeby rozważyć błędy, które popełnili przy tych nieudanych. Rekapituluja występ.

– Mhm – mruknął Myron. – A co z telefonem od porywacza?

– Zaprowadzę pana do Jacka – odparł Bucky. – Tędy, proszę.

Przeszli przez osiemnasty tor i ruszyli szesnastym. Pachniało świeżo skoszoną trawą i pyłkiem kwiatowym. W tym roku na Wybrzeżu Wschodnim było go co niemiara. Miejscowi alergicy omdlewali z zachłannej rozkoszy.

Bucky pokręcił głową.

– Co za zarośla – zirytował się. – Skandal! Wskazał wysoką trawę. Nie wiedząc, o co chodzi, Myron na wszelki wypadek skinął głową.

– Przeklęty Amerykański Związek Golfa chce, żeby to pole powaliło graczy! – zagrzmiał Bucky. – Każą zapuszczać te chaszczki! Człowiek gra jak na polu ryżowym, psiakrew! A zielonki trzeba strzyc tak krótko, żeby było ślisko niczym na lodowisku.

Myron milczał. Szli dalej.

– To jeden z naszych słynnych kamienistych dołków – wyjaśnił spokojniejszym głosem Bucky.

– Aha.

Paplał, jak to często czynią ludzie zdenerwowani.

– Kiedy pierwszym budowniczym przyszło wytyczyć tor szesnasty, siedemnasty i osiemnasty – ciągnął tonem przewodnika oprowadzającego turystów po Kaplicy Sykstyńskiej – natknęli się na kamieniołom. Nie poddali się jednak, lecz zabrali do roboty i wkomponowali go w pole. – Mój Boże, kiedyś to były zuchy – wtrącił cicho Myron. Niektórzy z nerwów paplają. Inni ironizują. Dotarli do początku pola i poszli Golf House Road. Choć ostatnia grupa golfistów zakończyła grę ponad godzinę temu, co najmniej tuzin graczy uderzało w piłki. Ćwiczyli. Owszem, uderzali piłki, posługując się kompletem kijów: „drewniakami”, „żelazkami”, „maczugami”, a raczej głowicami wojennymi o imionach Berta, Kaśka i podobnych, lecz działało się tam więcej. Większość zawodowców wykorzystywała pole do opracowania z asystentami strategii gry, konsultacji ze sponsorami w sprawach sprzętu, nawiązywania kontaktów zawodowych, towarzyskich pogaduszek z kolegami po kiju, palenia papierosów (zdumiewająca liczba graczy to nałogowi palacze), a nawet rozmów z agentami. W kołach golfowych pole treningowe nazywano biurem. Myron rozpoznał Grega Normana i Nicka Faldo. Wypatrzył również nowe odkrycie, Tada Crispina, kreowanego na następcę Jacka Nicklausa, innymi słowy, wymarzonego klienta. Chłopak zaledwie dwudziestotrzyletni był przystojny, zrównoważony i zaręczony z równie jak on atrakcyjną, „kochającą ten sport” dziewczyną. W dodatku nie miał jeszcze agenta. Myron starał się powstrzymać napływającą ślinkę. No co? Jest się w końcu człowiekiem. Agentem sportowym. Nie czepiajcie się, ludziska.

– Gdzie jest Jack? – spytał.

– Dalej. Chciał poćwiczyć sam – odparł Bucky.

– Jak porywacz go znalazł?

– Zadzwoił do klubu. Powiedział, że to pilna sprawa.

– Podziałało?

– Tak – potwierdził z ociąganiem Bucky. – Prawdę mówiąc, to zadzwonił Chad. Przedstawił się jako syn Jacka.

Ciekawe.

– O której zadzwonił?

– Z dziesięć minut przed moim telefonem do pana. – Bucky zatrzymał się i wskazał brodą. –

Tam.

Dość pękaty i miękki w talii, Jack Coldren przedramiona miał jak marynarz Popeye. Wiatr zwiewał mu cienkie, sypkie włosy, odsłaniając łyse placki. Walnął w piłkę „drewniakiem” z niebywałą furią. Niektórych taka reakcja mogłaby zadziwić. Dowiadujesz się, że zniknął twój syn, i jakby nic się stało, wychodzisz i pukasz w piłki golfowe. Ale Myron to rozumiał. Walenie w piłki podbudowywało. On sam w im większym był stresie, tym bardziej kusiło go, by wyjść na podjazd przed domem i porzucać do kosza. Każdy ma jakiś sposób. Niektórzy piją. Inni się narkotyzują. Jeszcze inni wyruszają samochodem albo grają w grę komputerową. Win dla odprężenia często oglądał taśmy wideo ze swoimi wyczynami seksualnymi. Ale to był Win.

– A ta kobieta z nim to kto? – spytał Myron.

– Dianę Hoffman. Jego asystentka – odparł Bucky. Myron wiedział, że kobiety często asystują zawodowym golfistom. Niektórzy gracze wynajmowali swoje żony. Z oszczędności.

– Czy wie, co się dzieje?

– Tak. Dianę była z nim w chwili, gdy odebrał telefon. Są z sobą zżyci.

– Zawiadomił pan Lindę?

Bucky potwierdził skinieniem głowy.

– Zaraz potem. Mógłby pan sam się przedstawić? Chciałbym wrócić do domu i sprawdzić, co z nią.

– Oczywiście.

– Jak się z panem w razie czego skontaktować?

– Proszę zadzwonić na komórkę.

Bucky'ego o mało nie zatkało. Jakby usłyszał herezję.

– W Merion komórki są zakazane – oświadczył.

– Niech pan dzwoni. Jestem szajba.

Myron podszedł do pary na torze. Dianę stała w szerokim rozkroku, ze splecionymi rękami, skupiona na Coldrenie, który robił zamach. Z jej ust zwieszał się niemal pionowo papieros. Nie spojrzała na Myrona. Jej towarzysz skręcił spiralnie ciało i odwinął się z energią uwolnionej sprężyny. Piłka poszybowała niczym rakietą ponad odległe pagórki.

Jack Coldren odwrócił się, spojrzał na Myrona, uśmiechnął się blado i skinął głową.

– Pan Myron Bolitar? – spytał.

– Tak.

Uścisnął Myronowi rękę. Dianę Hoffman, obserwująca pilnie każdy ruch swojego gracza, zmarszczyła brwi, jakby dostrzegła błąd w jego technice ściskania dłoni.

– Jestem panu wdzięczny za pomoc – powiedział Coldren. Dopiero stanąwszy krok od niego, Myron spostrzegł, że człowiek ten przeżył wstrząs. Radosny rumieniec po trafieniu do osiemnastego dołka zgasła chorowita bladość. Spojrzenie miał zaskoczone i osłupiałe, jak po nagłym ciosie w żołądek.

– Niedawno próbował pan wrócić do koszykówki – dodał Coldren. – Do zespołu z New Jersey.

Myron skinął głową.

– Widziałem pana w wiadomościach. Odważny krok po tak długiej przerwie.

Jack Coldren zamilkł, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Jak wyglądała ta rozmowa? – przyszedł mu w sukurs Myron.

Coldren przesunął wzrokiem po zielonej połaci.

– Czy to na pewno bezpieczne? – spytał. – Ten drań zabronił nam wzywać policję. Kazał zachowywać się normalnie.

– Jestem agentem sportowym, który szuka klientów – odparł Myron. – Rozmowa ze mną to rzecz najnormalniejsza w świecie.

Po krótkim namyśle Coldren skinął głową. Dotąd nie przedstawił go asystentce. Lecz Dianę Hoffman było to obojętne. Stała bez ruchu trzy metry od nich. Twarz miała czerstwą i wychudłą, oczy podejrzliwie zwężone. Laseczka popiołu na jej papierosie tak się wydłużyła, że niemal przeczyła prawu ciężkości. Dianę była w czapce i kamizelce, jaką często noszą „workowi” golfistów, przypominającej odbłaskowy strój amatorów biegania po nocy.

– Podszedł do mnie prezes klubu i szepnął, że dzwoni mój syn w pilnej sprawie. Wszedłem więc do budynku klubu i wziąłem słuchawkę.

Jack Coldren urwał i kilka razy zamrugał. Trudniej mu było oddychać. Żółtą wyciętą w serek koszulkę golfową miał nieco za ciasną. Każdym oddechem rozciągał bawełnianą tkaninę. Myron czekał.

– Dzwonił Chad – wreszcie wyrzucił z siebie Coldren. – Zdążył powiedzieć „tato” i ktoś wyrwał mu słuchawkę. Usłyszałem gruby męski głos.

– Jak gruby?

– Słucham?

– Jak gruby był ten głos?

– Bardzo gruby!

– Czy nie brzmiał dziwnie? Trochę mechanicznie?

– Właściwie to... owszem, tak.

Zmieniony elektronicznie, domyślił się Myron. Takie maszynki potrafiły zamienić bas Barry'ego White'a w dyskankt czterolatki. I na odwrót. Każdy mógł je kupić. Obecnie sprzedawano je nawet w sklepach sieci Radio Shack. Płci porywacza lub porywaczy na tej podstawie nie dało się ustalić. Podany przez oboje Coldrenów opis „męskiego głosu” był zatem bez znaczenia.

– Co powiedział?

– Że ma mojego syna. Ostrzegł, że jeżeli skontaktuję się z policją lub z kimś takim, Chad za to zapłaci. Dodał, że będę pod stałą obserwacją.

Jakby dla podkreślenia, Jack Coldren rozejrzał się dokoła. Na horyzoncie nie czaił się nikt podejrzany, choć uśmiechnięty Greg Norman pomachał im ręką i uniósł w górę kciuki. Powodzenia, brachu.

– Powiedział coś jeszcze? – spytał Myron.

– Że chce pieniędzy.

– Ile?

– Dużo. Nie sprecyzował ile, ale kazał ją przygotować. Ma zadzwonić.

Myron zrobił minę.

– A więc nie wymienił sumy?

– Nie. Powiedział tylko, że dużo.

– I że mają być gotowe.

– Tak.

Gdzie tu sens? Porywacz, który nie wie, ile chce wymusić?

– Mogę być z panem szczery, Jack?

Coldren wyprostował się, wsunął koszulę do spodni. Był, jak określiliby niektórzy, rozbrajająco, chłopięco przystojny. Twarz miał dużą, łagodną, o miękkich, plastycznych rysach.

– Niech pan mnie nie oszczędza – odparł. – Żądam prawdy.

– Czy to może być żart?

Jack zerknął na Dianę Hoffman. Poruszyła się lekko.

Czyżby skinęła głową?

– Co pan przez to rozumie? – spytał.

– Czy może za tym stać Chad?

Poderwane wietrzykiem dłuższe kosmyki sypek włosów opadły golfiście na oczy. Odgarnął je. Jego twarz na chwilę się zmieniła. O czymś myślał? W przeciwieństwie do żony nie zajął postawy obronnej. Może dopuszczał możliwość, że stoi za tym Chad, albo po prostu czepiał się nadziei, że synowi nic wobec tego nie grozi.

– Słyszałem dwa różne głosy... przez telefon – odparł.

– Może użyto zmieniaacza – podsunął Myron. Coldren znowu się zamyślił, marszcząc brwi.

– Nie umiem powiedzieć.

– Myśli pan, że Chad byłby zdolny do czegoś takiego?

– Nie. Kto by jednak podejrzewał o coś podobnego własne dziecko? Staram się zachować obiektywizm, choć to trudne. Pyta pan, czy mój syn byłby do tego zdolny? Oczywiście, że nie. Z drugiej strony nie byłbym pierwszym rodzicem, który myli się co do swojego dziecka.

Pewnie, pomyślał Myron.

– Czy Chad uciekł kiedyś z domu? – spytał.

– Nie.

– Czy miał jakieś kłopoty? Czy coś mogłoby go popchnąć do takiego kroku?

– Takiego jak upozorowanie porwania?

– Nie musi to być nic wielkiego. Czy nie zrobiliście państwo czegoś, co go rozdrażniło?

– Nie – odparł nagle nieobecny głosem Coldren. – Nic mi nie przychodzi do głowy.

Podniósł wzrok. Choć słońce stało nisko i światło nie było rażące, zmrużył oczy, osłaniając je dłonią przytkniętą do czoła, jakby salutował. Poza ta skojarzyła się Myronowi ze zdjęciem Chada, które widział w domu Coldrenów.

– O czymś pan pomyślał, Myron.

– Nie ma o czym mówić.

– Mimo to chciałbym usłyszeć.

– Jak bardzo panu zależy na wygraniu tego turnieju, Jack? Coldren uśmiechnął się półgębkiem.

– Był pan sportowcem, Myron – odparł. – Więc pan wie jak bardzo.

– Wiem.

– Do czego pan zmierza?

– Pański syn jest sportowcem, i prawdopodobnie też to wie.

– Tak – przyznał Coldren. – Ale czekam na odpowiedź.

– Gdyby ktoś chciał panu zaszkodzić, najskuteczniej dopiąłby swego, przekreślając pańskie szanse na wygranie tych mistrzostw.

W oczach Jacka Coldrena znów pojawił się ból jak po nagłym ciosie w żołądek. Cofnął się o krok.

– To tylko teoria – dodał prędko Myron. – Nie twierdzę, że robi to pański syn...

– Po prostu musi pan zbadać wszystkie tropy.

– Tak.

Po chwili Coldren doszedł do siebie.

– Nawet jeżeli pański domysł jest słuszny, wcale nie musi stać za tym Chad. Może poluje na mnie ktoś inny. – Znów zerknął na asystentkę. – Nie pierwszy raz – dodał, patrząc na nią.

– To znaczy?

Jack Coldren nie odpowiedział od razu. Odwrócił się tyłem i spojrzał w dal, tam gdzie posłał piłki. Nie było ich widać.

– Pewnie pan słyszał, że dawno temu już raz przegrałem mistrzostwa – rzekł, stojąc plecami do Myrona.

– Tak.

Nie rozwinął tematu.

– Czy wtedy coś się stało? – spytał Myron.

– Kto wie – odparł wolno Coldren. – Straciłem pewność co do tego. Być może chce mi zaszkodzić ktoś inny. Niekoniecznie mój syn.

– Być może – zgodził się Myron.

Nie przyznał się, że wykluczył taką możliwość, gdyż Chad zniknął, zanim Coldren objął prowadzenie w turnieju. Nie było powodu mówić o tym w tej chwili.

– Bucky wspomniał mi o karcie bankomatowej – powiedział Coldren, stając twarzą do niego.

– Wczoraj wieczorem ktoś skorzystał z karty pańskiego syna. W bankomacie na Porter Street.

Przez twarz Coldrena przemknął cień. Trwało to zaledwie chwilę. Mignął i przepadł.

– Na Porter Street?

– Tak. Z bankomatu banku First Philadelphia na Porter Street w południowej części miasta. Coldren milczał.

– Zna pan tę część Filadelfii? – spytał Myron.

– Nie.

Coldren spojrzał na asystentkę. Dianę Hoffman stała dalej jak posąg. Ze splecionymi rękami. W szerokim rozkroku. Tylko popiół z papierosa w końcu spadł.

– Na pewno?

– Oczywiście.

– Byłem tam dzisiaj – oznajmił Myron.

Coldren nie zmienił wyrazu twarzy.

– Czegoś się pan dowiedział?

– Nie.

Po chwili milczenia Jack Coldren wskazał za siebie.

– Pozwoli pan, że w czasie rozmowy machnę kilka razy kijem? – spytał.

– Proszę bardzo. Coldren włożył rękawiczkę.

– Pańskim zdaniem jutro powinienem grać dalej?

– To zależy od pana – odparł Myron. – Porywacz kazał panu zachowywać się normalnie.

Wycofanie się z gry z pewnością wzbudziłoby podejrzenia.

Coldren schylił się, by umieścić piłkę na kołeczku.

– Mogę o coś spytać, Myron?

– Pewnie.

– Kiedy pan grał w koszykówkę, jak ważne było dla pana zwycięstwo?

Dziwne pytanie.

– Bardzo ważne.

Jack Coldren skinął głową, jakby oczekiwał takiej odpowiedzi.

– Zdobył pan akademickie mistrzostwo kraju, zgadza się?

– Tak.

Coldren pokręcił głową.

– Duża rzecz. Myron nie odpowiedział.

Jack Coldren wziął kij i oplótł palcami uchwyt. Ustawił się przy piłce i płynnym spiralnym ruchem znów posłał ją w powietrze. Myron śledził lot małej kulki. Przez dłuższą chwilę milczeli, wpatrzeni w dal i w ostatnie smugi promieni słonecznych na fiolecie nieba.

– Powiedzieć panu coś strasznego? – przemówił wreszcie stłumionym głosem Coldren.

Myron przysunął się bliżej.

– Mimo wszystko chcę wygrać ten turniej. Spojrzenie Coldrena zwilgotniało, a na twarzy miał takie cierpienie, że Myron o mało co go nie objął i nie przytulił. W oczach tego człowieka dostrzegł jego przeszłość, lata udreki, rozważań, jak inaczej mogłoby się potoczyć życie, i świadomość, że gdy wreszcie ma szansę powetować sobie niepowodzenia, ktoś chce mu ją odebrać.

– Kto w takiej sytuacji myśli o zwycięstwie? – spytał Coldren.

Myron milczał. Nie znał odpowiedzi. Albo też bał się, że ją zna.

Rozdział 5

Siedzibą Klubu Golfowego Merion był rozłożysty, biały wiejski dom z czarnymi okiennicami. Jego jedyną barwną ozdobę stanowiła zielona płócienna markiza, ocieniająca słynną tylną werandę, a i tę przyćmiewała zieleń pola golfowego. Po jednym z najekskluzywniejszych klubów w kraju można by się spodziewać czegoś bardziej okazałego i onieśmiałającego, a jednak owa niewyszukana prostota zdawała się mówić: „To jest klub Merion. I basta”.

Myron przeszedł obok sklepu, gdzie na metalowym stojaku wisały rządkiem worki golfowe. Na prawo znajdowały się drzwi do męskiej szatni. Z brązowej tablicy wynikało, że klub Merion stał się zabytkiem. Na tablicy informacyjnej wyszczególniono handicapy – liczby określające poziom sportowy członków klubu. Poszukał nazwiska Wina. Windsor Lockwood Trzeci miał handicap trzy. Myron nie bardzo wyznawał się na golfie, ale wiedział, że handicap trzy oznacza świetny poziom.

Na werandzie z kamienną posadzką ustawiono dwa tuziny stołów. Z tej legendarnej jadalni, zawieszanej tuż nad pierwszym torem startowym, rozciągał się świetny widok na pole. Stąd członkowie klubu – niczym rzymscy senatorowie w Koloseum – wprawnym okiem oceniali uderzenia graczy. Pod krytycznymi spojrzeniami seniorów miękili częstokroć wielcy biznesmeni i przywódcy społeczni. A teraz także i zawodowcy – weranda obiadowa była bowiem otwarta podczas całego turnieju. Na restauracyjne odgłosy wystawione były takie tuzy, jak Jack Nicklaus, Arnold Palmer, Ben Hogan, Bobby Jones i Sam Snead; drażniące pobrzękiwanie szkła i sztucców zlewało się kaskadowo z wyciszonymi reakcjami tłumu widzów i odległymi wiwatami.

Werandę wypełniali członkowie klubu. Przeważnie starsi, czerstwi, dobrze odżywieni mężczyźni. Wszyscy w granatowych lub zielonych blezerach z różnymi insygniami i krzykliwych krawatach, na ogół w paski. Wielu nosiło miękkie białe lub żółte kapelusze. Miękkie kapelusze! A Win martwił się o jego „strój”.

Myron dostrzegł go w kącie. Win siedział sam przy sześciuosobowym stole, kompletnie rozluźniony, z miną zarazem nieprzystępną i błogą. Puma czekająca cierpliwie na zdobycz. Niektórzy uznaliby za jego życiowe atuty blond włosy i arystokratyczną urodę. Może to były atuty, a może piętno. Jego wygląd bił w oczy butą, bogactwem i elitarnością. Większość bliźnich źle na to reagowała. Wzniewał w nich szczególną, gorącą, zajadłą wrogość. Sam widok takiej osoby budził żywą niechęć. Win przywykł do tego. Nie przejmował się ludźmi, którzy sądzą innych po wyglądzie. Ludzi sądzących innych po wyglądzie często to zaskakiwało.

Myron przywitał się z przyjacielem i usiadł.

– Napijesz się czegoś? – spytał Win.

– Pewnie.

– Ale nie proś o yoo–hoo, bo oberwiesz w prawe oko.

– W prawe. – Myron skinął głową. – Bardzo konkretnie. Pojawił się kelner, z wyglądu stu–letni. W zielonej marynarce i spodniach. Widać nawet obsługa harmonizowała ze słynnym otoczeniem. Niestety, z marnym skutkiem, bo staruszek kelner wyglądał jak dziadek Człowieka Zagadki z Batmana.

– Dla mnie mrożona herbata, Henry – zadysponował Win. Myrona kusiło, żeby zamówić „colta 45, jak Billy Dee”, ale się powstrzymał.

– Dla mnie to samo – powiedział.

– Służę, panie Lockwood.

Henry odszedł.

– Mów – zachęcił Win, patrząc na Myrona.

– Chodzi o porwanie.

Win uniósł brew.

– Zaginął syn jednego z graczy. Rodzice dostali dwa telefony.

Myron zrelacjonował mu ich treść.

– Coś pominąłeś – upomniał Win, wysłuchawszy go w milczeniu.

– Co?

– Nazwisko gracza.

– To Jack Coldren – rzekł z opanowaniem Myron, lecz choć z miny Wina nic nie dało się wyczytać, powiało od niego chłodem.

– A więc poznałeś Lindę.

– Tak.

– Wiesz, że jest moją krewną.

– Tak.

– Wiesz zatem również, że ci nie pomogę.

– Nie wiem.

Win usiadł wygodniej i złożył palce dłoni.

– No to już wiesz.

– Chłopiec może być w niebezpieczeństwie. Musimy mu pomóc.

– Nie ja – odparł Win.

– Mam się wycofać?

– Co zrobisz, to twoja sprawa.

– Mam się wycofać? – powtórzył z naciskiem Myron.

Kelner przyniósł mrożoną herbatę. Win pociągnął mały łyk, odwrócił wzrok i stuknął palcem wskazującym w podbródek. Był to znak, że zakończył temat. Myron znał przyjaciela na tyle, by go nie naciskać.

– Dla kogo są pozostałe krzesła? – spytał.

– Urabiam dużą żyłę.

– Kroci ci się nowy klient?

– Mnie, prawie na pewno. Czy tobie, bardzo wątpliwe.

– Kto to?

– Tad Crispin.

Myronowi opadła szczeka.

– Jemy obiad z Tadem Crispinem? – spytał.

– Oraz z naszym starym znajomym, Normanem Zuckermanem, i jego najświeższą atrakcyjną młodką.

Norm Zuckerman, właściciel Zoomu, jednej z największych w kraju firm produkujących odzież i obuwie sportowe, należał do osób, które Myron lubił najbardziej.

– Jak dotarłeś do Crispina? Podobno sam załatwia swoje sprawy.

– Owszem, a jednak szuka doradcy finansowego.

Win mimo swoich trzydziestu kilku lat stał się na Wall Street bez mała legendą. Zwrócenie się do niego o usługi nie dziwiło.

– Crispin to bardzo bystry młody człowiek – ciągnął Win. – Niestety, wszystkich agentów uważa za złodziei. O moralności prostytutek uprawiających politykę.

– Prostitutek uprawiających, politykę? Tak się wyraził?

– Nie, sam to wymyśliłem. – Win uśmiechnął się. – Niezłe, co?

– Niezłe.

Myron skinął głową.

– W każdym razie ci z Zoomu Igną do niego jak muchy do miodu. Wprowadzają na grzbiecie młodego Crispina całkiem nową serię kijów i strojów golfowych.

Tad Crispin zajmował drugie miejsce w turnieju, tracąc sporo punktów do Jacka Coldrena. Myron był ciekaw, jak w Zoomie zapatrują się na możliwość, że Coldren spije ich śmietankę. Pewnie nie było im to w smak.

– Co myślisz o dobrym występie Jacka Coldrena? – spytał. – Jesteś zaskoczony?

Win wzruszył ramionami.

– Jackowi zawsze bardzo zależało na zwycięstwach.

– Długo go znasz?

– Tak – odparł Win z chłodem w oczach.

– Znałeś go, kiedy jako świeżo upieczony zawodowiec przegrał na tym polu?

– Tak.

Myron policzył w myślach. Win chodził wtedy do szkoły podstawowej.

– Jack Coldren dał do zrozumienia, że ktoś „dopomógł” mu w przegranej.

Win prychnął.

– Bzdury.

– Bzdury?

– Pamiętasz, co się stało?

– Nie.

– Coldren twierdzi, że jego asystent dał mu przy dołku szesnastym zły kij – odparł Win. – Poprosił go o „żelazną” szóstkę, a ten wręczył mu ponoć ósemkę. Piłka nie doleciała. A konkretnie wylądowała w kamiennym dole. Już się nie pozbierał.

– Ten asystent przyznał się do błędu?

– O ile wiem, nie skomentował zarzutu.

– Co zrobił Jack?

– Wyrzucił go.

– Co się z nim teraz dzieje? – spytał Myron, chwytając nowy trop.

– Nie mam zielonego pojęcia. To się stało przeszło dwadzieścia lat temu, a on nie był młody.

– Pamiętasz, jak się nazywał?

– Nie. Zamykam temat.

Nim Myron zdążył spytać dlaczego, czyjeś dłonie zakryły mu oczy.

– Zgadnij kto? – usłyszał znajomy śpiewny głos. – Dam ci kilka wskazówek: jestem mądry, przystojny i piekielnie utalentowany.

– O rany, gdyby nie ta podpowiedź, wziąłbym cię za Norma Zuckermana – odparł.

– A z tą podpowiedzią?

Myron wzruszył ramionami.

– Gdybyś dodał: „uwielbiany przez kobiety w każdym wieku”, pomyślałbym, że to ja.

Norm Zuckerman roześmiał się serdecznie. Pochylił się i głośno cmoknął Myrona w policzek.

– Jak się masz, meszugener?

– Świetnie, Norm. A ty?

– Fantastycznie, jak pingwin na odlocie.

Zuckerman powitał Wina głośnym „serwus” i entuzjastycznym uściskiem dłoni. Obiadujący popatrzyli na niego z niesmakiem. Lecz ich lodowate spojrzenia nie ostudziły Normana Zuckermana. Nie powstrzymałaby go nawet strzelba na słońce. Myron bardzo go lubił. Oczywiście, że w zachowaniu Norma było wiele aktorstwa. Ale aktorstwa szczerego. Zarażał radością życia. Był czystą energią. Kimś, kto zmusza cię do zastanowienia się nad sobą i pozostawia z uczuciem, że czegoś ci brak.

Norm wypchnął przed siebie młodą kobietę, która stała za nim.

– Pozwólcie, że przedstawię wam Esme Fong – powiedział. – Jedną z moich wiceprezesek do spraw marketingu. Promuje naszą nową serię golfową. Brylant. Ta dziewczyna to brylant czystej wody.

Najwyżej dwudziestopięcioletnia, ocenił Myron. „Atrakcyjna młódka” Esme Fong była Azjatką z leciutką domieszką krwi europejskiej. Filigranowa, z oczami w kształcie migdałów. Włosy długie, jedwabiste, jak czarny wachlarz z kasztanowym połyskiem. Beżowy tradycyjny kostium, białe pończochy. Poważna mina atrakcyjnej młodej kobiety, która boi się, że nie wezmą ją poważnie, bo jest młoda i atrakcyjna.

Skinęła im głową i przysunęła się bliżej.

– Miło mi pana poznać, panie Bolitar – powiedziała rzeczowym tonem, wyciągając rękę. – Miło mi, panie Lockwood.

– Ma silny uścisk, co? – spytał Zuckerman – Po co te wszystkie „pan”? Mów im Myron i Win. Do diaska, toż to prawie rodzina. Owszem, jak na mojego krewniaka Win ma w sobie ciut za dużo z goja. Jego przodkowie przyplłynęli tu na „Mayflower”, a większość moich zwiła przed carskimi pogromami na statku towarowym. Ale i tak jesteśmy rodziną, prawda, Win?

– Święta.

– Usiądź, Esme. Twoja powaga działa mi na nerwy. Uśmiechnij się, dobrze? – Zuckerman wyszczerzył się w uśmiechu, wskazał swoje zęby, obrócił się w stronę Myrona i rozpostarł ręce. – Powiedz mi prawdę, Myron. Jak wyglądam?

Przekroczył sześćdziesiątkę. Jego powszedni krzykliwy strój, harmonizujący z osobowością, niemal wcale nie rzucił się w oczy po tym, co Myron zobaczył dziś w klubie. Cerę Norm miał ciemną, kostropatą, zapadłe oczy w czarnych oczodołach, rysy ostre jak na typowego Semitę przystało, a brodę i włosy długie i dość rozczochrane.

– Wyglądasz jak Jerry Rubin na procesie Chicagowskiej Siódemki – odparł Myron.

– Tak właśnie chciałem wyglądać. Retro. Supermodnie. Odjazdowo. To jest dzisiaj na topie.

– Tad Crispin się tak nie nosi – wytknął Myron.

– Ja nie mówię o golfie, ja mówię o prawdziwym świecie. Golfiarze nie mają pojęcia, co jest modne i odjazdowe. Już chasydzi są od nich bardziej podatni na zmiany, rozumiesz? Weź takiego Dennisa Rodmana. Czy on gra w golfa? A wiesz, czego chcą golfiarze? Tego samego, co u zarania marketingu sportowego: kopii Arnolda Palmera. Chcą Palmera, Nicklausa, Watsona – porządnych białych chłopców. – Zuckerman wskazał kciukiem Esme Fong. – To ona załatwiła nam Crispina. To jej chłopiec.

Myron spojrzał na Esme.

– Duża sprawa – skomplementował ją.

– Dziękuję – odparła.

– Jak duża, zobaczymy – rzekł Zuckerman. – Zoom wchodzi w golfa na dużą skalę. Wielką. Potężną. Gigantyczną.

– Ogromną.

– Olbrzymią.

– Kolosalną.

– Tytaniczną.

– Gargantuiczną.

– Brobdignańską – zakończył z uśmiechem Win.

– Oooo! To dobre! – pochwalił Myron.

Zuckerman pokręcił głową.

– Jesteście, chłopcy, zabawniejsi od Trzech Frajerów, bez łysego „Kędziora” Howarda. Tak czy siak to kampania na osiem fajerek. Prowadzi ją dla mnie Esme. Dla panów i pań. Pozyskała dla nas nie tylko Crispina, ale również najlepszą golfistkę na świecie.

– Linde Coldren? – spytał Myron.

– No proszę! – Norm klasnął w dłonie. – Żydowski koszykarz zna się na golfie! Przy okazji, Myron, jak członek narodu wybranego może się nazywać Bolitar?

– To długa historia – odparł Myron.

– Dzięki Bogu, bo nie jestem ciekaw. Spytałem przez grzeczność. Na czym to skończyłem?
– Zuckerman zarzucił nogę na nogę, rozsiadł się na krześle, uśmiechnął i rozejrzał się po tarasie. Rumiany mężczyzna przy sąsiednim stoliku łypnął na niego groźnie. – Moje uszanowanie – rzekł Norm i lekko skinął ręką. – Dobrze pan wygląda.

Mężczyzna fuknął i odwrócił wzrok.

Zuckerman wzruszył ramionami.

– Myślałby kto, że nie widział dotąd Żyda.

– Pewnie nie widział – wtrącił Win. Norm znów spojrzął na rumianego mężczyznę.

– Niech pan popatrzy – rzekł, wskazując na swoją głowę – Nie mam rogów.

Nawet Win się uśmiechnął.

– Powiedz mi, próbujesz podpisać kontrakt z Crispinem? – zagadnął Zuckerman Myrona.

– Przecież ja go nie znam – odparł Myron. Zuckerman położył rękę na piersi, udając zaskoczenie.

– W takim razie to niesamowity zbieg okoliczności. Zjawiasz się tu akurat wtedy, kiedy mamy przełamać się z nim chlebem. Czy to nie dziwne? Chwileczkę. – Urwał i przyłożył dłoń do ucha. – Czyżbym słyszał muzykę ze Strefy mroku!

– Ha, ha!

– Spokojnie, Myron, tylko się z tobą drocę. Rozchmurz się! Najpierw jednak pozwól mi na szczerość, zgoda? Nie obraż się, ale wątpię, czy Crispin cię potrzebuje. Chłopak zawarł ze mną kontrakt osobiście. Bez agenta. Prawnika. Wszystko załatwił sam.

– I dał się ograbić – dodał Win.

– Ranisz mnie, Win – oświadczył Zuckerman, kładąc dłoń na piersi.

– Crispin wymienił sumę. Myron załatwiłby mu znacznie lepsze warunki.

– Z całym szacunkiem dla wyższych sfer, które od wieków krzyżują się we własnym gronie, nie masz zielonego pojęcia, o czym mówisz. Chłopak odpalił mi trochę pieniędzy, i tyle. Czy czerpanie zysków to teraz zbrodnia?! Do diaska, to Myron jest rekinem. Rozmawiamy, a ten puszcza mnie z torbami. Wychodzi ode mnie i zostawia w skarpetkach. Bez mebli! Bez biura! Zaczynam w pięknym lokalu, a po jego wizycie kończę nagi i bosi w stołówce dla bezdomnych!

Myron spojrzął na Wina.

– Wzruszające – zakpił.

– Łamie mi serce – rzekł Win.

– Jest pani zadowolona z gry Crispina? – zagadnął Myron Esme Fong.

– Oczywiście – odparła prędko. – To jego pierwszy wielki turniej, a jest na drugim miejscu.

– Gadkę szmatkę zostaw dla tych durniów z mediów – powiedział Norm Zuckerman, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Ci dwaj to rodzina.

Esme Fong poprawiła się na krześle. Odchrząknęła.

– Kilka tygodni temu Linda Coldren wygrała Otwarte Mistrzostwa Stanów – zaczęła. – Przeprowadzimy podwójną kampanię reklamową w telewizji, radiu i gazetach; oboje znajdą się w każdym spocie. To całkiem nowe produkty, nieznane entuzjastom golfa. Oczywiście przydałoby się, żeby nowe wyroby Zoomu reklamowali mistrz i mistrzyni Stanów.

Norm znów wskazał Esme kciukiem.

– Czyż nie jest nadzwyczajna? – spytał. – „Przydałoby się”. Dobre określenie. Ogólnikowe. Myronie, czytasz strony sportowe gazet, prawda?

– Czasem.

– Ile artykułów o Crispinie znalazłeś tam przed tym turniejem?

– Dużo.

– A czy dużo napisano o nim w ciągu dwóch ubiegłych dni?

– Niewiele.

– Raczej nic. Wszyscy rozprawiają o Jacku Coldrenie. Za dwa dni ten nieborak albo zyska sławę golfowego mesjasza, albo najbardziej żalosego nieudacznika w historii. Zastanów się chwilę. Całe życie człowieka, jego przeszłość i przyszłość, określi kilka machnięć kijem. Na dobrą sprawę, to obłąd. A wiesz, co jest najgorsze?

Myron pokręcił głową.

– Strasznie liczę na to, że zawali sprawę. Czuję się jak ostatni drań, ale taka jest prawda. Mój chłopak odkuje się i wygra. Poczekaj, a zobaczysz, jak wykorzysta to Esme. W obliczu wybornej gry nowicjusza Tada Crispina weteranowi puszczają nerwy. Nowicjusz wytrzymuje presję jak Palmer i Niclaus razem wzięci. Zdajesz sobie sprawę, jak to wpłynie na kampanię naszych produktów? – Zuckerman spojrział na Wina i wskazał go palcem. – Boże, chciałbym wyglądać jak ty. Spójrzcie na niego! Do diaska, jest piękny!

Win zaśmiał się wbrew sobie. Kilku rumianych jegomościów odwróciło ku nim głowy. Norman przyjacielsko skinął im ręką.

– Następnym razem przyjdę w jarmułce – obiecał Winowi.

Win zaśmiał się jeszcze głośniejsze. Myron nie pamiętał, kiedy ostami raz widział go śmiejącego się równie szczerze. Norm tak działał na ludzi.

Esme Fong zerknęła na zegarek i wstała.

– Wpadłam jedynie, żeby się przywitać – usprawiedliwiła się. – Muszę iść, naprawdę.

Wszyscy trzej poderwali się. Norm cmoknął ją w policzek.

– Uważaj na siebie, Esme. Zobaczymy się jutro rano – powiedział.

– Tak, Norm.

Obdarzyła Myrona i Wina skromnym uśmiechem i nieśmiałym skinieniem głowy.

– Miło było was poznać.

Odeszła. Usiedli. Win złożył palce dłoni.

– Ile ona ma lat? – spytał.

– Dwadzieścia pięć. Członkini Phi Beta Kappa z Yale.

– Imponujące.

– Wybij ją sobie z głowy, Win – ostrzegł Norm.

Win nie musiał sobie niczego wybijać. Dziewczyna działająca w biznesie wymagała dłuższego zachodu. On zaś, gdy chodziło o płec przeciwną, lubił szybko kończyć sprawę.

– Wykradłem ją tym draniom z Nike – wyjaśnił Norm. – Była tam szyszką w dziale koszykówki. Nie zrozumcie mnie źle. Zarabiała kupę kasy, ale zmądrzała. Powiedziałem jej: w życiu liczy się nie tylko forsa. Wiecie, co mam na myśli?

Myron powstrzymał się od przewrócenia oczami.

– Dziewczyna tyra jak wół. Na okrągło wszystko sprawdza. Teraz jedźcie do Lindy Coldren. Na wieczorne przyjęcie przy herbatce albo kobiece pogaduszki.

Myron i Win wymienili spojrzenia.

– Wybiera się do Lindy Coldren?

– Tak, bo co?

– Kiedy do niej dzwoniła?

– O co ci chodzi?

– Dawno się z nią umówiła?

– No wiesz, czy ja wyglądam na sekretarkę?

– Mniejsza o to.

– Mniejsza.

– Przepraszam na chwilę. Pozwolisz, że zadzwonię? – spytał Myron.

– Czy ja jestem twoją matką? – Zuckerman zrobił gest „a sio!”. – Już cię nie ma.

Myron rozważał, czy nie zadzwonić z komórki, ale wolał nie ściągać na siebie gromów bogów klubu Merion. Automat telefoniczny znalazł w holu przed szatnią męską i wystukał numer telefonu Chada. Słuchawkę podniosła Linda Coldren.

– Halo?

– Dzwonię kontrolnie – wyjaśnił. – Jest coś nowego?

– Nie.

– Wie pani o wizycie Esme Fong?

– Nie chciałam jej odwoływać – odparła Linda Coldren. – Nie chciałam robić nic, co mogłoby zwrócić uwagę.

– Poradzi pani sobie?

– Tak.

Myron spostrzegł, że do stołu Wina idzie Tad Crispin.

– Skontaktowała się pani ze szkołą? – spytał.

– Nie. Nie zastałam nikogo – odparła. – Co robimy?

– Jeszcze nie wiem. Muszę zdobyć numer telefonu porywacza. Jeżeli zadzwoni ponownie, może uda się go namierzyć.

– Co poza tym?

– Spróbuję porozmawiać z Matthew Squiresem. Zobaczę, co mi powie.

– Już z nim rozmawiałam – odparła zniecierpliwiona. – On nic nie wie. Co jeszcze?

– Włączyłbym w to policję. Dyskretnie. Sam niewiele więcej mogę zdziałać.

– Nie – oznajmiła stanowczo. – Żadnej policji. W tym punkcie ja i Jack jesteśmy nieugięci.

– Mam znajomych w FBI...

– Nie.

Myron wrócił myślami do rozmowy z Winem.

– Kto asystował Jackowi, kiedy przegrał w Merion? – spytał.

Zawahała się.

– A po co panu ta informacja?

– Podobno Jack obwinił o przegraną swego asystenta.

– Tak, poniekąd.

– I go wywalił.

– I co z tego?

– Właśnie dlatego spytałem, czy mąż miał wrogów. Jak zareagował na to ten człowiek?

– Mówi pan o wypadkach sprzed ponad dwudziestu lat. Nawet jeżeli głęboko znieawidził Jacka, to czy czekałby tak długo, żeby się zemścić?

– Od tamtego czasu nie rozgrywano w Merion Otwartych Mistrzostw Stanów. Może obecny turniej rozbudził w nim uspiiony gniew. Nie wiem. Najpewniej jest to mylny trop, ale chyba warto go sprawdzić.

W słuchawce dosłyszał inny głos. Linda poprosiła, żeby Myron zaczekał.

Kilka chwil później w słuchawce rozległ się głos Jacka.

– Sądzi pan, że istnieje związek pomiędzy wydarzeniami sprzed dwudziestu trzech lat i zniknięciem Chada? – spytał bez wstępów Coldren.

– Nie wiem.

– Ale myśli pan... – natarł Coldren.

– Nie wiem, co myśleć – wpadł mu w słowo Myron. – Po prostu badam wszelkie możliwości.

Zapadła kamienna cisza.

– Nazywał się Lloyd Rennart – rzekł wreszcie Coldren.

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Nie, nie widziałem go od zakończenia tamtego turnieju.

- Od dnia, w którym go pan zwolnił.
- Tak.
- Nigdy więcej się nie spotkaliście? W klubie, na turnieju czy gdzie indziej?
- Nie. Nigdy – odparł wolno Jack Coldren.
- Gdzie wtedy mieszkał Rennart?
- W Wayne. W pobliżu Filadelfii.
- Ile ma teraz lat?
- Sześćdziesiąt osiem – odparł bez wahania Coldren.
- Czy przed tamtym turniejem łączyły was bliskie stosunki?
- Tak sądziłem – odparł po chwili bardzo cicho Coldren. – Ale nie towarzyskie. Nie poznałem jego rodziny, nie byłem w jego domu, nic z tych rzeczy. Ale na polu golfowym... – urwał. – Myślałem, że jesteśmy w dobrej komitywie.
- Zamilkł. Myron słyszał jego oddech.
- Jaki miałby w tym cel? – spytał. – Po co miałby z rozmysłem zniszczyć pańskie szanse na zwycięstwo?
- Przez dwadzieścia trzy lata chciałem poznać odpowiedź – odparł szorstko, chrapliwie Coldren.

Rozdział 6

Myron podał Esperanzy przez telefon imię i nazwisko. Nie spodziewał się większych trudności w odszukaniu Lloyd'a Rennarta. Ułatwiała to nowoczesna technika. Każdy właściciel komputera z modemem mógł wklepać adres strony www.switchboard.com, będącej w praktyce ogólnokrajową książką telefoniczną. Gdyby nie dało to rezultatu, istniały inne strony. Jeżeli Lloyd Rennart nadal żył, znalezienie go nie powinno zająć wiele. A jeżeli nie, można go było poszukać na innych stronach.

– Powiedziałeś Winowi? – spytała Esperanza.

– Tak.

– Jak zareagował?

– Nie pomoże.

– Żadna niespodzianka.

– Żadna.

– W pojedynkę nie idzie ci za dobrze.

– Nic mi nie będzie – odparł. – Cieszysz się z dyplomu? Przez ubiegłe sześć lat Esperanza studiowała wieczorami prawo na Uniwersytecie Nowojorskim. W poniedziałek skończyła studia.

– Chyba nie pójde na rozdanie.

– Dlaczego?

– Nie lubię ceremonii.

Jedyna bliska krewna Esperanzy, matka, zmarła kilka miesięcy temu. Myron podejrzewał, że właśnie jej śmierć wpłynęła najbardziej na decyzję przyjaciółki.

– Ja pójde – oświadczył. – Usiąde pośrodku pierwszego rzędu. Chcę widzieć wszystko.

Zamilkli.

– W tym miejscu mam zdusić łzy, bo komuś na mnie zależy? – spytała po chwili.

Myron pokręcił głową.

– Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.

– No nie, chcę mieć co do tego jasność. Powinam się głośno rozszlochać czy tylko pociągnąć nosem? A może mają mi zwilgotnieć oczy jak Michaelowi Landonowi w Domku na prerii?

– Ale z ciebie mądrała.

– Tylko wtedy, kiedy traktujesz mnie z góry.

– Nie traktuję cię z góry. Przejmuję się tobą. Podaj mnie za to do sądu.

– A idźże.

– Są jakieś wiadomości?

– Z milion, ale nic, co nie może poczekać do poniedziałku. Aha, jedna sprawa.

– Jaka?

– Jędz zaprosiła mnie na lunch.

„Jędzą” nazywała Jessicę, jego miłość życia. Łagodnie mówiąc, nie lubiła jej. Wielu przypuszczało, że chodzi o zazdrość, o utajony pociąg, który czuje do swojego szefa. Nic z tych rzeczy. Po pierwsze, w swoim życiu erotycznym Esperanza ceniła sobie, hm, elastyczność. Jakiś czas spotykała się z niejakim Maxem, potem z kobietą – Lucy, a w tej chwili z inną kobietą – Hester.

– Ile razy prosiłem cię, żebyś jej tak nie nazywała? – spytał.

– Z milion.

– Pójdiesz?

– Chyba tak. W końcu to darmowa wyzerka. Nawet jeśli będę musiała patrzeć jej w twarz.

Rozłączyli się. Wiadomość trochę go zaskoczyła. Wprawdzie Jessica nie odwzajemniała wrogości Esperanzy, ale nie oczekiwał, że zaprosi ją na lunch, żeby przełamać lody w ich prywatnej

zimnej wojnie. Może dlatego, że w tej chwili mieszkali razem, Jess uznała, że czas wyciągnąć gałązkę oliwną. A co tam! Zadzwoił do niej.

Odezwała się automatyczna sekretarka. Wysłuchał nagranych głosu.

– Jess? Odbierz – powiedział po sygnale.

Odebrała.

– Boże, szkoda, że cię tu nie ma – rozpoczęła rozmowę na swój sposób.

– Tak? – Wyobraził ją sobie, jak leży na kanapie, z kablem telefonu okręconym wokół palców. – Dlaczego?

– Zaraz zrobię sobie dziesięciminutową przerwę.

– Całe dziesięć minut?

– Tak.

– Marzy ci się wydłużona gra wstępna?

Zaśmiała się.

– Podnieca cię to, drągalu?

– Podnieci, jeśli zaraz nie skończysz o tym mówić.

– To może zmienimy temat.

Myron wprowadził się do mansardy Jessiki w Soho kilka miesięcy temu. Przenosiny z niedużej miejscowości w New Jersey do modnej dzielnicy w Nowym Jorku, by zamieszkać z ukochaną, które dla większości mężczyzn byłyby zmianą dramatyczną, w jego przypadku równały się osiągnięciu dojrzałości. Całe dotychczasowe życie spędził z tatą i mamą w typowym podmiejskim mieście Livingston. Od narodzin do wieku sześciu lat w sypialni na piętrze po prawej, od szóstego roku życia do trzynastego w sypialni na piętrze po lewej, a od trzynastego do trzydziestego któregoś w zaadaptowanej suterenie.

Po takim czasie silna więź z rodzicami zmieniła się w pętą.

– Podobno zaprosiłaś Esperanzę na lunch – zagadnął.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bez powodu.

– Bez powodu?

– To fajna dziewczyna. Chcę iść z nią na lunch. Nie bądź wścibski.

– Przecież wiesz, że cię nie cierpi.

– Jakoś to wytrzymam. A jak tam turniej golfa?

– Bardzo dziwny.

– Dlaczego?

– Za długo by gadać, moje ciastko z dziurką. Mogę zadzwonić później?

– Oczywiście... Powiedziałaś „moje ciastko z dziurką”? Kiedy się rozłączyli, Myron zmarszczył czoło. Coś tu nie grało. Nigdy jeszcze nie byli sobie tak bliscy, a ich uczucie tak mocne. Zamieszkanie razem było słusznym krokiem, wypędzili ostatnio dużo złych duchów przeszłości. Kochali się, szanowali nawzajem swoje uczucia i potrzeby i prawie z sobą nie walczyli.

Dlaczego więc miał wrażenie, że stoją na skraju głębokiej przepaści?

Odpędził od siebie ten obraz, uboczny produkt nadwrażliwej wyobraźni. Żeglowanie po spokojnych wodach nie oznacza, że nie wpadniesz na górę lodową, wytłumaczył sobie.

O rany, a to ci głęboka myśl!

Kiedy wrócił do stołu Wina, Tad Crispin też już sączył mrożoną herbatę. Win przedstawił ich sobie. Golfista był ubrany na żółto, w mnóstwo żółtości, niczym człowiek w żółtym kapeluszu z książeczek o małpce Ciekawskim Jurku. Wszystko miał żółte. Nawet buty do golfa. Myron starał się zachować powagę.

– To nie nasza kolekcja – zastrzegł się Norm Zuckermafij jakby czytając w jego myślach. – Dobrze słyszeć.

– Bardzo mi miło – rzekł Tad Crispin, wstając.

Myron obdarzył go szerokim uśmiechem.

– To prawdziwy zaszczyt poznać pana, Tad – odparł głosem tak szczerym, jak, nie przymierzając, głos sprzedawcy sprzętu AGD w sklepie sieci handlowej.

Uścisnęli sobie dłonie. Myron zachował uśmiech. Crispin stał się czujny.

– Zawsze jest taki uprzejmy? – spytał Zuckerman Wina, wskazując Myrona kciukiem.

Win skinął głową.

– Zwłaszcza w towarzystwie pań. Usiedli.

– Nie zostanę długo – uprzedził Crispin.

– Rozumiemy, Tad – zapewnił Zuckerman, rękami znów robiąc gest „a sio!”. – Jesteś zmęczony, musisz się skoncentrować na jutro. Już cię nie ma, prześpij się.

Crispin uśmiechnął się nieznacznie i spojrział na Wina.

– Chcę, żeby poprowadził pan moje finanse – powiedział.

– Ja nie „prowadzę” finansów – sprostował Win. – Ja doradzam.

– To jakaś różnica?

– Jak najbardziej. Pieniędźmi cały czas zawiaduje właściciel. Ja tylko zalecam, co z nimi zrobić. Zalecam bezpośrednio. Osobiście. Razem omawiamy te sprawy. Ale to pan podejmuje ostateczną decyzję. Bez pańskiej wiedzy niczego nie kupuję, nie sprzedaję ani nie wymieniam.

Crispin skinął głową.

– To mi się podoba.

– Nie wątpię – odparł Win. – Widzę, że zamierza pan pilnie strzec swoich pieniędzy.

– Tak.

– Rozumiem. – Win skinął głową. – Naczytał się pan o sportowcach, którzy kończą bez grosza. Wykorzystani przez bezwzględnych finansistów i różnych takich.

– Tak.

– Do mnie zaś będzie należało maksymalne zwiększenie pańskich zysków, czy tak?

Crispin pochylił się lekko do przodu.

– Tak.

– A więc dobrze. Dopomogę panu w maksymalnym pomnożeniu okazji do inwestowania po tym, jak pan na to zapracuje. Nie służyłbym jednak dobrze pańskim interesom, gdybym nie podpowiedział przy okazji, w jaki sposób może pan zwiększyć profity.

Crispin zmrużył oczy.

– Nie bardzo rozumiem – przyznał.

– Win! – wtrącił Zuckerman.

Win zignorował go.

– Byłoby z mojej strony niedbalstwem, gdybym, jako pański doradca finansowy, nie udzielił panu rady: potrzebuje pan dobrego agenta.

Crispin przesunął wzrok na Myrona. Myron ani drgnął, wpatrując się w niego bacznie.

– Wiem, że współpracuje pan z panem Bolitarem – rzekł Crispin do Wina.

– Tak i nie. Jeśli skorzysta pan z jego usług, nie zarobią na tym ani centa. Chociaż nie, niezupełnie. Jeśli skorzysta pan z usług Myrona, zarobi pan więcej, a ja, inwestując więcej pańskich pieniędzy, też dzięki temu zyskam.

– Dzięki, ale nie jestem zainteresowany – odparł Crispin.

– Pańska wola. Pozwoli pan jednak wyjaśnić sobie, co rozumiem przez „tak i nie”. Zarządzam kapitałem wartości około czterystu milionów dolarów. Do klientów Myrona należy niecałe trzy procent tej sumy. Nie jestem pracownikiem jego RepSport MB. Myron Bolitar nie jest pracownikiem Lock-Horne Securities. Nie tworzymy spółki. Nie zainwestowałem w jego firmę ani on w moją. Myron nigdy nie wglądał w dokumenty moich klientów, nie pytał o ich sytuację finansową, ani nie omawiał jej ze mną. Działamy całkiem niezależnie od siebie. Z jednym wyjątkiem.

Wszyscy wpatrywali się w Wina. Myron, który nie słynął z trzymania gęby na kłódkę, tym razem zrozumiał, że powinien milczeć.

– Jestem doradcą finansowym wszystkich jego klientów. Wie pan dlaczego? – spytał Win.

Crispin pokręcił głową.

– Ponieważ nalega na to.

– Nie rozumiem. – Crispin wyraźnie się pocił.

Bolitar nie ma z tego nic.

– Tego nie powiedziałem.

– Ale powiedział pan, że... Ma z tego dużo.

– Myron też był sportowcem. Wie pan?

– Coś słyszałem.

– Zna los sportowców. Wie, jak ich oszukują. Jak trwonią ich zarobki, nie przyjmując do wiadomości faktu, że ich sportowe kariery mogą się w okamgnieniu skończyć. Tak więc zdecydowanie odmawia, podkreślam, odmawia, zajmowania się ich finansami. Z tego powodu zrezygnował z kilku klientów. Upiera się, bym zajmował się nimi ja. Dlaczego? Z tego samego powodu, dla którego pan mnie wybrał. Wie, że jestem najlepszy. Brzmi to nieskromnie, ale tak jest w istocie. Myron nalega również, żeby jego klienci spotykali się ze mną osobiście co najmniej raz na kwartał. Nie porozumiewali się ze mną przez telefon. Nie za pośrednictwem faksów, e-maili, listów. Domaga się, bym omawiał z nimi każdą pozycję na ich koncie.

Win odchylił się do tyłu i złożył palce. Uwielbiał je składać. Było mu z tym do twarzy. Przydawało aury mędrca.

– Myron Bolitar to mój najlepszy przyjaciel – ciągnął. – Wiem, że oddałby za mnie życie, a ja za niego. Lecz gdyby powziął podejrzenie, że nie działam w najlepszym interesie jego klientów, bez wahania odebrałby mi ich pieniądze.

– Piękna przemowa, Win – pochwalił Norm. – Walnęła mnie tu.

Wskazał żołądek.

Win zmroził go wzrokiem. Norm przestał się uśmiechać.

– Sam zawarłem umowę z panem Zuckermanem – rzekł Crispin. – Mogę zawrzeć inne.

– Nie skomentuję pańskiej umowy z firmą Zoom – odparł Win. – Ale coś panu powiem. Jest pan inteligentnym młodym człowiekiem. Inteligentny człowiek zna swoje mocne strony, i, co równie ważne, zna też swoje słabości. Ja, na przykład, nie umiem negocjować kontraktów reklamowych. Co prawda znam podstawy, lecz nie jest to mój fach. Nie jestem hydraulikiem. Jeżeli w moim domu pęknie rura, sam jej nie naprawię. Pan jest golfistą. Jednym z największych talentów, jakie widziałem. Dlatego radzę skupić się na golfie.

Tad Crispin pociągnął łyk herbaty. Założył nogę na nogę. Nawet skarpetki miał żółte.

– Chce pan drogo sprzedać usługi przyjaciela – powiedział.

– Myli się pan. Zabiłbym dla niego, lecz co do finansów nic mu nie jestem winien. Natomiast w przypadku pana, jako mojego klienta, ciężą na mnie bardzo poważne powinności finansowe. Mówiąc wprost, zlecił mi pan powiększenie kapitału. W związku z tym zapropionują panu kilka inwestycji. Najlepszą z nich jest kontrakt z panem Bolitarem.

Crispin obrócił się w stronę Myrona i zlustrował go badawczym wzrokiem. Myron uśmiechnął się szeroko, żeby golfista mógł ocenić jego zęby.

– W opinii pana Lockwooda jest pan znakomity – rzekł Crispin.

– Jestem dobry – przyznał Myron. – Nie chciałbym jednak, żeby Win wprowadził pana w błąd. Nie jestem aż takim altruistą, jak wynikałoby z jego słów. Nie polecam go klientom dlatego, że taki ze mnie brat łąta. Dobrze wiem, ile znaczy dla mojej agencji fakt, że im doradza. Zwiększa wartość moich usług. Dba o zadowolenie klientów. Dla mnie to czysty zysk. Owszem, nalegam, żeby klienci sami decydowali w sprawach finansowych, nie tylko z uwagi na ich bezpieczeństwo, lecz i moje własne.

– Jak to?

– Z pewnością słyszał pan niejedno o menedżerach i agentach okradających sportowców.

– Tak.

– A czy wie pan, dlaczego zjawisko to jest tak nagminne?

Crispin wzruszył ramionami.

– Z powodu chciwości?

Myron przekrzywił głowę w odpowiedzi „tak i nie”.

– Głównie z powodu bierności. Braku zaangażowania sportowców. Są leniwi. Wolą, popełniając błąd, całkowicie zawierzyć agentowi, bo tak jest wygodniej. Niech on płaci moje rachunki, powiadają. Niech inwestuje pieniądze. I tak dalej. W agencji RepSport to jest niemożliwe. Nie dlatego, że ja czuwam nad finansami. Nie dlatego, że czuwa nad nimi Win. Ale dlatego, że czuwa nad nimi pan.

– Teraz też czuwam – odparł Crispin.

– Czuwa pan nad pieniędzmi, owszem. Śmiem jednak wątpić, czy nad resztą.

Crispin trawił to przez chwilę.

– Doceniam pańskie argumenty, ale radzę sobie całkiem dobrze.

– Ile dostaje pan za tę czapkę? – spytał Myron, wskazując na jego głowę.

– Słucham?

– Nosi pan czapkę bez znaku firmowego – wyjaśnił Myron. – Dla gracza pańskiej klasy to strata ćwierć miliona rocznie.

Crispin zaniemówił.

– Będę współpracował z Zoom – powiedział.

– Czy wykupili od pana prawa na czapkę?

– Chyba nie – odparł Crispin po chwili.

– Jej przód jest wart ćwierć miliona. Można też sprzedać boki. Są tańsze. W sumie da się wyciągnąć ze czterysta tysięcy. Kolejna sprawa to koszulka.

– No nie, chwileczkę! – wtrącił Zuckerman. – Tad będzie nosił koszulki Zoom.

– Jasne, Norm – rzekł Myron. – Ale wolno mu na nich nosić znaki firmowe. Na piersi i rękawkach.

– Znaki firmowe?

– Co chce. Logo Coca-Coli. IBM. Nawet Home Depot.

– Znaki firmowe na mojej koszulce?

– A jak. Co pan pije na polu?

– Co piję? Podczas gry?

– Tak. Mógłbym panu załatwić kontrakt z Powerade albo inną firmą napojów gazowanych. Co powiedziałby pan na reklamę wody Poland Spring? Niezła marka. A co z workiem na kije? Musi pan wynegocjować kontrakt na worek golfowy.

– Nie rozumiem.

– Jest pan chodzącą planszą reklamową, Tad. Pokazują pana w telewizji. Ogląda pana mnóstwo kibiców. Pańska czapka, pańska koszulka, pańska torba na kije to gotowe miejsca na reklamę.

– No nie, sekundę! – wtrącił Zuckerman. – Tad nie może tak po prostu...

Zagrała komórka, ale tylko raz, bo Myron dosięgnął palcem wyłącznika z taką z szybkością, że niech się schowa szeryf Wyatt Earp. Szybki refleks. Raz na jakiś czas się przydaje.

Ale i tak krótki sygnał ściągnął gniew siedzących w pobliżu członków klubu. Myron rozejrzał się. Wbili w niego – włącznie z Winem – kilka spojrzeń ostrych jak sztylety.

– Szybko za dom klubowy – rzekł z naciskiem Win. – Niech nikt cię nie widzi.

Myron zasalutował żartobliwie i wypadł z werandy jak ktoś, kogo przyparł pęcherz. Gdy dotarł w bezpieczne miejsce blisko parkingu, włączył komórkę.

– Halo!

- O Boże... – usłyszał głos Lindy Coldren, który zmroził go do szpiku kości.
 - Co się stało?
 - Znów zadzwonił.
 - Nagrała go pani na taśmę?
 - Tak.
 - Zaraz tam będę...
 - Nie! – krzyknęła. – Obserwuje dom.
 - Widziała go pani?
 - Nie. Ale... Niech pan nie przyjeżdża. Proszę.
 - Skąd pani dzwoni?
 - Z telefonu w suterenie. Boże, Myron, gdyby pan go słyszał!
 - Czy wyświetlił się numer, spod którego dzwonił?
 - Tak.
 - Proszę mi go podać.
- Wyjął z portfela pióro i zapisał numer na starym kwicie.
- Jest pani sama?
 - Jest ze mną Jack.
 - Nikt poza tym? A co z Esme Fong?
 - Jest na górze, w salonie.
 - Dobrze. Chcę odsłuchać to nagranie.
 - Chwileczkę. Jack podłącza sekretarkę. Włączę głośnik.

Rozdział 7

Trzasnął klawisz i rozległ się dzwonek. Zaskakująco wyraźny. A potem Myron usłyszał głos Jacka Coldrena:

– Halo?

– Kim jest ta żółta dziwka?

Bardzo niski, bardzo groźny, z pewnością zmieniony elektronicznie głos mógł należeć do każdego, młodego lub starego, kobiety lub mężczyzny.

– Nie wiem, o co...

– Pogrywasz ze mną w chuja, głupi sukinsynu?! Chcesz żebym zaczął ci przysyłać waszego zasranego gnojka po kawałku?

– Proszę...

– Powiedziałem: nie kontaktujcie się z nikim.

– Nie skontaktowaliśmy się.

– No to co za żółta dziwka weszła do was przed chwilą?

Zapadła cisza.

– Masz mnie za barana, Jack?

– Skądże.

– Więc co to za jedna?

– Nazywa się Esmé Fong – odparł szybko Coldren. – Pracuje dla firmy odzieżowej. Przyjechała zawrzeć kontakt reklamowy z moją żoną.

– Pieprzysz.

– Naprawdę, przysięgam!

– Nie wiem, Jack...

– Panu nie skłamałbym.

– Dobra, Jack, zobaczymy. Będzie cię to kosztować.

– To znaczy?

– Sto tysięcy. Nazwijmy to grzywną.

– Za co?

– Gównu ci do tego. Chcesz, żeby chłopak przeżył? Będzie cię to teraz kosztować sto kawałków. To do...

– Zaraz, chwilę.

Coldren odchrząknął, próbując odzyskać kontrolę, zapanować nad sytuacją.

– Jack?!

– Tak?

– Przerwij mi jeszcze raz, a wkręcę kutasa twojego szczyła w imadło.

Na moment zapadła cisza.

– Przygotuj kasę, Jack. Sto kawałków. Zadzwoń i powiem ci co dalej. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Żadnych numerów, Jack. Uwielbiam sprawiać ból.

Po krótkiej ciszy rozległ się nagle przenikliwy krzyk, krzyk szarpiący nerwy, od którego jeżą się włosy na karku. Myron zacisnął dłoń na komórce.

Połączenie przerwano. Rozległ się sygnał i zapadła cisza.

– Co pan zamierza zrobić? – spytała Linda Coldren.

– Zadzwoń do FBI.

– Czy pan oszalał?!

– Moim zdaniem to najlepsze wyjście.

Jack Coldren powiedział coś w tle.

– Wykluczone! – oświadczyła Linda Coldren. – Chcemy zapłacić okup i odzyskać syna. Nie było sensu się z nimi spierać.

– Nic państwo nie róbcie – rzekł Myron. – Oddzwonię tak szybko, jak będę mógł.

Rozłączył się i wystukał numer Lisy z nowojorskiego oddziału firmy telefonicznej Bell. Pomagała im od czasów, kiedy on i Win pracowali dla rządu.

– Mam zidentyfikowany numer dzwoniącego w Filadelfii – powiedział. – Znajdziesz adres?

– Żaden problem – odparła.

Podał jej numer. Ludzie, którzy oglądają za dużo telewizji, sądzą, że taka sprawa wymaga czasu. Już nie. Dziś te rzeczy ustala się błyskawicznie. Koniec z „potrzymaj go dłużej na linii”. Podobnie jest ze zlokalizowaniem aparatu, z którego ktoś dzwoni. Każdy operator może niemal natychmiast wprowadzić numer do komputera lub skorzystać z jednej z książek telefonicznych i babach! Zresztą można się właściwie obyć bez operatora. Wystarczą odpowiednie programy na CD-ROM-ie i strony Internetu.

– To automat – poinformowała Lisa. Kiepskie wieści, ale oczekiwane.

– Gdzie on jest?

– W galerii handlowej Grand Mercado w Bala-Cynwyd.

– W galerii handlowej?

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak podają.

– Gdzie jest ta galeria?

– Nie mam pojęcia. Myślisz, że w tej książce podają, że „pomiędzy Searsem a Victoria’s Secret”?

Nie było w tym sensu. Galeria handlowa? Porywacz zaciągnął Chada Coldrena do galerii i zmusił do krzyknienia w słuchawkę?

– Dzięki, Liso.

Myron rozłączył się i obrócił w stronę ganku. Tuż za nim stał Win. Ze splecionymi rękami, jak zawsze w swobodnej pozie.

– Zadzwoił porywacz – poinformował Myron.

– Podśluchałem.

– Łatwiej bym go wytropił z twoją pomocą.

– Nie.

– Nie chodzi o twoją matkę, Win.

Win nie zmienił miny, ale zmienił się wyraz jego oczu.

– Uważaj – rzekł tylko.

Myron pokręcił głową.

– Muszę jechać. Przepróż w moim imieniu.

– Przyjechałeś tu zdobyć klientów – przypomniał Win. – Przyznałeś, że zgodziłeś się pomóc Coldrenom, licząc, że zostaniesz ich agentem.

– I co z tego?

– Jesteś niezwykle blisko pozyskania najlepszego młodego golfisty na świecie. Rozum nakazuje, żebyś został.

– Nie mogę.

Win rozplótł ręce i pokręcił głową.

– Zrobisz coś dla mnie? – spytał Myron. – Sprawdzisz, czy marnuję czas?

Win nie zareagował.

– Jak ci wspomniałem, Chad użył karty bankomatowej.

– Tak.

– Zdobądź taśmę z nagraniem tej transakcji. Być może się okaże, że Chad sfingował to porwanie.

Win zawrócił do ganku.

– Spotkamy się wieczorem w domu – powiedział.

Rozdział 8

Myron zaparkował w galerii handlowej i sprawdził godzinę. Miał za sobą długi dzień. Była za kwadrans ósma. Stosunkowo wcześnie. Wszedł przez sklep Macy's i od razu wypatrył dużą tablicę z planem. Automaty telefoniczne oznaczono niebieskimi symbolami. W sumie naliczył ich jedenaście. Dwa znajdowały się na dole przy wejściu od południa. Dwa na piętrze przy wejściu od północy. Siedem w kompleksie gastronomicznym.

Centra handlowe to kwintesencja geograficznej równości wszystkich stanów Ameryki. Dzięki dużym lśniącym supermarketom z rzeźbionymi podświetlonymi sufitami Kansas dorównuje Kalifornii, a Nevada – New Jersey. Nigdzie nie jest tak amerykańsko. Niektóre sklepy w środku co prawda różniły się od siebie, lecz nie za bardzo. Athlete's Foot i Foot Locker, Rite Aid i CVS, Williams-Sonoma i Portery Barn, Waldenbooks i B. Dalton, Gap, Banana Republic, Old Navy (zbiegiem okoliczności należące do jednego właściciela), kilka anonimowych z obuwiami, Radio Shack, Victoria's Secret, galeria sztuki z dziełami Gormana, McKnighta i Behrensa, antykwariat, dwa sklepy z płytami – wszystkie w oprawie z Orwellovskiego, lśniącego chromem neoromańskiego forum z tandetnymi fontannami, obfitością marmurów, rzeźb jak z poczekalni dentysty, bezzałogowych okienek informacyjnych i sztucznych paproci.

Siedzący przed sklepem z elektrycznymi organami i pianinami pracownik w źle dopasowanym mundurze marynarskim i kapitańskiej czapce grał na organach Muskrat Love. Na usta cisnęło się pytanie, gdzie jest Toni Tenille, ale Myron go nie zadał. Było zbyt oczywiste. Organy w centrach handlowych? Kto je tam kupuje?

Myron szybko minął sklep spółki z ograniczoną, nieograniczoną bądź mocno nadwerżoną odpowiedzialnością. Potem Jeansy Plus albo Minus, a może Tylko Koszule, Tylko Spodnie, Podkoszulek City lub jakiś podobny. Wszystkie wyglądały z grubsza tak samo. Wszystkie zatrudniały chudych, znudzonych nastolatków, podpierających półki z towarami z entuzjazmem eunuchów zaproszonych na orgię.

Po galerii pałętało się mnóstwo sztubaków – „tak się tylko kręcę, stary” – ubranych... supe-rowo. W jego oczach, choć trąciło to rasizmem na odwyrtekę, wszystkie te białe chłopaki wyglądały jak spod sztancy. Spodnie wory. Białe podkoszulki z rękawkami. Niezasnuowane czarne trampki za sto dolarów. Na ogolonych głowach naciągnięte nisko baseballówki ze zmyślnie wykrzywionymi daszkami. Chudzi. Patykowaci. Długoręcy, długonodzy. Nawet w lecie bladzi jak postacie z portretów Goi. Z wadami postawy. Z oczami, które nie patrzą wprost na ciebie. Oczami rozbieganymi. Lekko wystraszonymi.

Minął zakład fryzjerski Ciach-ciach, z nazwy bliższy klinice chirurgicznej niż salonowi piękności. Upiększaniem w Ciach-ciachu zajmowały się dziewczyny – sporządzały bywalczynie galerii – oraz chłopcy o imieniu Mario, potomkowie ojców o imieniu Sal. W oknie salonu siedziały dwie klientki. Jednej robiono trwałą, drugiej rozjaśniano włosy. Co za przyjemność siedzieć w oknie fryzjerni na oczach całego świata, który patrzy, jak farbują i ondulują ci loki?

Ruchomymi schodami, sunącymi przez sztuczny ogród z plastikowymi pnączami, wjechał na górę do klejnotu koronnego galerii handlowej – gastroramy. W tej chwili było tam pustawo, bo obiadowe tłumy dawno odpłynęły. Kompleksy gastronomiczne są uosobieniem amerykańskiego wielonarodowego tygla. Z potrawami włoskimi, chińskimi, japońskimi, meksykańskimi, bliskowschodnimi (albo greckimi), delikatesami, daniami z kurczaków, barem fast foodowym w stylu McDonalda (przyciągającym najwięcej klientów), pijalnią mrożonych jogurtów i paroma, stworzonymi przez marzycieli śniących o dorównaniu Rayowi Krocowi, oryginalnymi przedsięwzięciami kulinarnymi o nazwach: Etiopska Ekstaza, Szwedzkie Klopsy Svena, Curry i Synowie.

Myron sprawdził numery siedmiu automatów. Wszystkie wydrapano. Nie dziwota, zważywszy na to, jak traktowali je współcześni. Ale i nie problem. Wyjął komórkę i wystukał numer. Telefon zadzwonił natychmiast.

Proszę bardzo!

Ten dalszy, na prawo. Myron podniósł słuchawkę i upewnił się.

– Halo? – powiedział i usłyszał siebie w komórce. – Cześć, Myron, miło cię słyszeć – rzekł do mikrofonu i na tym poprzestał.

Jeszcze było za wcześnie na takie głupoty.

Odwiślał słuchawkę i rozejrzał się. Stolik nieopodal okupowała grupka bywalczyń galerii. Siedziały ścieśnione w opiekuńczym kręgu niczym kojoty podczas rui.

Najlepszy widok na telefon był ze Szwedzkich Klopsów Svena. Myron podszedł do stoiska, które obsługiwało dwóch mężczyzn. Smagłych brunetów z wąsami a la Saddam Husajn. Na plakietce jednego widniało imię Mustafa. Na plakietce drugiego imię Achmed.

– Który z panów to Sven? – spytał. Nie ubawił ich.

Spytał o automat. Nie pomogli mu. Mustafa burknął, że zarabia na życie i nie patrzy na automaty, Achmed zaś zrobił gest i zaklął w obcym języku.

– Nie jestem poliglotą, ale to chyba nie było po szwedzku. Przeszyli go morderczymi spojrzzeniami.

– Na razie. Zareklamuję wasz lokal wszystkim przyjaciółom – powiedział i obrócił się w stronę stolika dziewcząt.

Wszystkie szybko spuściły oczy, jak spłoszone szczury w blasku latarki. Ruszył ku nim. Zaczęły strzelać spojrzzeniami tam i siam, sądząc, że patrzają ukradkiem. Doszła go kakofonia ściszonych głosów: „O kurde! Kurde! Kurde! Idzie tu!”.

Zatrzymał się przy ich stoliku. Siedziały tam cztery dziewczyny. A może pięć, a nawet sześć. Trudno powiedzieć. Zdawały się z sobą zlewać w niewyraźną plątaninę włosów, czarnej szminki, szponów godnych zbrodniczego doktora Fu Mandżu, kolczyków, kótek w nosie, papierosowego dymu, za obcisłych topów wiązanych na szyi, nagich brzuchów i gumy balonowej.

Pierwsze podniosło wzrok dziewczę siedzące w środku, z fryzurą jak Elsa Lancaster w Narzeczonej Frankensteina i z podobną do psiej, nabijaną ćwiekami obrozą na szyi. Inne poszły za jej przykładem.

– Siemka – powitała go Elsa.

Myron użył najsympatyczniejszego z krzywych uśmiechów, typu Harrison Ford w Odnaleźć siebie.

– Pozwolicie, że zadam wam kilka pytań? – zagadnął.

Dziewczyny wymieniły spojrzenia. Poczuli, że się czerwieni, choć nie wiedział dlaczego. Stuknęły się łokciami. Żadna nie odpowiedziała.

– Długo tutaj siedzicie?

– To jakaś ankieta w sprawie galerii?

– Nie – zaprzeczył.

– Gitnie. Bo te ankiety to fajans, co nie?

– Aha.

– Z takimi to: „Spadaj na drzewo, Poliesterowe Sztany, bo wezmę na glany”.

– Aha – powtórzył Myron i spytał: – Pamiętacie, jak długo tu siedzicie?

– Ja nie. A ty, Amber?

– Do Szpary żeśmy przyszły o czwartej, tak?

– No, do Szpary. Superwyprzedaż.

– Ekstra. Fajną bluzkę kupiłaś, Trish.

– Normalnie ful wypas, co nie, Mindy?

– Dokładnie. Ekstra.

- Dochodzi ósma – powiedział Myron. – Siedzicie tu od godziny?
- Wszyscy w domu? Lekutko.
- Bo to jest nasze miejsce, no nie?
- Normalnie tutaj nikt prócz nas nie siada.
- Raz tylko chciały nam się wciąć wredne fajansiary.
- Ale więcej się nie pokazały.

Zamilkły, utkwivszy oczy w Myronie. Domyślił się, że odpowiedź na jego poprzednie pytanie brzmi „tak”, więc zaryzykował następne.

- Widziałyście, żeby ktoś korzystał z tego automatu?
- A pan co, z policji?
- Co ty!
- W życiu.
- I jeszcze dłużej.
- Za fajny na policjanta.
- Taaa? A Jimmy Smits nie jest fajny?
- W telewizji, głupia pipo! Nie w życiu! W prawdziwym życiu nie ma fajnych glin!
- No, a Brad? Nie jest w pytę fajny? Normalnie się w nim bujasz, sieroto.
- No, co ty! A poza tym nie jest gliną, tylko ochroniarzem w sklepie Florsheima.
- Ale jest po byku.
- Zdziabisty.
- Ekstrakoleś!
- Leci na Shari.
- Fuuuj! Shari?!
- Nie cierpię jej, kurde!
- Ja też. Gdzie ona się obsprawią? W butiku Dziuwiki To My?
- Dokładnie.
- „Halo, Telepogotowie Adidas? Mówi Shari”.

Zachichotały.

Myron rozejrzał się za tłumaczem.

- Nie jestem z policji – powiedział.
 - A nie mówiłam?
 - Fanzolisz.
 - Ale mam bardzo ważną sprawę. Sprawę życia i śmierci. Muszę wiedzieć, czy przed trzema kwadransami ktoś dzwonił z tego automatu, tego z prawej. Pamiętacie?
 - Chwila! – Dziewczę imieniem Amber odstawiło krzesło. – Odsuńcie się, siory, bo zaraz puszcze pawia jak stąd do Alaski.
 - Wyglądał jak Klaun Paskuda z Simpsonów.
 - Groza!
 - Totalna groza!
 - Dokładnie!
 - Puścił oko do Amber!
 - Co ty!
 - Dokładnie. Fuuuj!
 - Pośpieszny do Rygi!
 - Ale ta zdzira Shari by mu obciągnęła.
 - Co najmniej.
- Zachichotały.
- Widziałyście kogoś?
 - Straszny luj!

- Totalna paskuda!
- Taki „Te, pierzesz se kiedyś pióra?”.
- Taki „Te, kradniesz kolońską w stacji paliw?”.

Znów zachichotały.

- Możecie go opisać? – poprosił Myron.
- Dżinsy normalnie z dyskontu.
- Robocze glany. Na pewno nie timberlandy.
- Zgrywał wielkiego skina, no nie?
- Zgrywał skina?
- A jak, glaca, syfiasta broda. I ten taki tatuaż na łapie.
- Jaki?

– No ten, wie pan. – Dziewczyna nakreśliła coś palcem w powietrzu. – Taki porąbany krzyż, z dawnych czasów.

- Masz na myśli swastykę?
- Jak ją zwał, tak zwał. Wyglądam na studentkę historii?
- A ile normalnie miał lat? – spytał Myron. Powiedział „normalnie”! Groziło mu, że jeżeli zabawi tu trochę dłużej, w końcu sobie coś przekłuje. Dokładnie.

- Stary.
- Zgredzisko.
- Co najmniej dwadzieścia.
- Wzrost? – spytał Myron. – Waga?
- Metr osiemdziesiąt.
- No, metr osiemdziesiąt, co nie?
- Kościsty.
- Żeby tylko.
- Normalnie zero tyłka.
- Decha.
- Był ktoś z nim?
- Co pan!
- Z nim?!
- W życiu!
- Kto by chciał chodzić z takim lujem?
- Był przy tym automacie z pół godziny.
- Napalił się na Mindy.
- Wcale że nie!
- Momencik. Był tam pół godziny? – spytał Myron.
- Tak długo to nie.
- Ale dłuższy czas.
- Z piętnaście minut. Amber zawsze, kurde, przesadza.
- Zejdz ze mnie, Trish, dobra?! Daj se siana!
- Coś jeszcze? – spytał Myron.
- Pager.
- Racja, pager. Kto by w ogóle chciał dzwonić do takiego luja!
- Trzymał go przy słuchawce.

Pewnie nie był to pager. Prędeż minimagnetofon – tłumaczyłoby to krzyk w słuchawce. Albo zmieniacz głosu. Zmieniacze też były niewielkie.

Myron podziękował dziewczętom i wręczył im wizytówki z numerem swojej komórki. Jedna z nich przeczytała ją i zrobiła minę.

- Pan ma na imię Myron? Powaga? – spytała.

– Tak.

Wszystkie zamarły i wpatrzyły się w niego.

– Wiem, wiem. Jest ekstrasfajansiarskie – dodał. Kiedy wracał do samochodu, dopadła go dręcząca myśl.

Porywacz wspomniał przez telefon o „żółtej dziwce”. Skądś wiedział, że Esme Fong przyjechała do Coldrenów. Pytanie skąd?

Nasuwały się dwie możliwości. Pierwsza: w domu był podsłuch.

Nieprawdopodobne. Gdyby rezydencja Coldrenów była na podsłuchu lub pod innym elektronicznym dozorem, porywacz wiedziałby również o jego zaangażowaniu w sprawę.

Druga: któryś z porywaczy śledził dom.

Takie wyjaśnienie wydawało się najlogiczniejsze. Myron zastanawiał się chwilę. Jeśli ktoś obserwował dom zaledwie przed godziną, przypuszczalnie nadal ukrywał się za jakimś drzewem lub krzakiem. Gdyby go niepostrzeżenie wypatrzył, mógł jego tropem dotrzeć do Chada Coldrena.

Warto było zaryzykować?

A jak, dokładnie.

Rozdział 9

Znów podał nazwisko Wina i zajechał na parking w Merion. Rozejrzał się, lecz nie dostrzegł jaguara przyjaciela. Po zaparkowaniu sprawdził, czy nie ma strażników. Nie było żadnego. Wszyscy pilnowali wjazdu. Ułatwiało to sprawę.

Przestąpił białą linię odgradzającą widzów od graczy i ruszył przez pole golfowe. Zapadł zmrok, ale światła w domach po drugiej stronie drogi wystarczająco oświetlały murawę. Wbrew swej sławie Merion było małym polem. Oddzielona dwoma torami od parkingu, Golf House Road znajdowała się niecałe sto metrów dalej.

Myron szedł przez trawę. Łaskotała go w nagie kostki. W powietrzu niczym ciężka derka z kropli wisiała wilgoć. Koszula zaczęła mu lgnąć do ciała. Chmary świerszczy cały czas grały melodię monotonna jak CD Mariah Carey, choć nie tak drażniącą.

Mimo wrodzonej niechęci do golfa Myron zachował należyty szacunek dla świętego gruntu, po którym stąpał. Nocą miejsce to, niczym stare owiane legendami zamczyska, zdawały się nawiedzać duchy. Przypomniał sobie, jak stał kiedyś samotnie na parkiecie hali Boston Garden. Tydzień wcześniej w pierwszej rundzie naboru NBA trafił do drużyny Celtics. Tego dnia legendarny menedżer Celtów Clip Arnstein przedstawił go prasie. Niesamowita frajda. Wszyscy się cieszyli, uśmiechali i nazywali go następcą Larry'ego Birda. Wieczorem, gdy stał sam w sławnej hali Garden, miał wrażenie, że zwisające z krokwi flagi mistrzowskie kołyszą się w nieruchomym powietrzu, przywołując go i szepcząc historie z przeszłości i obietnice na przyszłość. Nie rozegrał na jej parkiecie ani jednego meczu. Gdy doszedł do Golf House Road, zwolnił, przekroczył białą linię i skrył się za drzewem. Zadanie nie było łatwe. Lecz ten, na którego polował, też nie miał łatwo. W tak ekskluzywnych dzielnicach zwracano uwagę na wszystko, co podejrzane. Na przykład na samochód parkujący tam, gdzie nie powinien.

Właśnie dlatego zostawił swój w klubie. Czy porywacz również? A może zaparkował na ulicy? Albo ktoś go podwiózł? Myron skulił się i pomknął do następnego drzewa. Pewnie wyglądał głupio – stukilowy, mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt stary chłop sadzący susy od krzaka do krzaka, jak w walającej się po podłodze montażowni, zbędnej scenie z Parszywej dwunastki. Ale jaki miał wybór?

Nie mógł jakby nigdy nic pójść ulicą, żeby nie zobaczył go porywacz. Swój plan opierał na założeniu, że sam odkryje go wcześniej. Jak tego dokonać? Nie miał pojęcia. Uznał, że najlepiej zrobi, zataczając coraz ciasniejsze koła wokół domu Coldrenów i wypatrując – no właśnie – czego?

Rozejrzał się dookoła, niezdecydowany, czego właściwie szuka. Chyba miejsca, z którego porywacz mógł obserwować dom. Bezpiecznej kryjówki, a może punktu obserwacyjnego, skąd mógł lornetkować okolicę. Nie dostrzegł niczego. Noc była bezwietrzna i spokojna.

Okrążył kwartał ulic, skacząc na chybił trafił od krzaka do krzaka z uczuciem takim jak John Belushi włamujący się do gabinetu dziekana Wormera w Menażerii. Menażeria i Parszywa dwunastka! Oglądał za dużo filmów. Kiedy spiralnie zbliżał się do domu Coldrenów, zdał sobie sprawę, że prędzej zostanie „wypatrzony”, niż „wypatrzy” kogoś. Postarał się ukryć lepiej, dokładniej wtopić się w mrok, zlać z tłem, stać się niewidzialnym.

Myron Bolitar, Wojowniczy Mutant Ninja.

W przestronnych kamiennych domach z czarnymi okiennicami migotały światła. W domach pięknych, imponująco opiekuńczych, nieprzystępnie przytulnych. Domach solidnych. Domach, jakie mogłaby zbudować zapobiegliwa trzecia świnka. Domach trwałych, mocnych, okazałych.

Znalazł się bardzo blisko domu Coldrenów. Ciągle nic – ani jednego samochodu na ulicach. Był złany potem niczym naleśnik syropem. Boże, z jaką rozkoszą wziąłby prysznic. Skulił się i zaczął obserwować dom.

Co dalej?

Czekać. Wypatrywać ruchu. Inwigilacja nie była jego mocną stroną. Zwykle załatwiał to Win, w pełni panujący nad ciałem i cierpliwy. On zaś już po krótkim czasie ledwo mógł wytrzymać. Żałował, że nie zabrał z sobą jakiegoś pisma, czegoś do czytania.

Trzyminutową monotonię przerwało otwarcie drzwi frontowych. Usiadł. W wejściu zobaczył Esme Fong i Lindę Coldren. Pożegnały się. Esme uściśnięła mocno rękę Lindy i skierowała się do auta. Linda Coldren zamknęła drzwi. Esme Fong uruchomiła samochód i odjechała.

Inwigilacja – co chwila dreszczyk emocji!

Myron usadowił się za krzakiem. Wokół było ich zatrzęsienie. Gdziekolwiek spojrzeć, krzaki rozmaitych rozmiarów, kształtów i zastosowań. Doszedł do wniosku, że bogaci błękitno-krwiści z pewnością je lubią. Ciekawe, czy mieli z sobą jakieś na „Mayflower”.

Od przykucu poczuł skurcze w nogach. Wyprostował je po kolei. Kontuzjowane kolano, które wyeliminowało go ze sportu, zaczęło pulsować. Miał dość. Zgrzany, spocony i zbolący uznał, że pora w drogę.

I wówczas usłyszał dźwięk.

Dobiegał od tylnych drzwi. Myron westchnął, podźwignął się z kucków i okrążył dom. Znalazł jeszcze jeden przytulny krzak, skrył się za nim i wyjrzał.

Na podwórku za domem stał Jack Coldren z Dianę Hoffman, swoją asystentką. W ręku trzymał kij golfowy, ale nie uderzał.

Rozmawiał z nią. Z ożywieniem. Dianę Hoffman mu odpowiadała. Z równym ożywieniem. Nie wyglądali na zadowolonych. Myron nie słyszał rozmowy, lecz oboje gestykulowali jak szaleni.

Kłócili się. I to ostro.

Hmm.

Oczywiście wyjaśnienie było zapewne całkiem niewinne. Domyślał się, że gracze kłócą się ze swoimi asystentami bez przerwy. Przeczytał kiedyś, że Steve Ballesteros, dawne hiszpańskie cudowne dziecko golfa, żarł się na okrągło ze swoim workowym. Bywa. To normalne, że zawodowy golfista mógł się poprzytykać ze swoją asystentką, zwłaszcza w czasie tak stresującego turnieju jak Otwarte Mistrzostwa Stanów. Dziwiła tylko pora ich sprzeczki.

Pomyślmy. Gość dostaje straszny telefon od porywacza. Słyszy krzyk przerażonego albo cierpiącego syna. A dwie godziny później na podwórzu swojego domu kłóci się z asystentką, jak wykonać zamach? Gdzie tu sens?

Myron postanowił podejść bliżej. Nie było prostej drogi. Znowu krzaki, niczym manekiny na treningu futbolowym. Musiał dotrzeć do bocznej ściany domu i zejść ich od tyłu. Odbił w lewo i zaryzykował spojrzenie. Zażarta sprzeczka trwała. Dianę Hoffman zrobiła krok w stronę Jacka... i wymierzyła mu policzek.

Kłaśnięcie przecięło noc jak kosa. Myron zamarł. Dianę Hoffman coś krzyknęła. Doszło go tylko jedno słowo: „drań”. Dianę pstryknęła niedopałkiem pod nogi Jacka i odeszła wzburzona. Jack spuścił wzrok, pokręcił głową i wszedł do domu. No, no, pomyślał Myron. Pewnie ma jakieś kłopoty z zamachem.

Pozostał za krzakiem. Z podjazdu dobiegł go odgłos ruszającego samochodu Dianę Hoffman. Czy grała jakąś rolę w tej sprawie? Przebywała w domu Coldrenów. Czy to ona była tajemniczym obserwatorem? Oparł się plecami o krzak i rozważył tę możliwość. Ale ledwie zaczął ją dopasowywać do całości, spostrzegł mężczyznę.

W każdym razie założył, że to mężczyzna. Z miejsca, gdzie przycupnął, nie dało się tego ustalić. Nie wierzył własnym oczom. Ależ się pomylił. Sprawca bynajmniej nie krył się w zaroślach. Myron patrzył w milczeniu, jak ubrana na czarno postać wyłazi z okna na piętrze. A konkretnie – jeśli pamięć go nie myliła – z okna sypialni Chada Coldrena.

Witamy!

Skulił się. Co teraz? Przydałby się plan. Plan? Świetnie. Ale jaki? Pochwycić typa od razu? Nie. Lepiej pójść za nim. Mógł doprowadzić do Chada Coldrena. I po sprawie.

Myron zerknął zza krzaka. Postać w czerni zeszła po białej kratownicy porośniętej bluzczem, z wysokości metra zeskoczyła na ziemię i natychmiast puściła się sprintem.

Wspaniale.

Pobiegł za mężczyzną, usiłując trzymać się jak najdalej od niego. Biegacz nie zwalniał kroku. Trudno było ścigać go bezgłośnie. Myron zachowywał dystans. Nie chciał, żeby tamten go spostrzegł. Poza tym istniało duże prawdopodobieństwo, że sprawca przyjechał tu samochodem albo podwiózł go współnik. Na pobliskich ulicach ruch był minimalny. Nie podobna nie usłyszeć zapuszczanego silnika.

I co wtedy? – zadał sobie pytanie.

Co, jeśli tamten dobiegnie do samochodu? Popędzić do swojego auta? To na nic. Pobiec za jego wozem? Bez sensu. Co robić?

Dobre pytanie.

Pożałował, że nie ma z nim Wina.

Ubrany na czarno mężczyzna biegł, biegł, biegł. Myron zaczął łapczywie łykać powietrze. Kogo gonił, na miły Bóg?! Złotego medalistę w maratonie?! Czteryście metrów dalej biegacz skręcił w prawo i zniknął mu z oczu. Zrobił to tak nagle, że Myron zadał sobie pytanie, czy tamten go spostrzegł. Niemożliwe. Myśliwy był za daleko, a zwierzyna nie miała powodu oglądać się za siebie.

Spróbował trochę przyśpieszyć, ale zwirowa droga wykluczała cichy bieg. Musiał jednak nadrobić dystans. Biegając na samych koniuszkach palców, niczym Baryszhikow gnany dyzenterią, modlił się, by nikt go nie zobaczył.

Dotarł do zakrętu. Ulica nazywała się Green Acres Road. W głowie, jak za naciśnięciem guzików szafy grającej, rozbrzmiała mu melodia piosenki ze starego serialu telewizyjnego. Nie mógł jej się pozbyć. Eddie Albert jeździł na traktorze. Eva Gabor otwierała pudła w apartamencie na Manhattanie. Sam Drucker machał ręką zza kontuaru swojego wielobranżowego sklepu. Pan Haney naciągał szelki kciukami. Wieprzek Arnold chrząkał.

Przekłete parne powietrze!

Skręcił w prawo i spojrzął przed siebie.

Nic.

Green Acres to ślepa uliczka, przy której stało może z pięć domów na krzyż. Zapewne wspinały. Po obu stronach zaułka biegły bowiem ściany gęstych, wyniosłych krzewów (znowu krzewy!). Wjazdów strzegły bramy otwierane pilotami lub po wystukaniu odpowiedniego szyfru na domofonie. Myron zatrzymał się i spojrzął w głąb uliczki.

Gdzie się podział zbieg?

Zniknął bez śladu. Myron poczuł, że przyśpiesza mu puls. Jedyna droga ucieczki wiodła przez las pomiędzy rezydencjami. Pewnie pobiegł tamtędy – oczywiście, jeżeli próbował uciec, a nie zaszyć się w zaroślach. Mimo wszystko mógł zauważyć, że jest ścigany. A jeśli skrył się i przyczaił? Ukryłby zaatakować prześladowcę?

Mało pocieszające myśli.

Co teraz?

Myron zlizął pot z górnej wargi. W ustach miał potwornie sucho. Niemalże słyszał, jak się poci.

Weź się w garść, rozkazał sobie. Masz ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważysz sto kilo. Chłop jak dąb. Jesteś właścicielem czarnego pasa taekwondo i dobrze wyszkolonym fajterem. Odeprzesz każdy atak.

Pod warunkiem, że napastnik nie jest uzbrojony.

Nie ma się co czarować. Wyszkolenie bojowe i doświadczenie pomagały, ale nikogo nie czyniły kuloodpornym. Nawet Wina. Oczywiście Win nie byłby taki głupi, żeby wpakować się w podobną kabałę. Myron nosił broń tylko wtedy, gdy uznał to za konieczne. Win natomiast nie roz-

stawał się z dwoma (lub więcej) pistoletami i sztuką białej broni. Wzór z jego arsenału powinny brać kraje Trzeciego Świata.

Co zatem zrobić?

Myron rozejrzał się na boki, lecz w wysokich, nieprzebytych ścianach z krzewów nie znalazł miejsca na kryjówkę. Pozostał więc jedynie las na końcu zaułka. Nieoświetlony, mroczny, gęsty, groźny.

Wejść do niego czy nie wejść?

I co by to dało? Nie wiedział, jak duży jest ten las ani dokąd będzie, nie wiedział o nim nic. Szanse na odnalezienie zbiega zdawały się minimalne. Mógł co najwyżej liczyć na to, że tamten schował się wśród drzew, by poczekać, aż prześladowca się wycofa.

Wycofa? Zabrzmiało to jak plan.

Myron wrócił do wylotu Green Acres. Skręcił w lewo, przeszedł sto jardów i zatrzymał się za jeszcze jednym krzakiem. On i krzaki byli już ze sobą po imieniu. Ten miał na imię Frank.

Spędził za nim godzinę. Nikt się nie pojawił.

Wspaniale.

Wstał, pożegnał się z Frankiem i ruszył do samochodu. Zbieg z pewnością uciekł przez las. Albo więc zaplanował drogę ucieczki albo, co bardziej prawdopodobne, znał teren. Mógł to być Chad Coldren. Ale mogło to również świadczyć, że porywacze nie działają w ciemno. W tym przypadku już pewnie wiedzieli, że Myron Bolitar zaangażował się w sprawę i że Coldrenowie nie zastosowali się do ich żądań.

Bardzo liczył na to, że Chad sfingował porwanie. A jeżeli nie, jeżeli naprawdę go porwano, co stąd wynikało? Zadając sobie pytanie, jak kidnaperzy zareagują na jego działania, przypomniał sobie ostatni telefon od nich i przyprawiający o ciarki, przeraźliwy krzyk chłopca.

Rozdział 10

„A tymczasem w okazałym dworze Wayne’a...”.

Głos narratora serialu Batman zawsze dosięgał go, gdy docierał do stalowej bramy rezydencji Lockwoodów. W rzeczywistości dom rodzinny Wina bardzo mało przypominał dom Bruce’a Wayne’a, choć panowała w nim podobna atmosfera. Do imponującej rezydencji na wzgórzu prowadziły wspaniałe wijące się podjazdy. Było też mnóstwo trawy, której żdźbła utrzymywano cały czas w idealnej długości, niczym polityk swoje włosy w roku wyborów. Nie brakło też dorodnych ogrodów, wzgórz, basenu, stawu, kortu tenisowego, stajni i toru przeszkód dla koni.

W sumie bardzo okazała posiadłość Lockwoodów zasługiwała na miano „dworu”, cokolwiek to znaczyło.

Myron i Win mieszkali w domu gościnnym, czyli, jak nazywał go ojciec Wina – w „chacie”. Z odsłoniętymi belkami na suficie, podłogami z twardego drewna, kominkiem, nową kuchnią z wielką wyspą kuchenną pośrodku, pokojem do bilardu, nie wspominając o pięciu sypialniach oraz czterech łazienkach i jednej oddzielnej toalecie. Niezła chałupa.

Próbując uporządkować wypadki, Myron doszedł do serii paradoksów, mnóstwa pytań w rodzaju „co było najpierw: jajko czy kura?”, oraz do pytania zasadniczego – o motyw. Porwanie chłopaka miało sens o tyle, że mogło zdenerwować jego ojca. Z tym że Chad zniknął przed rozpoczęciem turnieju, w takim zaś przypadku porwacze byłiby niebywale przezorni lub natchnieni. Skoro jednak zażądali stu tysięcy, można by sądzić, że porwali dla pieniędzy. Sto tysięcy to ładna, okrągła sumka, wprawdzie nieco przymała jak na porwanie, ale niegorsza jak na kilka dni fatygi.

Jeśli było to porwanie dla zdobycia dużo dinero – dużej kasy, zastanawiał jego termin. Dlaczego teraz? Dlaczego właśnie w czasie Otwartych Mistrzostw Stanów? Dlaczego doszło do niego akurat wtedy, gdy po blisko ćwierć wieku Jack Coldren miał szansę zrehabilitować się za swoją najbardziej dotkliwą porażkę w życiu, jaką dwadzieścia trzy lata temu poniósł na poprzednich mistrzostwach rozegranych w Merion?

Zakrawało to na niebywały zbieg okoliczności.

I odsyłało na powrót do podejrzeń o mistyfikację i hipotezy, która wyglądała z grubsza tak: Chad Coldren znika tuż przed turniejem, żeby zagrać na nerwach tacie. Kiedy to zawodzi (tata zaczyna wygrywać), podbija stawkę i pozoruje własne porwanie. W konsekwencji można założyć, że to Chad wyszedł od siebie wieczorem przez okno. Kto lepiej do tego pasował? Chłopak znał teren. Prawdopodobnie wiedział, jak przejść przez ten las. A może ukrywał się w domu jakiegoś kolegi, który mieszkał przy Green Acres Road. Każdy wariant był możliwy.

Miało to sens. Trzymało się kupy.

Oczywiście przy założeniu, że Chad nie lubił ojca. Coś na to wskazywało? Myron uważał, że tak. Po pierwsze, Chad miał szesnaście lat, a to trudny wiek. Kiepska przesłanka, zgoda, ale warta zapamiętania. Po drugie – i znacznie ważniejsze – Jack Coldren był ojcem, który rzadko bywał w domu. Nikt nie bywa w domu tak rzadko jak golfiści. Ani koszykarze, ani futboliści, ani baseballiści, ani hokeiści. Z golfistami mogli się równać pod tym względem jedynie gracze w tenisa. Turnieje tenisowe i golfowe rozgrywane są niemal cały rok – tak zwany martwy sezon trwa krótko – i nie istnieje coś takiego jak „mecz u siebie”. Jeżeli masz szczęście, turniej na swoim polu golfowym rozgrywasz raz w roku.

I po trzecie – kto wie, czy nie najważniejsze – dopiero po dwóch dniach rodzice Chada zauważyli, że zniknął. Pał sześć dyskurs Lindy Coldren o odpowiedzialnych dzieciach i wychowaniu w duchu swobody. Jedynym racjonalnym wyjaśnieniem ich nonszalancji mogło być to, że Chad robił już takie rzeczy wcześniej, więc jego nieobecność ich nie zdziwiła.

Ale hipoteza ze sfingowanym porwaniem też nastroczała problemów.

Na przykład, jak pasował do niej pan Totalna Groza z centrum handlowego?

W tym sęk. Jaka rolę odgrywał Paskudny Faszysta? Czy Chad Coldren był jego współnikiem? Możliwe, choć to z kolei niezbyt pasowało do hipotezy o zemście. Gdyby za tą intrygą rzeczywiście stał Chad, bardzo wątpliwe, czy wszedłby w spółkę ze zgrzywającym skina łajzą z wytatuowaną swastyką.

Co z tego wynikało?

Myron nie wiedział, co myśleć.

Kiedy podjechał pod dom gościnny, poczuł skurcz w sercu. Stał tam jaguar Wina. A tuż obok zielony chevrolet nova.

Cholera!

Wolno wysiadł z samochodu. Sprawdził tablice rejestracyjne chevroleta. Tak jak się spodziewał, nic mu nie mówiły. Przełknął ślinę i odszedł.

Po otwarciu frontowych drzwi buchnęło w niego klimatyzowane powietrze. Światła były zgaszone. Przez moment stał z zamkniętymi oczami, czując jego mrowiący chłodny dotyk. W holu tykał wielki zegar stojący.

Myron otworzył oczy i zapalił światło.

– Dobry wieczór.

Okręcił się w prawo. Win siedział przy kominku w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. W rękę trzymał kieliszek z brandy.

– Siedzisz po ciemku? – spytał Myron.

– Tak.

Myron zmarszczył brwi.

– Trochę teatralnie.

Win zapalił lampę przy fotelu. Twarz miał lekko zaróżowioną od trunku.

– Siądziesz ze mną? – spytał.

– Oczywiście. Za chwilę.

Myron wziął z lodówki zimną puszkę yoo-hoo, usiadł na kanapie naprzeciwko przyjaciela, potrząsnął puszką i otworzył ją. Przez kilka minut popijali w milczeniu. Tykał zegar. Po podłodze cienkimi, przyćmionymi wiciami smużyły się długie cienie. Szkoda, że było lato. Sceneria wprost prosiła się o trzaskający ogień, a może i wycie wiatru za oknem. Klimatyzator jej nie stwarzał.

Myron właśnie zaczął się odprężyć, gdy dobiegł go szum spuszczonej wody. Spojrzał pytająco na Wina.

– Nie jestem sam – wyjaśnił Win.

– Aha. – Myron poprawił się na kanapie. – Z kobietą?

– Twoje talenty nie przestają mnie zadziwiać.

– Znam ją?

Win pokręcił głową.

– Ja również nie.

Typowe. Myron utkwiał wzrok w przyjacielu.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytał.

– Nie.

– W razie czego jestem do dyspozycji.

– Widzę.

Win zakręcił trunkiem, opróżnił kieliszek jednym haustem i sięgnął do kryształowej karafki. Mówił odrobinę niewyraźnie. Myron próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widział, żeby jego uprawiający medytację transcendentalną, zawsze wyluzowany i czujny przyjaciel, wegetarianin, mistrz kilku sztuk walki przeholował z piciem.

Bardzo dawno temu.

– Mam do ciebie pytanie z golfa – powiedział Myron.

Win zachęcił go skinieniem głowy.

– Myślisz, że Jack Coldren utrzyma prowadzenie?

Win nalał sobie brandy.

– Wygra – odparł.

– Mówisz to z wielkim przekonaniem.

– Jestem pewny.

– Dlaczego?

Win podniósł kieliszek do ust i spojrzał znad jego brzegu.

– Widziałem jego oczy – powiedział.

Myron uniósł brwi.

– O czym mówisz? – spytał.

– Znów ją ma. Iskrę w oku.

– Żartujesz sobie.

– Być może. Pozwól jednak, że o coś zapytam.

– Proszę.

– Co odróżnia wybitnych sportowców od bardzo dobrych? Legendy sportu od solidnych wyrobników? Mówiąc prosto, co decyduje o tym, że ktoś staje się mistrzem?

– Talent – odparł Myron. – Trening. Sprawność.

Win lekko pokręcił głową.

– Wiesz, że nie tylko.

– Tak?

– Tak. Jest wielu utalentowanych. Wielu trenuje. Ale co czyni prawdziwego mistrza?

– Iskra w oku?

– Tak.

Myron skrzywił się.

– Chyba nie zaczniesz mi śpiewać Eye of the Tiger! – spytał.

Win przekrzywił głowę.

– Kto śpiewał tę piosenkę?

Nieustający teleturniej. Win oczywiście znał odpowiedź.

– To piosenka z Rocky'ego II, zgadza się?

– Z Rocky'ego III.

– Tego z Mister T.7

Win skinął głową.

– Który zagrał? – spytał natychmiast.

– Clubbera Lange'a.

– Doskonale. A kto śpiewał tę piosenkę?

– Nie pamiętam.

– Grupa Survivor. Ironiczna nazwa, jeśli się pomyśli, jak szybko odeszli w niebyt.

– Mhm – mruknął Myron. – No więc co jest tym głównym czynnikiem, Win? Co czyni mistrza?

Win znów zakręcił kieliszkiem i łyknął.

– Żądza.

– Żądza?

– Głód.

– Aha.

– To żadna niespodzianka. Zajrzyj w oczy Joego DiMaggio. Larry'ego Birda. Michaela Jordana. Spójrz na zdjęcia Johna McEnroe u szczytu kariery lub na zdjęcia Chris Evert. Spójrz na Lindę Coldren. – Win urwał. – Spójrz w lustro.

– W lustro? Ja też mam w oczach żądzę?

– Kiedy grałeś, też miałeś w oczach lekki obłęd – odparł wolno Win.

Zamilkli. Myron łyknał yoo-hoo. Miło było czuć w ręku chłodne aluminium.

– Mówisz o tej „żądzy”, jakby tobie była ona obca – powiedział.

– Bo jest obca.

– Bzdura.

– Dobrze gram w golfa – odparł Win. – Poprawka: bardzo dobrze. W młodości dużo ćwiczyłem. Wygrałem niejedną turniej. Ale nigdy nie miałem ambicji, by osiągnąć jeszcze wyższy poziom.

– Widziałem cię na macie. W turniejach sztuk walki wprost tryskałeś „żądzą”.

– To całkiem inna sprawa.

– Jak to?

– Te turnieje nie są dla mnie zawodami sportowymi, których zwycięzca wraca do domu z tandetnym trofeum, chełpiąc się nim przez kolegami i znajomymi. Nie są również rywalizacją prowadzącą do pustego przeżycia, które ludzie niepewni własnej wartości uznają za chwałę. Walka to dla mnie nie sport. W walce chodzi o przetrwanie. Jeśli mogę przegrać tam – skinął w stronę niewidzialnej maty – mogę przegrać w świecie rzeczywistym. – Win podniósł wzrok w górę. – Ale...

– Zamilkł.

– Ale? – zachęcił Myron.

– W tym, co mówisz, jest coś na rzeczy.

– Tak?

Win zetknął palce dłoni.

– Dla mnie walka to sprawa życia i śmierci. Oto jak ją traktuję. Ale wspomniani przeze mnie sportowcy poszli krok dalej. Każdą, nawet najbardziej banalną rywalizację traktują jak bój na śmierć i życie. Przegrana oznacza śmierć.

Myron skinął głową. Nie bardzo się z tym zgadzał, ale co tam. Ważne, żeby Win mówił.

– Czegoś nie rozumiem – rzekł. – Jeśli w Jacku tkwi ta szczególna żądza zwycięstwa, to dlaczego nie wygrał żadnego turnieju?

– Boją stracił.

– Żądzę?

– Tak.

– Kiedy?

– Dwadzieścia trzy lata temu.

– W czasie Otwartych Mistrzostw Stanów?

– Tak – potwierdził Win. – U większości sportowców wypala się ona powoli. Znużenie albo nasycenie zwycięstwami tłumi w nich wewnętrzny żar. W przypadku Jacka było inaczej. Jego żar się nie wypalił. Zgasił go jeden silny, zimny podmuch. W sposób niemal naoczny. Dwadzieścia trzy lata temu. Przy szesnastym dołku. Piłka wylądowała w kamiennym dole. Właśnie wtedy zmieniło się mu spojrzenie.

– I teraz powróciło.

– Powróciło – potwierdził Win. – Zabrało mu to dwadzieścia trzy lata, ale znów rozpałił w sobie ogień.

Napili się. Win pociągnął łyżeczek. Myron pociągnął solidny haust i poczuł w przetyku miły czekoladowy chłód.

– Jak długo znasz Jacka? – spytał.

– Poznałem go, kiedy miałem sześć lat, a on piętnaście.

– Miał wtedy w sobie „żądzę”?

Win uśmiechnął się do sufitu.

– Prędzej dałby sobie wydlubać nerka łyżką do grejpfruta, niż przegrać z kimś w golfa. – Opuścił wzrok na Myrona. – Czy Jack Coldren miał w sobie tę „żądzę”? Był jej kwintesencją.

– Widzę, że go podziwiałeś.

– Tak.

– I już nie podziwiasz?

– Nie.

– Skąd ta zmiana?

– Dorosłem.

– No, no! – Myron łyknął yoo–hoo.

– Poważna sprawa. Win zaśmiał się.

– Nie zrozumiesz tego.

– Sprawdź.

Win odstawił kieliszek i bardzo wolno pochylił się do przodu.

– Co takiego wspaniałego jest w zwycięstwie? – spytał.

– Słucham?

– Ludzie kochają zwycięzcę. Podziwiają go. Zachwycają się nim, więcej, wielbią. Opisując go, używają słów takich jak bohater, odwaga i wytrwałość. Garną się do niego, chcą go dotykać. Pragną być tacy jak on. – Win rozłożył ręce. – Ale dlaczego? Jakie cechy zwycięzcy chcemy naśladować? Jego zaślepioną pogoń za czczą chwałą? Jego rozdętą samolubną obsesję, by zawiesić sobie na szyi kawałek metalu? Gotowość do poświęcenia wszystkiego, w tym ludzi, żeby w imię zdobycia tandetnej statuetki być lepszym od innych na sztucznej nawierzchni? – Spojrzał na Myrona z zamyśloną miną na zazwyczaj pogodnej twarzy. – Dlaczego oklaskujemy ten egoizm, tę miłość własną?

– Potrzeba rywalizacji nie jest niczym złym. Mówisz o ekstremach.

– Bo to właśnie ekstremalne wyczyny sportowe podziwiamy najbardziej. Twoja „potrzeba rywalizacji” z samej swej natury prowadzi do skrajności i niszczy wszystko na swojej drodze.

– Upraszczasz sprawę, Win.

– Ona jest prosta, przyjacielu.

Usiedli wygodniej. Myron utkwiał wzrok w nagich belkach na sklepieniu.

– Mylisz się – rzekł po dłuższej chwili.

– Co do czego?

Myron zastanawiał się, jak mu to wyjaśnić.

– Kiedy grałem w kosza... – zaczął – kiedy sport wciągnął mnie na dobre i osiągnąłem poziom, o którym wspomniałeś... bardzo mało myślałem o wyniku, o rywalu, o pokonaniu kogoś. Byłem sam. Byłem w transie. I może zabrzmiało głupio, ale grając na najwyższych obrotach, przeżywałem coś bliskiego oświeceniu w zen.

Win skinął głową.

– Kiedy tak się czułeś?

– Słucham?

– Kiedy czułeś się najbardziej „oświecony”?

– Nie rozumiem.

– Na treningu? Nie. Podczas mało ważnego meczu, wtedy gdy twoja drużyna prowadziła trzydziestoma punktami? Nie. Ów zlany potem stan satori osiągnąłeś, przyjacielu, dzięki rywalizacji. Pragnieniu, nagiej żądzy, by pokonać godnego ciebie przeciwnika.

Myron otworzył usta do riposty, jednak górę wzięło w nim zmęczenie.

– Trudno mi znaleźć na to odpowiedź – przyznał. – W każdym razie lubię wygrywać. Dlaczego? Nie wiem. Lubię również lody. Też nie wiem dlaczego.

Win zmarszczył brwi.

– Imponujące porównanie – rzekł beznamiętnie.

– Ej, zrobiło się późno.

Od wejścia dobiegł odgłos podjeżdżającego samochodu. Do pokoju weszła uśmiechnięta młoda blondynka. Win odpowiedział jej uśmiechem. Pochyliła się i pocałowała go. Przyjął to spo-

kojnie. Nigdy nie był niemiły wobec pań, z którymi się spotykał. Nie spławiał ich natychmiast po randce. Nie bronił im też zostać całą noc, jeśli sprawiało im to przyjemność. Niektóre mogły to uznać za życzliwość lub słabość. Niestuszenie. Win pozwalał im zostać, gdyż niewiele dla niego znaczyły. Nie żywił do nich żadnych uczuć, nie bał się, że straci dla którejś głowę.

– To moja taksówka – wyjaśniła blondynka.

Win uśmiechnął się bez wyrazu.

– Było bardzo miło – dodała.

Nawet nie mrugnął okiem.

– Gdybyś chciał, znajdziesz mnie za pośrednictwem Amandy... – Spojrzała na Myrona i jeszcze raz na Wina. – Tak, że wiesz...

– Wiem – odparł Win.

Młoda kobieta uśmiechnęła się niepewnie i wyszła.

Myron patrzył, starając się nie zdradzić miną zaskoczenia. prostytutka! Rany boskie, prostytutka! Wiedział, że dawniej, w połowie lat osiemdziesiątych, Win korzystał z ich usług, zamawiając na tak zwany chiński wieczór dania z Hunan Grill i azjatyckie prostytutki z burdelu Noble House. Ale żeby robił to nadal, w jego wieku, w dzisiejszych czasach?!

Wtem przypomniał sobie o chevrolecie nova przed wejściem i przeszedł go dreszcz.

Obrócił się w stronę Wina. Spojrzeli na siebie bez słowa.

– Moralizujesz – odezwał się Win. – Jak miło.

– Nic nie powiedziałem.

– Pewnie. Win wstał.

– Dokąd się wybierasz?

– Wychodzę. Myronowi zabiło serce.

– Mogę pojechać z tobą?

– Nie.

– Jaki wóz bierzesz?

– Dobranoc, Myron – pożegnał go Win, nie racząc odpowiedzieć na pytanie.

Myron gorączkowo szukał rozwiązań, wiedział jednak, że to beznadziejne. Win wyjeżdżał. Nic go nie mogło powstrzymać.

Przy drzwiach Win zatrzymał się i odwrócił.

– Jedno pytanie, jeśli można – rzekł.

Oniemiały Myron skinął głową.

– Kto się z tobą skontaktował najpierw? Linda Coldren?

– Nie.

– A kto?

– Twój wuj Bucky.

– A kto polecił nas Bucky'emu? – spytał Win, unosząc brew.

Myron wpatrzył się w niego, ale wciąż drżał. Win skinął głową i obrócił się w stronę drzwi.

– Win?

– Idź spać, Myron.

Rozdział 11

Myron nie poszedł spać. Nawet się nie starał.

Usiadł na miejscu Wina i zabrał się do czytania, lecz słowa do niego nie docierały. Był wyczerpany. Zagłębił się w fotelu pokrytym luksusową skórą i czekał. Minęło kilka godzin. Beładne obrazy domniemanych wyczynów Wina spływały ciemnoczerwoną posoką. Zamknął oczy i spróbował je przepędzić.

O wpół do czwartej usłyszał zatrzymujący się samochód. Silnik zgasł. W zamku zachrząścił klucz i po chwili do środka wszedł Win.

– Dobranoc – pożegnał go beznamiętnie.

Trzasnęły zamykane drzwi. Myron wypuścił zatrzymany dech. No pięknie, pomyślał. Podźwignął się z fotela, poszedł do sypialni, położył się do łóżka, ale sen nie chciał nadejść. W żołądku trzepotał mu nieokreślony, mroczny strach. A kiedy w końcu zaczął się zanurzać w mocny sen, ktoś otworzył na oścież drzwi.

– Śpisz? – usłyszał znajomy głos.

Zmusił się do rozwarcia powiek. Przywykł, że Esperanza Diaz wpada bez pukania do jego gabinetu. Ale żeby wpadała bez pukania do sypialni?!

– Która godzina? – wychrypiął.

– Wpół do siódmej.

– Rano?

Posłała mu jedno z firmowych spojrzeń, z gatunku tych, którymi drogowcy chcą zetrzeć z powierzchni ziemi duże skały. Palcem odgarnęła za ucho kilka niesfornych kruczoczarnych kosmyków. Jej lśniąca smagła skóra przywodziła na myśl żeglugę po Morzu Śródziemnym w świetle księżyca, spokojną powierzchnię wody, wiejskie bluzki z bufami i oliwne gaje.

– Jak tu dojechałaś? – spytał.

– Nocnym ekspresem.

– I co zrobiłaś? – Jeszcze nie oprzytomniał. – Wzięłaś taksówkę?

– Kim ty jesteś, agentem biura podróży? Jasne, że wzięłam taksówkę.

– Tylko pytam.

– Ten kretyn taksiarz trzy razy kazał mi powtórzyć adres.

Pewnie nie zwykł wozić tutaj Latynosów.

Myron wzruszył ramionami.

– Pewnie wziął cię za służącą.

– W takich butach? Esperanza podniosła stopę.

– Bardzo ładne. – Wciąż łaknący snu Myron usadowił się w pościeli. – Nie chcę drażnić tematu, ale co cię tu sprowadza? – spytał.

– Zdobyłam informację na temat tego starego workowego.

– Lloyd Rennarta?

Skinęła głową.

– Nie żyje.

– Ach tak. – Rennart nie żył. Ślepy zaułek. Koniec wątku. – Mogłaś zadzwonić.

– To nie wszystko.

– Ach tak?

– Okoliczności jego śmierci są – przygryzła, wargę – niejasne.

– Niejasne?

Myron usiadł prosto.

– Osiem miesięcy temu Lloyd Rennart popełnił samobójstwo.

– Jak?

– To właśnie jest niejasne. Był z żoną na wakacjach w górach w Peru. Któregoś ranka po obudzeniu się napisał krótki list i skoczył w przepaść.

– Żartujesz.

– Nie. Nie zebrałam jeszcze zbyt wielu szczegółów. Napisano o tym w „Philadelphia Daily News”. – Na ustach Esperanzy pojawiła się zapowiedź uśmiechu. – Ale według tego artykułiku nie odnaleziono ciała.

Myron szybko się rozbudził.

– Co?!

– Lloyd Rennart rzucił się w niedostępną przepaść w dalekim kraju. Być może do tego czasu zlokalizowano jego szczątki, niestety, nie znalazłam nic więcej na ten temat. Żadna z lokalnych gazet nie zamieściła nekrologu.

Myron pokręcił głową. Brak zwłok. Pytania narzucały się same: czy Lloyd Rennart wciąż żyje? Czy upozorował własną śmierć, żeby się zemścić? Naciągana koncepcja, choć kto wie?... Jeśli tę śmierć zainscenizował, dlaczego czekał aż dwadzieścia trzy lata? Fakt, mistrzostwa rozgrywało ponownie w Merion. Mogło to oczywiście rozdrapać stare rany. Niemniej...

– Dziwne. – Spojrzał na Esperanzę. – Mogłaś mi to przekazać przez telefon. Nie musiałaś przyjeżdżać aż tu.

– O co się żołądkujesz?! – odcięła się. – Chciałam się wyrwać z miasta na weekend. Uznałam, że rozerwę się, oglądając mistrzostwa. Masz coś przeciwko temu?

– Tylko spytałem.

– Bywasz strasznie wścibski.

– Dobrze, dobrze. – Podniósł ręce udając, że się poddaje. – Zapomnij, że pytałem.

– Zapomniałam – odparła. – Powiesz mi, co się dzieje? Opowiedział jej o Paskudnym Faszyście z galerii handlowej i o tym, jak zgubił ubranego na czarno delikwenta. Kiedy skończył, pokręciła głową.

– Chryste Panie! – jęknęła. – Bez Wina jesteś beznadziejny.

Pokrzepicielka.

– Skoro mowa o Winie, nie wspominaj mu o tej sprawie.

– Dlaczego?

– Źle na nią reaguje. Przyjrzała mu się uważnie.

– Jak źle? – spytała.

– Poszedł w nocy w miasto.

Chwilę milczała.

– Myślałam, że już z tym skończył.

– Ja również.

– Jesteś pewien, że to zrobił?

– Na podjeździe stał chevrolet – odparł Myron. – Odjechał nim stąd i wrócił o wpół do czwartej nad ranem.

Win trzymał kilka starych, niezarejestrowanych chevroletów. Wozów jednorazowego użytku, jak je nazywał. Kompletnie anonimowych, nie do zidentyfikowania.

– Nie możesz stosować podwójnej miary – powiedziała cicho.

– O czym ty mówisz?

– Prosić go o przysługę, gdy ci to pasuje, i mieć mu za złe, gdy robi to na własną rękę.

– Nigdy go nie prosiłem, żeby się bawił w samozwańczego stróża prawa.

– Jak to nie? Sam go w to wciągasz. Kiedy potrzebujesz, spuszczasz go ze smyczy. Wykorzystujesz jak broń.

– To nie tak.

– Właśnie tak! – odparła. – Dokładnie! Czy na tych nocnych eskapadach Win krzywdzi niewinnych?

Myron rozważył pytanie.

– Nie.

– Więc w czym problem? Po prostu dopada złoczyńców innego typu. Wybiera ich zamiast ciebie.

– To nie to samo – odparł Myron, kręcąc głową.

– Ponieważ wymierzasz sprawiedliwość?

– Nie wysyłam go, żeby krzywdził ludzi. Wysyłam go, żeby ich obserwował lub żeby mnie wspomagał.

– Nie widzę wielkiej różnicy.

– Wiesz, co robi w czasie tych nocnych wypadów?

Ciemną nocą przemierza najgorsze dzielnice. Dawni kumple z FBI informują go, gdzie: w jakich zaułkach, opuszczonych budynkach itp., przesiadują dealerzy narkotyków, pedofile, uliczne gangi. A on przechadza się po tych zakazanych miejscach, w które boją się zapuścić policjanci.

– Niczym Batman – odparła.

– Nie widzisz w tym nic złego?

– Jasne, że widzę – odparła spokojnie. – Ale nie wiem, czy widzisz to ty.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Zastanów się, dlaczego jesteś zły na Wina. Usłyszeli kroki. W drzwiach pojawiła się głowa Wina.

Uśmiechał się jak gościnna gwiazda w tle czołówki odcinka Statku miłości.

– Dzień dobry wszystkim – powiedział przesadnie radosnym tonem.

Był ubrany w tradycyjny, choć dyskretny, strój do golfa: koszulkę polo, zwykłą czapkę, błękitne spodnie z zaszewkami. Ucałował Esperanzę w policzek.

– Zostaniesz z nami, Esperanzo? – spytał z największą uprzejmością.

Popatrzyła na niego, na Myrona i skinęła głową.

– Cudownie. Możesz zająć sypialnię z lewej w korytarzu – rzekł Win i zwrócił się do Myrona: – Nie uwierzysz!

– Zamieniam się w słuch, rozanielony przyjacielu – odparł Myron.

– Crispin nadal chce się z tobą spotkać. Zdaje się, że twoje wczorajsze wyjście zrobiło na nim wrażenie. – Uśmiechnięty szeroko Win rozłożył ręce. – Metoda na niezdecydowanego kontrahenta. Muszę ją kiedyś wypróbować.

– Tad Crispin? Ten Tad Crispin?! – spytała Esperanza.

– Ten sam – odparł Win.

– Ja cię!

Spojrzała z aprobatą na Myrona.

– Otóż to! No cóż, muszę lecieć. Zobaczymy się w Merion. Większość czasu spędzę w namiocie Lock-Horne'ów. – Win ponowił uśmiech. – Pa, pa.

Ruszył do drzwi, zatrzymał się, strzelił palcami.

– O mało nie zapomniałem. – Rzucił Myronowi kasetę. – Może to oszczędzi ci trochę czasu. Kasetę wylądowała na łóżku.

– Czy to...?

– Taśma z banku First Philadelphia – wyjaśnił Win. – Z szóstej osiemnaście w czwartek po południu. Jak prosiłeś. – Raz jeszcze się uśmiechnął i skinął ręką. – Przyjemnego dnia.

– Przyjemnego dnia? – powtórzyła Esperanza, patrząc, jak wychodzi.

Myron wzruszył ramionami.

– Kogo on udawał? – spytała.

– Winka Martindale'a – odparł Myron. – Chodź. Zejdźmy na dół i obejrzymy ją sobie.

Rozdział 12

Linda Coldren otworzyła drzwi, zanim zapukał.

– Co się stało? – spytała.

Twarz miała ściągniętą, co uwydatniło jej wysokie kości policzkowe. Spojrzenie nieobecne, zgaszone. Nie spała tej nocy. Stres, troska, niepewność dały się jej we znaki. Była silna. Próbowwała stawić czoło sytuacji. Jednak zniknięcie syna zaczynało ją powoli zżerać.

Myron pokazał kasetę.

– Ma pani magnetowid? – spytał.

W lekkim otępieniu zaprowadziła go do telewizora, w który patrzyła wczoraj, kiedy się poznali. Z pokoju w głębi wyłonił się Jack Coldren z workiem golfowym na ramieniu. On również wyglądał na wyczerpanego. Pod oczami miał mięsiste worki, przypominające miękkie kokony. Błysnął powitalnym uśmiechem, ale tak nikłym jak płomień w zapalniczce, w której się skończył gaz.

– Cześć, Myron.

– Cześć, Jack.

– Co się dzieje?

Myron wsunął kasetę do magnetowidu.

– Znają państwo kogoś, kto mieszka przy Green Acres Road? – zagadnął.

Jack i Linda spojrzeli na siebie.

– Dlaczego pan o to pyta? – zdziwiła się Linda.

– Zeszłej nocy obserwowałem wasz dom. Ktoś wyszedł stąd przez okno.

– Przez okno? – Jack zmarszczył brwi. – Które?

– Okno sypialni waszego syna.

Zapadła cisza.

– A co to ma wspólnego z Green Acres Road? – spytała Linda.

– Podążyłem za nim. Skręcił w Green Acres Road i zniknął... – albo w jednym z domów, albo w lesie.

Opuściła głowę.

– Przy Green Acres Road mieszkają Squiresowie – rzekł Jack, robiąc krok do przodu. – Najbliższy kolega Chada, Matthew.

Myron skinął głową. Nie był zaskoczony. Włączył telewizor.

– To taśma z banku First Philadelphia – wyjaśnił.

– Skąd pan ją ma? – spytał Jack.

– Nieważne.

Otworzyły się drzwi wejściowe i wszedł Bucky. Ubrany dziś w spodnie w kratę i żółtozieloną koszulę, starszy pan wkroczył do pokoju, po swojemu wyciągając szyję.

– Co robicie? – spytał.

Nie odpowiedzieli.

– Pytam...

– Oglądamy, tato – odparła Linda.

– Aha – rzekł cicho Bucky, przysuwając się bliżej. Myron przełączył na trzeci kanał i wcisnął odtwarzanie.

Wpatrzyli się w ekran. Myron już widział to nagranie. Obserwował więc twarze, rejestrując reakcje.

W telewizorze pojawił się podjazd do bankomatów. Kamera patrzyła z góry, czarno-biały szerokokątny obraz bez dźwięku był nieco zniekształcony przez efekt rybiego oka. Myron nastawił

taśmę na właściwy moment. Niemal natychmiast w polu widzenia pojawił się samochód. Kamera filmowała od strony kierowcy.

– To samochód Chada – oznajmił Jack Coldren.

W napiętym milczeniu patrzyli, jak szybko auta zjeżdża w dół. Pomimo nieco dziwnego kąta widzenia – z góry, od strony bankomatu – nie ulegało wątpliwości, że za kierownicą siedzi młody Coldren. Chad wychylił się z okna, wsadził kartę w otwór i postukał palcami w guziki jak wytrawna stenografka.

Na twarzy miał promienny, uszczęśliwiony uśmiech.

Gdy jego palce zakończyły małą rumbę, rozsiadł się w samochodzie. Czekał, na chwilę odwrócił się od kamery w stronę fotela dla pasażera. Ktoś tam siedział. Myron znów zbadał reakcje Coldrenów. Linda, Jack i Bucky mrużyli oczy, próbując robić dobrą minę do złej gry, ale się nie dało. Chad obrócił roześmianą twarz do kamery, wyjął pieniądze, chwycił kartę, cofnął się do środka, zamknął okno i odjechał.

Myron wyłączył magnetowid i czekał. W pokoju zapadło milczenie. Linda Coldren wolno podniosła głowę. Nie zmieniła miny, lecz broda drżała jej z napięcia.

– W samochodzie był ktoś jeszcze – powiedziała. – Może mierzył do Chada z pistoletu albo...

– Przestań! – krzyknął Jack. – Widziałaś jego minę, Lindo! Na miłość boską, widziałaś jego uśmiechniętą, zadowoloną gębę!

– Znam mojego syna. Nie zrobiłby tego.

– Wcale go nie znasz – odparował Jack. – Spójrz prawdzie w oczy. Żadne z nas go nie zna.

– Na pewno jest inaczej – nie dała za wygraną, mówiąc bardziej do siebie niż do nich.

– Tak? – Poczzerwieniały Jack wskazał telewizor. – No to jak wytłumaczysz to, co przed chwilą widzieliśmy? Ha? Śmiał się. Świetnie się bawi naszym kosztem. – Zamilkł, zmagając się z jakąś myślą. – Moim kosztem – poprawił się.

Linda posłała mu długie spojrzenie.

– Idź grać, Jack – powiedziała.

– Tak właśnie zrobię.

Jack Coldren podniósł worek. Spojrzenia jego i Bucky'ego spotkały się. Starszy pan milczał. Po policzku spłynęła mu łza, Jack oderwał od niego wzrok i ruszył do drzwi.

– Jack? – zawołał Myron. Coldren zatrzymał się.

– Mimo wszystko może być inaczej, niż się zdaje.

– Jak to?

– Namierzyłem, skąd do was wczoraj dzwono – wyjaśnił Myron. – Z automatu w galerii handlowej.

Opowiedział im w skrócie o wizycie w galerii Grand Mercado i o Paskudzie. Z twarzy Lindy zaczęła znikać nadzieja, wypierana przez rozpacz i konsternację. Myron świetnie rozumiał jej uczucia. Pragnęła, żeby syn był bezpieczny, a zarazem za nic nie chciałaby porwanie okazało się okrutnym żartem. Parszywy dylemat.

– To dowód, że Chad jest w niebezpieczeństwie – oznajmiła, kiedy skończył.

– To żaden dowód – odparł z lekkim rozdrażnieniem Jack. – Bogate dzieciaki też przesiadują w centrach handlowych i ubierają się jak punki. To pewnie kolega Chada.

Linda znów surowo spojrzała na męża.

– Idź grać, Jack – powtórzyła wyważonym tonem. Jack otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Pokręcił głową, poprawił worek na ramieniu i wyszedł. Bucky przemierzył pokój. Chciał przytulić córkę, lecz ona zeszywniała pod jego dotykiem. Odsunęła się od niego, badając wzrokiem twarz Myrona.

– Pan też myśli, że Chad upozorował porwanie – powiedziała.

- Wyjaśnienie Jacka jest sensowne.
- Dlatego zaniecha pan poszukiwań?
- Nie wiem – odparł Myron.

Wyprostowała się.

- Jeśli pan się nie wycofa... – zaczęła – przyrzekam, że podpiszę z panem kontrakt.
- Lindo...

– Czyż nie po to pan się tutaj zjawił? Chce mnie pan reprezentować. Dobrze, umowa jest taka. Pan się nie wycofa, a ja podpiszę, co tylko pan chce. Bez względu na to, czym okaże się to porwanie. Podpisanie umowy z najwyższej sklasyfikowaną golfistką na świecie to chyba duża sprawa.

- Owszem.
- Więc jak? – Wyciągnęła rękę. – Umowa stoi?

Myron zatrzymał ręce przy sobie.

- Pozwoli pani, że o coś spytam.
- O co?
- Skąd u pani tak silne przekonanie, że to nie mistyfikacja?
- Ma mnie pan za naiwną?
- Nie. Po prostu chcę wiedzieć. Opuściła rękę i odwróciła się od niego.
- Tato?
- Hmm? – spytał Bucky z taką miną, jakby ocknął się z oszołomienia.
- Mógłbyś zostawić nas samych?
- A! – powiedział Bucky, wyciągając szyję raz i drugi. Szczęście, że nie był żyrafą. – Tak, dobrze, zresztą i tak chciałem jechać do Merion.

- Więc jedź. Tam się spotkamy.

Kiedy zostali sami, Linda zaczęła chodzić po pokoju. Myron znów znalazł się pod urokiem jej urody – paradoksalnego połączenia piękna, siły i delikatności. Mocnych, muskularnych rąk, a przy tym długiej, smukłej szyi. Rysów wyrazistych i ostrych, a przy tym miękkich chabrowych oczu. Znał określenie „subtelna uroda”, ale to nie odnosiło się do Lindy.

– Nie przywiązuję dużej wagi do – Linda zakreśliła palcami w powietrzu cudzysłów – kobiecej intuicji i bzdur w rodzaju „matka zna syna najlepiej”. Ale wiem, że Chad jest w niebezpieczeństwie. Nie zniknąłby z takiego powodu. Wszystko jedno jak to wygląda, nie upozorował porwania.

Myron milczał.

– Nie lubię prosić o pomoc. Nie mam zwyczaju polegać na innych. Jednak w tej sytuacji... boję się. Jeszcze nigdy tak się nie bałam. Zżera mnie strach. Dusi. Mój syn jest w niebezpieczeństwie i w żaden sposób nie mogę mu pomóc. Żąda pan dowodu, że nie sfingował porwania? Nie dostarczę go panu. Po prostu wiem swoje. Dlatego proszę: niech pan mi pomoże.

Myron nie bardzo wiedział, jak zareagować. Płynących prosto z serca argumentów Lindy Coldren nie wspierały żadne dowody i fakty, lecz jej cierpienie nie było przez to ani trochę mniej prawdziwe.

- Odwiedź dom Matthew – rzekł wreszcie. – Zobaczymy, co się wydarzy.

Rozdział 13

Za dnia Green Acres Road robiło jeszcze większe wrażenie. Po obu stronach ulicy rosły trzymetrowe krzewy tak zwarte, że trudno było określić gęstość ich listowia. Myron zatrzymał samochód przed kutą żelazną bramą, podszedł do domofonu, nacisnął guzik i zaczekał. Zauważył kilka kamer. Niektóre się nie ruszały, inne przesuwwały się z cichym terkotem w obie strony. Dostrzegł też czujniki ruchu, drut kolczasty i dobermany.

Niezła forteca, pomyślał.

– Słucham – rozległ się przez głośnik głos nieprzystępny jak tutejsze krzewy.

– Dzień dobry. – Myron uśmiechnął się przyjaźnie, ale nie jak akwizytor, do najbliższej kamery. Gadał do kamery. Niczym w Wielkim Bracie.

– Ja do Matthew Squiresa.

Pauza.

– Pańskie nazwisko?

– Myron Bolitar.

– Czy panicz Squires pana oczekuje?

– Nie.

Panicz?!

– A więc nie był pan z nim umówiony?

Umówiony na spotkanie z szesnastolatkiem? Kim był ten dzieciak, drugim Doogiem Howserem?

– Niestety, nie.

– Wolno spytać o cel pańskiej wizyty?

– Chcę porozmawiać z Matthew Squiresem.

– Obawiam się, że nie będzie to możliwe – odparł głos.

– Może mu pan przekazać, że chodzi o Chada Coldrena? Kolejna pauza. Kamery zatańczyły. Myron rozejrzał się.

Wpatrywały się w niego jak wrodzy kosmici, jak nauczyciele na dyżurze w stołówce szkolnej.

– W jakim sensie dotyczy to panicza Coldrena? – spytał głos.

Myron spojrzął w kamerę.

– Można wiedzieć, z kim rozmawiam? – spytał.

Nie dostał odpowiedzi.

– Powinien pan odpowiedzieć: „Jestem wielki i potężny Oz”.

– Przykro mi, proszę pana. Nie wpuszczamy osób nieumówionych. Życzę miłego dnia.

– Chwileczkę! Halo? Halo?

Myron nacisnął guzik. Żadnej reakcji. Naciskał go kilka sekund. Bez skutku. Spojrzął w kamerę i uśmiechnął się do niej milutko jak sympatyczny, nieszkodliwy, prosty, Bogu ducha winny Amerykanin. Wypisz, wymaluj Tom Brokaw. Pomachał dłonią. Nic. Odstąpił kroczek i pozdrowił oko kamery zamasztyłym futbolowym wymachem w stylu wielkiego Jacka Kempa. Figa z makiem.

Stał tam jeszcze minutę. Bardzo dziwne. Szesnastolatek pod taką ochroną? Podejrzana sprawa. Nacisnął guzik po raz ostatni. Nikt nie odpowiedział. Spojrzął w kamerę, wsadził kciuki do uszu, pomachał palcami i wywalił język.

Jeśli nie wiesz, jak postąpić, zachowaj się dojrzałe.

Z telefonu w samochodzie Myron zadzwonił do znajomego, szeryfa Jake’a Courtera.

– Biuro szeryfa.

– Cześć, Jake, tu Myron.

– O w mordę! Czuję, że nie powinienem przyłączyć tu w niedzielę.

– Ranisz mnie, Jack! Ale serio, czy w policji wciąż uchodzisz za wielkiego jajarza?
 Jake Courter westchnął ciężko.

– Czego chcesz tym razem? – spytał. – Wpadłem odwalić trochę papierkowej roboty.

– Nie masz chwili wytchnienia dla obrońców prawa i sprawiedliwości.

– A żebyś wiedział. W tym tygodniu wyjeżdżałem do dwunastu wezwań. Zgadnij, ile było w tym fałszywych alarmów włamaniowych.

– Trzyście.

– Blisko.

Przez ponad dwadzieścia lat Jake Courter, potężny Murzyn, pracował jako policjant w kilku najniebezpieczniejszych miastach w kraju. Nienawidził tej służby i łaknął spokojniejszego życia. W końcu wystąpił z policji i przeniósł się do malowniczego (czytaj: zdominowanego przez białych) Reston w stanie New Jersey. Szukając ciepłej posadki, wystartował w wyborach na szeryfa. Postawił – jak to ujął – na swoją „czerń”, a ponieważ Reston to miasto akademickie (czytaj: liberalne), wygrał w cuglach. „Dzięki poczuciu winy białych” – zwierzył się Myronowi. Uzyskał najwięcej głosów.

– Tęsknisz za ekscytującym życiem w wielkim mieście? – spytał Myron.

– Jak za opryszczką. Dobra, Myron, już mnie oczarowałeś. Urobiłeś w łapach jak plastelinę.
 Czego chcesz?

– Jestem w Filadelfii na Otwartych Mistrzostwach Stanów.

– W golfie?

– W golfie. Słyszałeś może o niejakim Squiresie?

– Ożeż ty! – zaklął po chwili Jack.

– Co?

– W coś ty się znowu wpakował?

– W nic. Rzecz w tym, że ma dom najeżony dziwnymi zabezpieczeniami...

– A co ty robisz koło jego domu?

– Nic.

– Jasne. Przypadkiem tam przechodziłeś.

– Coś w tym rodzaju.

– Nic w tym rodzaju. – Jake westchnął. – A zresztą co tam, to już nie moja broszka. Squires.
 Reginald Squires alias Wielki Błękit.

Myron zrobił minę.

– Wielki Błękit?

– Wszyscy gangsterzy mają ksywki. Squires jest znany jako Wielki Błękit. Błękit jak w błękitnej krwi.

– Ach, ci gangsterzy. Szkoda, że nie wyżywają się w uczciwym marketingu.

– Uczciwym marketingu? Nie ma takiego zwierzęcia. W każdym razie Squires ma góry rodzinnej forsy, błękitne wychowanie, wykształcenie i co tylko.

– To dlaczego obraca się w tak podłym towarzystwie?

– Chcesz znać prostą odpowiedź? Bo ten skurwiol to prawdziwy psychol. Uwielbia zadawać ból. Trochę jak Win.

– Win nie czerpie z tego przyjemności.

– Skoro tak twierdzisz.

– Nikomu nie zadaje bólu bez powodu. Robi to, żeby zapobiec złu, wymierzyć złoczyńcom karę et cetera.

– Pewnie, niech ci będzie. Coś dziś taki drażliwy, Myron?

– Mam za sobą długi dzień.

– Jest dopiero dziewiąta rano.

– Czymże jest czas, jeśli nie płodem dwóch wskazówek zegara?

– Skąd ten cytat?

– Znikąd. Wymyśliłem to przed chwilą.

– Przerzuć się na pisanie tekstów na pocztówki.

– Czym się zajmuje Squires, Jake?

– Zdziwić cię? Nie wiem. Nikt tego nie wie na pewno. Narkotykami, prostytutką, tym podobnym szajsem. Tyle że ekskluzywnym. I nie w formie zorganizowanej. Po prostu dla rozrywki, rozumiesz? Wchodzi w coś, co go rajcuje, a potem to rzuca.

– Także w porwania?

– Kurczę, w coś ty się znowu wpakował?

– Spytałem, czy Squires bawi się w porwania.

– Aha. To pytanie czysto hipotetyczne. Z gatunku: „Jeśli niedźwiedź nasra w lesie, gdy nikogo nie ma w pobliżu, czy mimo to jego kupa śmierdzi?”.

– Właśnie. Czy w jego przypadku śmierdzi porwaniem?

– Cholera wie. Ten facet to świr jakich mało. Obraca się w snobistycznych kręgach, chodzi na nudne przyjęcia, zje gówniane frykasy, rzy z dennych, nieśmiesznych kawałów, rozmawia z tymi samymi nudziarzami o tych samych bzdetach...

– Widzę, że ich podziwiasz.

– Jakbyś zgadł, przyjacielu. Na pozór mają wszystko. Pieniądze, wielkie domy, eleganckie kluby. Ale są tak kurewsko nudni, że można się zabić. Podejrzewam, że Squires podziela moje zdanie.

– Mhm – mruknął Myron. – A więc Win bardziej cię przeraża.

Jake zaśmiał się.

– Otóż to. Wracając jednak do twojego pytania: nie wiem, czy Squires bawiłby się w porwania. Choć wcale bym się nie zdziwił.

Myron podziękował mu, rozłączył się i spojrzał w górę. Nad wierzchołkami krzaków na podobieństwo małych strażników warował rząd co najmniej tuzina kamer.

Co dalej?

Może Chad Coldren obserwował go przez jedną z nich, śmiejąc się do rozpuku. Kto wie, czy on, Myron Bolitar, nie trudił się na darmo. Oczywiście, Linda Coldren przyrzekła zostać jego klientką. Wzbraniał się przed tą myślą, choć nie była mu niemiła. Uśmiechnął się w duchu. Gdyby tak jeszcze udało się pozyskać Tada Crispina...

Hej, Myron – ostrzegł się – chłopak może być w dużym niebezpieczeństwie!

Chyba że, co trudno wykluczyć, ten zaniedbany przez rodziców małolat lub zepsuty smar-kacz – jak kto woli – urwał się z domu i zabawia ich kosztem.

Tak czy siak pozostaje kwestia: co dalej?

Powrócił myślami do taśmy wideo z Chadem. Nie omówił z Coldrenami szczegółów, i teraz nurtowały go pytania. Dlaczego właśnie tam? Dlaczego Chad wziął pieniądze z tego konkretnego bankomatu? Skoro uciekł i się ukrywał, potrzebował gotówki. W porządku, to miało sens.

Ale dlaczego podjął ją na Porter Street?

Dlaczego nie w banku bliżej domu? I równie ważne pytanie: co Chad Coldren robił w tamtej dzielnicy? Nie było tam nic. Nawet postoiu przy zbiegu autostrad. W sąsiedztwie jedynym lokalem wymagającym gotówki był Zajazd Dworski. Myron jeszcze raz rozważył zachowanie motelier extraordinaire, Stuarta Lipwitza.

Uruchomił silnik. Jeśli coś się za tym kryło, warto było sprawdzić.

Oczywiście Stuart Lipwitz dał jasno do zrozumienia, że nic nie powie. Istniało jednak narzędzie, które winno skłonić go do zmiany decyzji.

Rozdział 14

– Uśmiech, proszę!

Mężczyzna się nie uśmiechnął. Prędko wrzucił wsteczny bieg i wycofał się. Myron wzruszył ramionami i opuścił aparat. Zawieszony na jego szyi, lekko odbijał się od torsu. Nadjechał następny samochód.

– Uśmiech, proszę! – powtórzył Myron, podnosząc aparat. Jeszcze jeden mężczyzna. Jeszcze jeden ponurak. Przed wrzuceniem wstecznego biegu zdążył schylić głowę.

– Jaki wstydlivy! – krzyknął za nim Myron. – Miły widok w tej epoce terroru paparazzich.

Nie czekał długo. Po niespełna pięciu minutach spędzonych na chodniku przed Zajazdem Dworskim dostrzegł, że pędzi ku niemu Stuart Lipwicz. Niezrównany Stu był w pełnym rynsztunku: szarym fraku, szerokim krawacie i z kluczykiem – oznaką recepcjonisty – w klapie. Frak w motelo-burdelu? To jak kierownik sali w barze Burger Kinga. Patrząc, jak nadlatuje, Myron przypomniał sobie odjazdową piosenkę Pink Floydów Halo, halo, halo, jest tam kto?, a zaraz potem Davida Bowiego: Kontrola naziemna do majora Toma.

Ach, lata siedemdziesiąte!

– Ej, panie! – zawołał Lipwicz.

– Cześć, Stu.

Tym razem Stuart Lipwicz się nie uśmiechał.

– To teren prywatny – oświadczył lekko zadyszany. – Muszę prosić, żeby pan natychmiast go opuścił.

– Pan wybaczy, że się z nim nie zgodzę. Stoję na publicznym chodniku. Mam do tego wszelkie prawo.

Stuart Lipwicz zająknął się i z irytacją zatrzepotał rękami. W swoim fraku przypominał trochę nietoperza.

– Ale pan nie może tak tu stać i fotografować mojej klienteli – zaprotestował piskliwie.

– Klienteli? Czy to nowy eufemizm na jebaków?

– Wezwę policję.

– Ooooch, ależ pan mnie nastraszył.

– Pan szkodzi moim interesom.

– A pan moim.

Stuart Lipwicz podparł się pod boki i zrobił groźną minę.

– Ostatni raz grzecznie powtarzam: Niech pan opuści teren.

– To nie było miłe.

– Słucham?

– Powiedział pan, że ostatni raz grzecznie powtarza. I dodał: „Niech pan opuści teren”. A gdzie „proszę”? Gdzie „Raczy pan opuścić teren”? To ma być miłe?

– Rozumiem. – Na twarz Lipwitza wystąpiły krople potu. Na dworze upał, a on paradował we fraku. – Proszę opuścić teren.

– Nie opuszczę. Miło jednak, że dotrzymał pan słowa.

Stuart Lipwicz wziął kilka głębokich oddechów.

– Chce pan uzyskać informację o chłopcu? Tym ze zdjęcia?

– Pewnie.

– Jeśli powiem, czy tu był, odjedzie pan?

– Tak, choć rozstanę się z pańskim przybytkiem z największą przykrością.

– To szantaż, proszę pana.

Myron spojrzał mu w oczy.

– „Szantaż to takie brzydkie słowo”, ale dla uniknięcia banału odpowiem: „Tak jest”.

– Tto... – Lipwicz zająknął się – niezgodne z prawem!

– W przeciwieństwie do prostytutki, handlu narkotykami i innych podejrzanych machinacji, które odchodzą w tej zapchlonej norze.

– Norze?! – Stuart Lipwicz zrobił duże oczy. – To jest Zajazd Dworski, proszę pana. Jesteśmy porządnym...

– Wystarczy, Stu. Muszę cyknąć zdjęcia.

Podjechał następny samochód. Szare volvo combi. Miłe auto dla całej rodziny. Siedząca obok kierowcy, pięćdziesięciolatka w garniturze, dziewczyna ubierała się z pewnością w – znanym bywalczyńiom galerii – butiku Dziwki to my.

Myron z uśmiechem nachylił się ku oknu.

– O, wypoczywamy z córeczką? – zdziwił się. Mężczyzna spojrział na niego jak klasyczny jeleń schwyty w snop świateł samochodu. Młoda prostytutka zaśmiała się głośno.

– Hej, Mel, słyszysz? Bierze mnie za twoją córkę!

Znowu się zaśmiała.

Myron podniósł aparat, a gdy Stuart Lipwicz chciał mu przeszkodzić, odepchnął go wolną ręką.

– Dziś w Zajeździe Dworskim mamy Dzień Pamiątek – wyjaśnił. – Mogę utrwalić wasze zdjęcie na kubku do kawy. Albo na dekoracyjnym talerzu.

Mężczyzna w garniturze wycofał samochód. Po kilku sekundach już ich nie było.

Stuart Lipwicz poczerwieniał. Zacisnął dłonie w pięści.

Myron obserwował go.

– No nie, Stuart...

– Mam wpływowych znajomych – ostrzegł Lipwicz.

– Och! Znowu mnie pan wystraszył.

– Dobrze. Jak pan chce.

Stuart Lipwicz zawrócił na pięcie i z furią ruszył podjazdem. Myron uśmiechnął się. Okazało się, że młodzian jest twardszym orzechem do zgryzienia, niż myślał. Chociaż nie chciał sterczeć tutaj cały dzień, na razie nie miał innych tropów, a zabawa z Niezrównanym Stu go wciągała.

Czekając na kolejnych klientów, zastanawiał się, co zrobi Stu. Na pewno coś desperackiego. Dziesięć minut później podjechało kanarkowe audi, z którego wysiadł wielki Murzyn.

Był parę centymetrów niższy od Myrona, ale zbudowany, że daj Boże zdrowie. Klatę miał szeroką jak ściana do gry w jai alai, nogi jak pnie sekwoi, lecz w przeciwieństwie do typowych osiłków z przerośniętymi mięśniami poruszał się miękko i zręcznie.

Nie wróżyło to nic dobrego.

Przybysz nosił ciemne okulary, hawajską czerwoną koszulę i dżinsowe szorty. Najbardziej rzucały się w oczy jego włosy: rozprostowane, gładko zaczesane, z przedziałkiem z boku, jak na starych zdjęciach Nata Kinga Cole'a.

– To trudne? – zagadnął Myron, wskazując na jego głowę.

– Co? – spytał Murzyn. – Pyta pan o włosy?

Myron skinął głową.

– Utrzymać je takie proste.

– Nie bardzo. Raz w tygodniu odwiedzam starą fryzjerską Raya. Taką z walcem w białoczerwone pasy i resztą. – Murzyn uśmiechnął się niemal rzewnie. – Ray zajmuje się moją fryzurą. A do tego goli jak marzenie. Z użyciem gorących ręczników itd.

Dla podkreślenia tych słów przejechał dłonią po twarzy.

– Gładziutko – pochwalił Myron.

– Dzięki. Miło słyszeć. Wie pan, jak mnie to odpręża? To, że Ray zajmuje się wyłącznie mną. Najważniejsze to rozładować napięcie.

– Świetna sprawa.

Myron skinął głową.

– Dać panu numer Raya? Wpadnie pan do niego i sam się przekona.

– Numer Raya? Z chęcią.

Murzyn zbliżył się o krok.

– Zdaje się, że doszło tu do drobnego konfliktu, panie Bolitar – powiedział.

– Skąd pan zna moje nazwisko?

Murzyn wzruszył ramionami. Myron wyczuł, że taksuje go wzrokiem spoza ciemnych okularów. Robił to samo. Starali się zachowywać uprzejmie. Jeden wiedział, co robi drugi.

– Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan odjechał – rzekł uprzejmie Murzyn.

– Niestety, nie mogę. Mimo że pan grzecznie prosi – odparł Myron.

Murzyn skinął głową. Nie ruszył się z miejsca.

– Wobec tego poszukajmy innego rozwiązania, dobrze?

– Doskonale.

– Pan rozumie, że mam tu do wykonania zadanie.

– Oczywiście.

– Pan też ma do wykonania zadanie.

– Tak jest.

Murzyn zdjął okulary i włożył je do kieszeni koszuli.

– Wiemy obaj, że pan nie ustąpi mnie, a ja panu. Jeśli weźmiemy się za łby, nie wiem, który z nas wygra.

– Ja. Dobro zawsze zwycięża zło – odparł Myron.

Przybysz uśmiechnął się.

– Nie w tej dzielnicy – odparł.

– Dobrze wiedzieć.

– Poza tym nie jestem pewien, czy warto to sprawdzać! Chyba wyrosliśmy już z durnego wieku udowadniania sobie własnej męskości.

Myron skinął głową.

– Jesteśmy za dojrzały.

– Właśnie.

– A zatem mamy impas.

– Na to wygląda – zgodził się Murzyn. – Oczywiście zawsze mogę wyciągnąć broń i pana zastrzelić.

Myron pokręcił głową.

– Nie z tak błahego powodu. Choćby przez wzgląd na reperkusje.

– Owszem. Wiedziałem, że pana nie nabiorę, ale musiałem spróbować. A nuż, widelec.

– Źle by się pan czuł, gdyby nie spróbował. Jest pan zawodowcem. A ja czułbym się oszukany.

– Miło, że pan to rozumie.

– A skoro przy tym jesteśmy, czy nie jest pan za dobry na taką błahostkę?

– Co prawda, to prawda.

Nieznajomy przystąpił bliżej. Myron napiął mięśnie, czując całkiem przyjemny dreszcz emocji.

– Wygląda pan na kogoś, kto trzyma język za zębami – rzekł Murzyn.

Myron potwierdził jego sąd milczeniem.

– Ten chłopak ze zdjęcia tutaj był.

– Kiedy?

– Nic więcej nie powiem. – Murzyn potrząsnął głową. – I tak jestem wspaniałomyślny.

Chciał pan wiedzieć, czy chłopak tu był. Odpowiedź brzmi: tak.

– To miło z pana strony.

– Chcę uprościć nam życie. Obaj wiemy, że Lipwicz to dureń. Zachowuje się tak, jakby ten pisuar był hotelem Beverly Wilshire. Ale ci, którzy tu zajeżdżają, nie życzą sobie żadnych zdjęć. Pragną być niewidzialni. Nie chcą nawet na siebie patrzeć, rozumie pan?

Myron skinął głową.

– Dlatego daję panu upominek. Chłopak ze zdjęcia był tutaj.

– I wciąż jest?

– Przeciąga pan strunę, Myron.

– O nic więcej nie pytam.

– Nie ma go. Spędził tu jedną noc. – Murzyn rozłożył ręce. – No i jak? Jestem wobec pana uczciwy?

– Bardzo.

Murzyn skinął głową.

– Pańska kolej.

– Domyślałam się, że za nic mi pan nie zdradzi, dla kogo pracuje.

Murzyn zrobił znaczącą minę.

– Miło mi było pana poznać, Myron – powiedział.

– Dziękuję, nawzajem.

Uścisnęli sobie dłonie. Myron wszedł do samochodu i ruszył. Gdy dojeżdżał do Merion, zadzwoniła komórka. Odebrał telefon.

– Halo?

– Czy to, kurde, Myron?

Dziewczyna z galerii.

– Kurde nie, Myron tak.

– Że co?

– Nieważne. O co chodzi?

– Szukał pan wczoraj tego luja, nie?

– Tak.

– Znowu jest w galerii.

– Gdzie?

– W gastroramie. W kolejce u McDonalda.

Myron zawrócił i wcisnął pedał gazu.

Rozdział 15

Paskudny Faszysta wciąż tam był.

Siedział przy stoliku w kącie i wbijał w siebie burgera z taką pasją, jakby nie mógł znieść jego widoku. Dziewczyny się nie myliły. W pełni zasługiwał na miano luja, niezależnie od tego, co to słowo znaczyło i czy w ogóle istniało. Z gęby pozował na nieogolonego twardziela, choć z braku testosteronu o wiele bliżej mu było do niechlujnego nastoletniego chasyda. Na głowie nosił czarną baseballówkę z czaszką i pischzelami. Na jednej z bladych, chudych rąk wystających z podwiniętych rękawków rozdartej koszulki miał wytatuowaną swastykę. Myron pokręcił głową. Swastyka? Taki stary, a taki ciemniak.

Najwyraźniej wściekły na swojego burgera, Paskuda odgryzł kolejny kęs. Galerniczki wskazały go Myronowi, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości, o kogo chodzi. Przyłożył palec do ust, dając znak, żeby przestały. Posłuchały, kompensując to sobie przesadnie głośną, swobodną rozmową i rzucając w jego kierunku ukradkowe spojrzenia. Odwrócił głowę.

Paskuda skończył hamburgera i wstał. W samą porę. Rzeczywiście wydawał się bardzo chudy. Dziewczeta nie przesadziły – nie miał tyłka. Trudno było określić, czy hołduje modzie na zbyt duże dzinsy, czy faktycznie brak mu pośladków, w każdym razie co kilka kroków podciągał spodnie. Myron podejrzewał, że z obu powodów.

Wyszedł za nim na palące słońce. Żar lał się z nieba. Myron niemal zatęsknił za klimatyzowanym chłodem galerii. Paskuda wszedł krokiem równiachy na parking. Z pewnością zmierzał do samochodu. Myron skręcił w prawo, żeby się przygotować do jazdy. Wsiadł do swojego forda taurusa (czytaj: poławiacza szprot) i zapalił silnik.

Jadąc wolno przez parking, zobaczył, że Paskuda idzie do ostatniego rzędu samochodów. Stały tam tylko dwa wozy. Srebrny cadillac seville oraz pickup z monstrualnymi kołami, flagą Konfederatów i napisem ZŁY DO SZPIKU KOŚCI z boku. Wieloletnie doświadczenie w pracy śledczej podpowiedziało mu, że to pewnie bryka Paskudnego Faszysty. I rzeczywiście. Paskuda otworzył drzwiczki i wskoczył do środka. Niebawem. Czasem zdolności dedukcyjne Myrona graniczyły z jasnowidztwem. Może powinien zrobić konkurencję telefonicznej wórcze Jackie Stallone.

Śledzenie pickupa nie wymagało trudu. Pojazd tak rzucał się w oczy, jak strój golfisty w klasztorze, a El Paskuda nie wciskał gazu do dechy. Jechali z pół godziny. Trudno powiedzieć dokąd, ale Myron rozpoznał w perspektywie ulicy Stadion Weteranów. Obejrzał tam z Winem kilka meczów Eagles. Win zawsze siadał na wprost środka boiska, w niższych rzędach. Stadion był stary, „luksusowe” łóżka położone wysoko, więc ich nie lubił. Wolał siedzieć z ludem. Łaskawca.

Trzy przecznice przed stadionem Paskuda skręcił w boczną uliczkę, zahamował i wyskoczył. Myron ponownie rozważył, czy wezwać Wina, uznał jednak, że to nie ma sensu: Win był w Merion, komórkę miał wyłączoną. Myron wrócił myślami do minionej nocy i porannych zarzutów Esperanzy. A może miała rację? Może rzeczywiście – częściowo – odpowiadała za postęпки Wina? Nie o to jednak chodziło. Już wiedział, że prawda, której bała się również Esperanza, przedstawia się banalnie: po prostu nie brał ich sobie do serca.

Czytasz gazety, oglądasz wiadomości, doświadczasz okropności i twoje człowieczeństwo, podstawy wiary w ludzi, zaczynają zbliżać się niebezpiecznie do „gry w zadowolenie” Polyanny. Tym właśnie się gryzł – nie odrazą do wyczynów Wina, lecz tym, że się nimi zbyt nie przejmował.

Win postrzegał świat kontrastowo – czarno-biało. On sam ostatnio też zaczął czarno widzieć szare strefy życia. Nie podobały mu się zmiany, jakie zaszły w nim pod wpływem okrucieństw zadawanych ludziom przez ludzi. Próbował trzymać się starych wartości, ale lina w jego rękach stawała się coraz bardziej śliska. Pytanie, po co się ich trzymał. Czy dlatego, że naprawdę w nie wierzył, czy dlatego, że podobał się sobie jako ich wyznawca?

Nie był już tego pewien.

Powinien zabrać z sobą broń. Idiota. Ale przecież śledził zwykłą łajzę. Z tym że nawet łajza mógł do niego strzelić i zabić. Co robić? Zadzwoić na policję? Z takimi dowodami w rękę? Z czym do gości. A może wrócić tutaj później z pukawką? Do tego czasu Paskuda mógł jednak odejść, kto wie, czy nie z Chadem Coldrenem.

Pozostało więc śledzić go dalej. Byle ostrożnie.

Nie bardzo wiedząc, co począć; Myron zatrzymał samochód na rogu i wysiadł. Ulica zabudowana była niskimi domami z cegły, zbudowanymi jak spod sztancy. Kiedyś była to zapewne miła dzielnica – teraz wyglądała jak nieborak, który stracił pracę i przestał się kąpać. Zarośnięta i spłowiała jak ogród, o który przestano dbać.

Paskuda skręcił w zaułek. Idąc za nim, Myron minął wiele plastikowych worków ze śmieciami, dużo zardzewiałych schodów pożarowych. Z kartonu po lodówce wystawały cztery nogi i dobywało się chrapanie. Na końcu zaułka Paskuda skręcił w prawo. Myron posuwał się wolno. Paskuda zniknął w drzwiach ewakuacyjnych opuszczonego budynku. Nie miały klamki ani gałki, lecz pozostały uchylone. Myron pchnął je.

Zaraz po przekroczeniu zmurzonego progu usłyszał nieartykułowany wrzask. Tuż przed sobą zobaczył Paskudę. Coś śmignęło mu przy twarzy. Przydał się szybki refleks. Dzięki unikowi metalowy drąg ześlizgnął się po łopacie. Rękę przeszył nagły ból. Myron padł na ziemię, przetoczył się po betonowej podłodze i wstał.

Było ich trzech. Z ogolonymi głowami i wytatuowanymi swastykami. Wszyscy uzbrojeni w łomy i łyżki do opon.

Wyglądali jak trzy części koszmarnego filmu. Paskudny Faszysta był pierwowzorem. W Podziemiach Planety Paskudnego Faszysty, który stał z lewej, uśmiechał się jak głupi do sera. A stojący z prawej Ucieczka z Planety Paskudnego Faszysty nadrabiał miną. Słabe ogniwo, uznał Myron.

– Zmieniacie opony mózgowę? – spytał.

– Rozwalimy twoje – odparł Paskuda, dla zwiększenia efektu uderzając łyżką w dłoń.

– E!

Myron machnął ręką.

– Czego mnie śledzisz, złamasie?

– Ja?

– Tak, ty! Dlaczego mnie, kurwa, śledzisz?

– Kto mówi, że cię śledzę?

– Bierzesz mnie za przygłupa? – spytał zdezorientowany Paskuda.

– Skądże, za asa Mensy.

– Za kogo?

– Pogrywa z tobą w chuja, człowieku – odpowiedział w Podziemiach Planety.

– Jasne, że pogrywa – zawtórował Ucieczka.

Paskuda wybałuszył załzawione oczy.

– Pogrywasz ze mną, złamasie?! Pogrywasz w chuja?! Ze mną?!

– Przejdźmy do następnego punktu – rzekł Myron, patrząc mu w oczy.

– Spuśćmy mu mały wpierdol – zaproponował Podziemniak. – Dołożmy zdrowia.

Tych trzech zapewne nie miało doświadczenia w walce, lecz Myron wiedział, że trzech uzbrojonych zakapiorów zawsze może pokonać wygę. W dodatku byli zbyt nabuzowani, oczy błyszczały im jak świeże pączki, bez przerwy pociągali nosami i je pocierali.

Innymi słowy – jak kto woli – naćpali się, złapali fazę, napudrowali.

Ale widział dla siebie szansę – zbijając ich z tropu i atakując. Ryzykowne. Musiał ich wkurzyć, wytrącić z i tak już zakłóconej równowagi, a przy tym zachować kontrolę nad sytuacją, wiedzieć, kiedy trochę ustąpić. Znajdował się w sytuacji linoskoczka, zmuszonego balansować wysoko nad tłumem, bez zabezpieczającej siatki.

– Czego mnie śledzisz, złamasie? – powtórzył Paskuda.

– Może mi się podobasz – odparł Myron. – Mimo braku tyłka.

Podziemniak zarechotał.

– Załatwmy go, kurde. Załatwmy na perłowo.

Myron spojrział na nich jak twardziel, który nie pęka. Niektórzy mogli mylnie uznać, że cierpi na zaparcie, niemniej mina ta wychodziła mu coraz lepiej. Grunt to praktyka.

– Szczerze wam to odradzam – ostrzegł.

– Tak?! A niby dlaczego mamy cię nie załatwić? – spytał Paskuda. – Niby dlaczego mam ci nie połamać wszystkich żeber tą sztamajzą?

Uniósł łyżkę do opon, by przekonać Myrona, że nie myśli się z nim pieścić.

– Spytałeś, czy mam cię za przygłupa – odparł Myron.

– No i co?

– A ty? Masz mnie za przygłupa? Czy gdybym chciał cię uszkodzić, to byłbym taki durny, żeby przyjść za tobą, wiedząc co mnie tu czeka?

Cała trójka się zawahała.

– Śledziłem cię, żeby sprawdzić.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Pracuję dla pewnych osób. Nie wymienię nazwisk. – Głównie dlatego, pomyślał Myron, że nie wiem, o czym mówię. – Powiedzmy, że są z branży, w której wy sami nierzadko działacie.

– Nierzadko?

Znowu potarli nosy. Faza, faza. Faza, faza.

– Nierzadko – powtórzył. – To coś, co robi się często lub w krótkich odstępach czasu. Nierzadko.

– Że co?

Boże!

– Mój pracodawca szuka kogoś, kto pokierowałby pewnym rewirem. Kogoś nowego. Kogoś, kto chce zarobić dziesięć procent od sprzedaży i mieć kokę za friko do oporu. Oczy tercetu zbzikowały.

– Słyszysz, człowieku? – spytał Podziemniak Paskudę.

– Słyszę.

– U Eddiego nie mamy prowizji. Ten piździelec to straszny cienias. A ten gościu – Podziemniak wskazał Myrona łyżką do opon – to, kurde, wapniak. Bankowo pracuje dla kogoś z kasą.

– Bankowo – wsparł go Ucieczka.

Paskuda się zawahał, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Skąd się o nas zwiedziałeś?

Myron wzruszył ramionami.

– Chodzą słuchy – odparł.

Ściema, ściema.

– Więc jechałeś za mną, żeby mnie sprawdzić?

– Tak.

– Po prostu zaszłeś do galerii i postanowiłeś mnie śledzić?

– Można tak powiedzieć.

Paskuda uśmiechnął się. Spojrział na Ucieczkę i Podziemniaka. Zacisnął dłoń na łyżce. Niedobrze.

– To dlaczego się o mnie rozpytywałeś? Co cię obłazi, że stamtąd dzwoniłem?

Niedobrze.

Paskuda zrobił krok do przodu, oczy mu pałały.

Myron uniósł rękę.

– Odpowiedź jest prosta – odparł.

Zawahali się. Wykorzystał to. Wyrzucił nogę przed siebie jak tłok, trafiając nieprzygotowanego Ucieczkę w kolano, i rzucił się do drzwi.

– Łapcie, skurwysyna!

Pognali za nim, ale zdążył otworzyć ramieniem drzwi ewakuacyjne. Z pokusy „durnego udowodnienia sobie własnej męskości”, jak nazwał tę cechę nowy znajomy sprzed Zajazdu Dworskiego, chętnie by się z nimi starł, lecz taka lekkomyślność mogła go drogo kosztować. W przeciwieństwie do nich był nieuzbrojony.

Gdy dobiegał do wylotu zaułka, dzieliło go od tamtych zaledwie dziesięć jardów. Nie wiedział, czy zdąży wsiąść do samochodu. Nie miał wyjścia. Musiał to zrobić.

Chwytał klamkę i szarpnięciem otworzył drzwiczki. Kiedy wsuwał się do środka, oberwał łyżką w ramię. Zabolalo. Próbował zamknąć auto, natrafił na opór. Jeden z prześladowców uczeplił się drzwiczek. Wykorzystując swoją wagę, Myron pociągnął z całej siły.

Poleciała szyba.

Twarz obsypało mu szkło. Kopnął nogą przez otwarte okno i trafił napastnika w twarz. Opór ustąpił. Zdążył już wyciągnąć kluczyk i włożyć go do stacyjki. W momencie gdy go przekreślał, poszło następne okno.

– Już po tobie, skurwysynu! – wrzasnął Paskuda, nachylając się ku niemu z oczami pałającymi wściekłością.

Myron zablokował uderzenie łyżką wymierzone w twarz, lecz od mocnego ciosu w szyję zdrętwiał mu kark. Włączył wsteczny bieg i odjechał z piskiem opon. Paskuda, usiłujący wskoczyć do taurusa przez wybite okno, dostał łokciem w nos i się odczepił. Upadł ciężko na chodnik, ale natychmiast zerwał się na nogi. Kokainiści w takich sytuacjach często nie czują bólu.

Wszyscy trzej popędzili do pickupa. Myron na szczęście odjechał im za daleko. Bitwa była skończona. Na razie.

Rozdział 16

Sprawdził numer rejestracyjny pickupa. Niepotrzebnie. Był nieważny od czterech lat. Paskuda z pewnością wziął tablice ze złomowiska. Normalka. Nawet drobne rzezimieszki są na tyle sprytne, żeby podczas przestępstw nie używać prawdziwych tablic rejestracyjnych.

Myron zawrócił i zbadał budynek w środku, szukając wskazówek. Po betonie wałały się poگیęte strzykawki, stłuczone fiołki i puste torby po chipsach paprykowych. Na widok pustego kosza na śmieci pokręcił głową. Nie dość że zajmowali się dealerką, to byli flejtuchami.

Rozejrzał się po opuszczonym, na wpół spalonym domu. Żadnych tropów.

Co to wszystko znaczyło? Trudno sobie wyobrazić, żeby tych trzech ćpunów porwało Chada Coldrena. Narkomani włamują się do domów. Napadają na ludzi w zaułkach. Atakują łyżkami do opon. Ale nie planują skomplikowanych porwań.

Tylko czy porwanie Chada było skomplikowane? Na początku kidnaper nie wiedział nawet, ile zażądać pieniędzy. Dość dziwne, choć może nie tak bardzo. Czyżby więc chłopca rzeczywiście wprowadziło kilku zaćpanych łazęgów?

Myron wsiadł do wozu i ruszył do rezydencji Wina. Przyjaciel miał pod dostatkiem aut. Mógł u niego wymienić swojego forda taurusa na pojazd z szybami. Odniesione urazy rozchodziły się chyba po kościach. Kilka sińców i stłuczeń, wszystkie kości całe. Żaden z ciosów nie był dostatecznie celny, oprócz tych w okna samochodu.

Rozważywszy kilka hipotez, Myron skonstruował całkiem spójną wersję wypadków. Załóżmy, że z jakiegoś powodu Chad Coldren postanowił zameldować się w Zajeździe Dworskim. Żeby spędzić tam czas z dziewczyną? Kupić narkotyki? A może ze względu na grzeczną obsługę? Nieważne. Kamera bankowa zarejestrowała, że wyjął trochę gotówki z pobliskiego bankomatu. Potem zaś wynajął pokój w motelu. Na noc albo na godzinę. Nieważne.

W Zajeździe Dworskim coś poszło nie tak. Zajazd Dworski, wbrew zdaniu Stu Lipwitza, to podejrzany przybytek, któremu patronują podejrzane typy. Nietrudno napytać sobie tam biedy. Może Chad Coldren próbował kupić od Paskudy narkotyki. A może był świadkiem przestępstwa albo po prostu rozpuścił język i jakieś kanalie zdały sobie sprawę, że jest dziany. Wszystko jedno. Życiowe orbity Chada Coldrena i załogi Paskudnego Faszysty się przecięły. W rezultacie doszło do porwania.

Wszystko to do siebie z grubsza pasowało.

Tyle tylko że jedynie „z grubsza”.

Po drodze Myron poddał analizie kilka punktów swojej wersji. Po pierwsze, czas wydarzeń. Nie wątpił, że porwanie ma związek z ponownym udziałem Jacka w mistrzostwach rozgrywanych w Merion. Lecz w hipotezie o przecięciu się życiowych orbit intrygujący moment porwania należało uznać za czysty zbieg okoliczności. Z tym mógł się jeszcze pogodzić. Ale skąd taki Paskuda wiedział, że Coldrenów odwiedziła Esme Fong? Jaką rolę odgrywał osobnik, który wyszedł od nich przez okno i zniknął na Green Acres Road? Zakładał, że to był Matthew albo Chad. Czyżby tak pilnie chroniony młody Squires współdziałał z gangiem Paskudy? A może osobnik z okna zniknął na Green Acres Road całkiem przypadkowo?

Nadmuchana jak balon hipoteza flaczała szybko z przeciągłym ssssss.

Kiedy Myron dotarł do Merion, Jack Coldren zaliczał czternasty dołek. W tej rundzie jego rywalem był nie kto inny jak Tad Crispin. Nic dziwnego. Prowadzący w turnieju i wicelider zawsze tworzyli finałową parę.

Jack wciąż grał dobrze, choć nie widowiskowo. Stracił tylko punkt przewagi i wyprzedzał Crispina o bezpieczne osiem uderzeń. Myron powlókł się w stronę czternastego dołka na „zielonce”. Znow to słowo. Wszystko tu było intensywnie zielone. Nie tylko trawa i drzewa, również namioty, markizy, tablice wyników, liczne telewizyjne wieże i rusztowania – jak okiem sięgnąć so-

czysta zieleń wtopiona w naturalne malownicze otoczenie, nie licząc billboardów, dyskretnych jak neony hoteli w Las Vegas. Ale hola, czyż sam nie żył z pieniędzy ich sponsorów?! Mając im za złe reklamę, byłby hipokrytą.

– Myronie, serce moje, przytocz do nas tyłeczek! – przywołał go z szerokim gestem Norm Zuckerman, któremu towarzyszyła Esme Fong. – Tutaj.

– Siemasz, Norm. Cześć, Esme.

– Cześć, Myron.

Esme, choć w mniej formalnym stroju, także dziś ścisnęła w rękę teczkę, niczym ulubionego pluszaka.

Norm objął Myrona.

– Powiedz prawdę, Myron – rzekł, kładąc dłoń na jego obolałym ramieniu. – Ale całą. Chcę ją usłyszeć.

– Prawdę?

– Bardzo śmieszne. Powiedz, nic więcej nie chcę jestem uczciwy? Tylko serio. Jestem uczciwy?

– Jesteś – odparł Myron.

– Jestem bardzo uczciwy. Tak czy nie?

– Jesteś namolny, Norm.

Zuckerman uniósł dłonie spodami w górę.

– No dobra, niech ci będzie. Jestem uczciwy. Wystarczy, zgoda. – Spojrzał na Esme Fong. – Zważ, że Myron jest moim przeciwnikiem. Moim najgorszym wrogiem. Stoimy po przeciwnych stronach. A jednak przyznaje, że jestem uczciwy. Jasne?

Esme przewróciła oczami.

– Nawracasz nawróconą, Norm. Już mówiłam, że zgadzam się z tobą w tej sprawie...

– Prrr! – powstrzymał ją Norm, jakby ściągał cugle rozbrykanemu kucowi. – Chwileczkę, chcę zasięgnąć opinii Myrona. Kontrakt wygląda tak. Kupiłem worek do golfa. Tylko jeden. Na próbę. Za piętnaście tysięcy rocznie.

Kupno worka do golfa oznaczało z grubsza kupno worka, gdyż w istocie Norm Zuckerman nabył prawa do reklamy. Innymi słowy, umieścił na nim znak firmowy Zoom. Większość worków wykupywały duże firmy golfowe – Ping, Titlegeist, Golden Bear i podobne. Ale coraz częściej na workach graczy reklamowały się firmy niemające nic wspólnego z golfem. Na przykład, McDonald's, materace Spring-Air, a nawet Penzoil. Penzoill. Jakby taka reklama mogła skłonić widzów turniejów do nabycia puszek oleju napędowego.

– No i? – spytał Myron.

– No i popatrz! – Norm wskazał na asystenta gracza. – Tylko popatrz!

– Patrzę.

– Widzisz logo Zoomu?

Na wierzchu worka, który niósł asystent, spoczywały ścierki do czyszczenia kijów.

– Odpowiedz mi ustnie, Myron, jedną sylabą: „nie” – ciągnął śpiewnie Norm Zuckerman. – Albo, jeśli to wykracza poza twój ograniczony zasób słów, po prostu pokręć głową.

Zademonstrował jak.

– Jest pod ręcznikiem – odparł Myron. Norm teatralnie przyłożył dłoń do ucha.

– Słucham?

– Logo jest pod ręcznikiem.

– Co ty powiesz? Pod ręcznikiem?! – huknął Norm. Widzowie odwrócili głowy i obrzucili gniewnymi spojrzeniami wariata z długimi włosami i bujną brodą.

– I co z tego mam, ha?! Co będę miał z tego, jeżeli w telewizyjnej reklamie Zoomu podetkną przed kamerę jakąś ścierkę? Co będę miał z tego, jeżeli te wszystkie szmondaki, którym płacę

miliony za noszenie moich butów, owiną giczoły ścierkami? Jeżeli każdy mój billboard przesłania gigantyczna ściera...

– Zrozumiałem, Norm.

– To dobrze. Czy ja płacę jakiemuś idiocie od noszenia kijów za zakrywanie mojego znaku? Podchodzę do tego kretyna, grzecznie proszę, żeby zdjął tę ścierkę z logo, a ten patrzy na mnie tak. Tak patrzy, Myron! Jak na brązową płamę w klozecie, której nie splukał. Jak na Żydka z getta, który milczkiem przełknie głodne kawałki goja.

Myron spojrzał na Esme.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– Miło się z tobą rozmawia, Norm – powiedział.

– Co? Uważasz, że nie mam racji?

– Rozumiem twoje racje.

– A gdyby to był twój klient, co byś zrobił?

– Dopilnował, żeby workowy nosił logo odsłonięte.

– Dokładniutko. – Norm zarzucił rękę na ramię Myrona i konspiracyjnie schylił głowę. – Powiesz mi, co się dzieje na linii ty i golf? – spytał.

– Co masz na myśli?

– Nie grasz w golfa. Nie masz klientów wśród golfistów. I oto nagle widzę, jak zarzucaś sieci na Tada Crispina, a zaraz potem słyszę, że kręcisz się koło Coldrenów.

– Kto tak powiedział?

– Chodzą takie słuchy. Mam potężne wpływy. Więc co jest grane? Skąd to nagle zainteresowanie golfem?

– Jestem agentem sportowym, Norm. Reprezentuję sportowców. Golfiści to sportowcy. W jakimś sensie.

– No dobrze, ale o co chodzi z tymi Coldrenami?

– Nie wiem, o co pytasz.

– Jack i Linda to mili ludzie. Ustosunkowani, rozumiesz?

– Nie.

– Lindę Coldren reprezentuje LBA. Nikt nie zrywa kontraktu z LBA. Przecież wiesz. Są za mocni. Jack od dawna nie zdziałał nic, więc mógł sobie darować agentów. Próbuję zatem rozgryźć, skąd ta nagła mięta Coldrenów do ciebie.

– Dlaczego chcesz to rozgryźć?

– Dlaczego?

Norm przyłożył dłoń do piersi.

– Tak, dlaczego ci na tym zależy?

– Dlaczego? – powtórzył Norm, tym razem z niedowierzaniem. – Powiem ci dlaczego. Z powodu ciebie. Wiesz, że cię kocham. Jesteśmy braćmi. Ziomkami. Chcę dla ciebie najlepszego. Skaż mnie Bóg, naprawdę. Zarekomenduję cię każdemu.

– Mhm – mruknął Myron bez większego przekonania. – Więc w czym problem?

Norm wyrzucił ręce w górę.

– A kto mówi o problemie? Czy ja mówię o problemie? Użyłem tego słowa? Pytam z czystej ciekawości. Mam już to w naturze. Jestem ciekawski. Jestem plociuch. Zadaję mnóstwo pytań. Wsadzam nos, gdzie nie trzeba. Taki mam charakter.

– Mhm – powtórzył Myron.

Spojrzał na Esme Fong, która stała za daleko, żeby ich słyszeć. Wzruszyła ramionami. Wiadać praca dla Norma Zuckermana wymagała częstego wzruszania nimi. Ale Norm już taki miał styl bycia, własny wariant gry w dobrego i złego glineę. Sprawiał wrażenie nieobliczalnego, wręcz nierozsądnego, podczas gdy jego – zawsze młoda, inteligentna, atrakcyjna – asystentka była ostoją spokoju, kołem ratunkowym.

Norm stuknął Myrona łokciem.

– Ładna dziewczucha, co? – Wskazał głową Esme. – Zwłaszcza jak na absolwentkę Yale. Widziałeś kiedyś absolwentki Yale? Nie dziw, że nazywają je Buldożkami.

– Ale z ciebie postępowiec, Norm.

– Chromolę postęp. Jestem stary, Myron. Mogę sobie pozwolić na brak taktu. Staremu z gderaniem do twarzy. Zabawny zrzęda, tak się to nazywa. Przy okazji, Esme jest chyba w połowie...

– W połowie?...

– Chinką, Japonką, obojętne. Jest też w połowie biała. Jak myślisz?

– Do widzenia, Norm.

– Rób, co chcesz. Nie dbam o to. Powiedz tylko, jak spiknąłeś się z Coldrenami. Przedstawił cię Win?

– Do widzenia, Norm.

Myron odszedł kawałek, przystając na chwilę, żeby popatrzeć, jak golfista uderza piłkę. Próbował śledzić jej lot. Bez powodzenia. Niemal natychmiast stracił ją z oczu. Nic dziwnego – w końcu malutka kulka pokonuje odległość kilkuset metrów z prędkością ponad stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę – tyle że był tu jedyną osobą niecierpiącą frajdy z tej uczyty dla istic sokolego oka. Wielbiciele golfa. W większości nie są w stanie odczytać znaku zjazdu na międzystanowej autostradzie, za to bez trudu śledzą trajektorię lotu malutkiej piłeczki przez kilka systemów słonecznych.

Nie ma co, golf to dziwny sport.

Na polu roiło się od milczących fanów, choć nazwa „fani” nie była tu właściwa. O niebo lepsze wydawało się słowo „parafianie”. Na polu golfowym panował nastrój czci, wyciszonego, cielecego podziwu. Przy każdym uderzeniu piłki tłum wpadał w stan bliski orgazmu. Widzowie jęczyli z rozkoszy, zagrzewając piłkę z zapalem uczestników teleturnieju Dobra cena: Leć! Siadaj! Kąsaj! Łap! Gryź! Tocz! Szybciej! Niżej! Wyżej! – niczym bezlitosny instruktor mambo. Ubolewali, gdy znosiło ją zniecka w lewo albo w prawo, martwili się, kiedy gracz, chybiając, „pieścił” dołek, wyrzekali na „miękkie”, „śliskie” i „ośle łączki”, na „ocierki” o „zielonkę”, na „bałwanki” – dołki zaliczane w ośmiu uderzeniach, na piłki konkurentów leżące na linii strzału, na te, które zbaczały z toru, spadały na „rubieże” i „pastwiska”, na „siady” piłek „głębokie”, „trudne”, „złe” i „dobre”. Zachwycali się, kiedy zawodnik trafiał w „zielonkę” jednym uderzeniem, „zaliczał drajw”, „walił w punkt”, i patrzyli złym okiem na profana, który twierdził, że tak „smyra” tylko „szpenio”. „Kosmetyczką, Alicjo!” – zżymali się na gracza, gdy uderzona przez niego piłka nie doleciała do dołka. Golfiści stale zagrywali piłki „nie do zagrania”.

Myron pokręcił głową. Każda dyscyplina sportu miała własny żargon, jednakże mowa golfowa była równie niezrozumiała jak suahili. Była rapem bogaczy.

Ale w taki dzień jak dziś – gdy na bezchmurnym niebie świeciło słońce, a letnie powietrze pachniało jak włosy ukochoanej – Myron poczuł się bliższy komunii duchowej z golfem. Wyobraził sobie to pole bez widzów, ciszę i spokój, które zwabiają mnichów buddyjskich do pustelni na szczytach gór, skoszoną trawę, tak gęstą i zieloną, że samego Boga skusiłaby do ganiaania na bosaka. Nie znaczyło to jednak, że stał się wyznawcą golfa – przeciwnie, pozostał niedowiarkiem zawziętym jak heretyk – niemniej na krótką chwilę dojrzał, co takiego w tej grze usidla i bez reszty zniewala ludzi.

Kiedy dotarł do czternastej zielonki, Jack Coldren szykował się właśnie do uderzenia z odległości czterech i pół metra. Dianę wyjęła palik z dołka. Na prawie wszystkich polach golfowych świata „palik”, czyli tyczkę, wieńczy chorągiewka. Ale nie w Merion. W Merion na jej szczycie wisiał koszyk. Nikt właściwie nie wiedział dlaczego. Win wyskoczył z historią o dawnych szkockich wynalazcach golfa, noszących lunche w koszykach na kijach, które z czasem zaczęto wykorzystywać do oznaczenia dołków, Myronowi jednakże wywód, ten pachniał nie tyle prawdą, co klechdą.

W każdym razie członkowie klubu Merion bardzo się szczylic swoimi koszykami na patykach. Golfiarze.

Myron spróbował podejść bliżej Jacka Coldrena, by przekonać się, czy rzeczywiście ma tygrysią „iskrę w oku”. Mimo wczorajszych sporów z Winem świetnie wiedział, jakie nieuchwytnie cechy odróżniają wrodzony talent od mistrza. Żądza zwycięstwa. Serce. Wytrwałość. Jego przyjaciel mówił o tych cechach tak, jakby były czymś złym. Nie były. Przeciwnie. Win powinien to wiedzieć najlepiej. Mocno parafrazując i przekręcając znany polityczny cytat: ekstremizm w dążeniu do doskonałości nie jest grzechem.

Jack Coldren minę miał spokojną, beztroską i nieobecną. Najwyraźniej był w transie. Udało mu się odizolować, wcisnąć w próżnię, w której nie ma miejsca dla tłumy, wysokiej nagrody, słynnego pola, następnego dołka, obezwładniającego napięcia, wrogiego konkurenta, odnoszącej sukcesy żony ani porwanego syna. W próżnię ograniczoną do kija, małej piłeczki z wgłębieniami i dołka. Wszystko inne rozmyło się jak sekwencja snu w filmie.

Oto Jack Coldren w stanie czystym. Golfista. Gracz, który chce zwyciężyć. Pożąda zwycięstwa. Myron rozumiał to. Też znajdował się kiedyś w takiej próżni, w jego przypadku złożonej z pomarańczowej piłki i metalowej obręczy – w świetle, z którego nigdy się całkiem nie wyplątał. Czuł się tam dobrze, pod wieloma względami najlepiej. Win nie miał racji. Zwycięstwo nie było nic niewartym celem. Nobilitowało. Jack dostał od życia ciągi. Zmagał się i walczył. Obrywał i cierpiał. A jednak się podźwignął i z dumnie podniesioną głową dążył do powetowania sobie niepowodzeń. Ilu dostaje podobną możliwość? Ilu dostaje szansę wspięcia się choćby na krótko na takie wyżyny, na przeżycie równie wspaniałych chwil? Ilu taka wewnętrzna nieugaszona pasja wypełnia treścią marzenia i rozgrzewa serca?

Jack Coldren uderzył. Pochłonięty zastępczą przyjemnością, która z magnetyczną siłą przyciąga widzów do sportu, Myron patrzył, jak piłka zatacza wolno łuk w stronę dołka. Wstrzymał oddech, a kiedy wpadła w otwór w ziemi, poczuł, jak w oku zbiera mu się łza. Jack zaliczył dołek o jedno uderzenie poniżej limitu. Dianę Hoffman zacisnęła dłoń w pięść i zrobiła gest pompowania. Przewaga lidera znów wzrosła do dziewięciu punktów.

Coldren spojrział na wiwatującą publiczność. Pozdrowił widzów uchyleniem kapelusza, ale ich nie zobaczył. Wciąż był w transie. Walczyłby z niego nie wypaść. Na moment napotkał wzrokiem oczy Myrona. Myron odklonił się, życząc mu, by nie wracał do rzeczywistości. Pozostań w transie, pomyślał. W tym transie wygrywa się turnieje. W tym transie synowie nie wysadzają w powietrze życiowych marzeń ojców.

Przeszedł wzdłuż szpaleru przenośnych toalet – dostarczonych przez firmę o nie całkiem trafnej nazwie Royal Flush (Królewski Strumień) – i ruszył w stronę alei Korporacyjnej. Wśród nabywców biletów na turnieje golfa obowiązywała bezprzykładna hierarchia. Oczywiście rozmaite podziały istniały na większości aren sportowych – niektórzy mieli lepsze miejsca, inni wstęp do łóż, a nawet miejsca przy samym boisku. Tam jednak wręczałeś bilet osobie sadzającej gości lub bileterowi i siadałeś. W przypadku golfa natomiast okazywałeś swoją wejściówkę cały dzień.

Zwykli widzowie (czytaj: chłopcy pańszczyźniani) paradowali z nalepkami na koszulach, czymś w rodzaju szkarłatnej litery – piętna. Inni z zawieszonymi na szyjach plastikowymi plakietkami na metalowych łańcuszkach. Sponsorzy zaś (czytaj: panowie feudalni) z czerwonymi, srebrnymi lub złotymi, w zależności od wniesionych sum. Były też inne karty wstępu, dla rodzin i znajomych graczy, dla członków klubu Merion, dla jego działaczy, a także dla związanych z golfem agentów sportowych. Wszystkie one przesądzały o dostępie ich właścicieli do różnych miejsc. Na przykład wejść na aleję Korporacyjną mogli tylko posiadacze kolorowych kart, a do tworzących ją ekskluzywnych namiotów, strategicznie usytuowanych na wzgórzach jak kwatery generalskie w starym filmie wojennym, jedynie ci ze złotymi.

Aleję Korporacyjną wytyczał rząd namiotów sponsorowanych przez różne potężne firmy. W teorii zapłacenie co najmniej stu tysięcy za czterodniowe wynajęcie namiotu miało na celu wyk-

sponowanie sponsorów i wywarcie wrażenia na klientach. W rzeczywistości szyszki z wielkich korporacji mogły dzięki temu obejrzeć turniej za darmo. Co prawda, do namiotów zapraszano zwykle grono ważnych klientów, zawsze jednak przewijali się tam dyrektorzy i prezesi firm sponsorujących. Stutysięczna opłata za wynajem stanowiła zaledwie część wydatków. Nie uwzględniała bowiem kosztów jedzenia, drinków, obsługi, nie wspominając o lotach pierwszą klasą, luksusowych apartamentach hotelowych, długich limuzynach et cetera dla grubych ryb i ich gości.

Chłopcy i dziewczęta, potraficie powiedzieć: „Kasa wprawia w ruch ten świat?”. Mowa.

Myron podał nazwisko ładnej młodej kobiecie w namiocie Lock-Horne'ów. Wina jeszcze nie było, ale przy stole w kącie siedziała Esperanza.

– Wyglądasz jak z krzyża zdjęty – powitała go.

– Może. W każdym razie czuję się paskudnie.

– Co się stało?

– Napadło mnie trzech ćpunów z nazistowskimi tatuażami i łomami.

Esperanza uniosła brew.

– Tylko trzech?

Ta kobieta tryskała humorem. Opowiedział jej o starciu, z którego ledwie uszedł cało.

– Rozpacz – rzekła, kręcąc głową. – Czarna rozpacz.

– Tylko nie roń nade mną łez. Nic mi nie będzie.

– Znalazłam żonę Lloyda Rennarta. Jest jakąś artystką, mieszka w Jersey, nad morzem.

– Są wieści o jego zwłokach?

Pokręciła przecząco głową.

– Sprawdziłam strony NVI i Treemaker w Internecie. Dotąd nie wystawiono świadectwa zgonu.

Myron utkwiał w niej wzrok.

– Żartujesz.

– Nie. Mogło jeszcze nie trafić do Internetu. Inne biura są zamknięte do poniedziałku. Ale to, że go nie wystawiono, o niczym nie świadczy.

– Dlaczego? – spytał.

– Zanim ogłoszono śmierć jakiejś osoby, musi minąć określony czas od jej zniknięcia – wyjaśniła Esperanza. – Nie wiem ile... pięć czy więcej lat. Jednak często najbliższy krewny takiej osoby składa wnioski o uznanie jej za zmarłą, żeby móc otrzymać pieniądze z ubezpieczenia i spadek. Tylko że Lloyd Rennart popełnił samobójstwo.

– Więc nie będzie odszkodowania.

– Tak. Jeśli Rennartowie mieli wspólnotę majątkową, jego żona nie ma potrzeby przyspieszać sprawy.

Myron skinął głową. Logiczne. Pozostała wszakże jedna dokuczliwa wątpliwość.

– Napijesz się czegoś? – spytał.

Odmówiła, kręcąc głową.

– Zaraz wrócę.

Myron wziął puszkę yoo-hoo. Win zadbał, żeby w namiocie Locke-Horne'ów nie zabrakło tego napoju. Monitor telewizyjny w górnym rogu namiotu pokazywał aktualną tablicę wyników. Jack zaliczył przed chwilą piętnasty dołek. Zgodnie z wyznaczoną normą. Tak samo Crispin. Wyglądało więc na to, że jeśli Jack się raptem nie załamie, jutrzejszą finałową rundę zacznie z wielką przewagą.

– Możemy porozmawiać? – spytała Esperanza, kiedy przy niej usiadł.

– Wal.

– Chodzi o moje studia prawnicze.

– Dobrze.

– Unikałeś tego tematu – wypomniała.

– O czym ty mówisz? Przecież to ja chcę pójść na rozdanie dyplomów, pamiętasz?

– Ja nie o tym. – Zaczęła międląc w palcach papierowe opakowanie słomki. – Mówię o tym, co stanie się po dyplomie. Wkrótce będę dyplomowaną prawniczką. Moja rola w agencji powinna się zmienić.

– Zgadzam się. Myron skinął głową.

– Po pierwsze, chcę mieć własny pokój.

– Nie mamy tyle miejsca.

– Salka konferencyjna jest za duża – odparła. – Można obciąć trochę z niej, trochę z recepcji. Nie będzie wielki, ale wystarczy.

Myron wolno skinął głową.

– Rozważymy takie rozwiązanie.

– To dla mnie ważne, Myron.

– Dobrze, to jest do zrobienia.

– Po drugie, nie chcę podwyżki.

– Nie?

– Nie.

– Dziwna metoda negocjacji, ale sugestywna. Choćbym nie wiem jak bardzo chciał ci dać podwyżkę, nie dostaniesz złamanego centa. Poddaję się.

– Znów to robisz, Myron.

– Co?

– Żartujesz sobie, kiedy ja mówię poważnie. Nie lubisz zmian. Wiem o tym. Właśnie dlatego do niedawna mieszkałeś z rodzicami. I wciąż chodzisz z Jessicą, choć powinieneś o niej zapomnieć dawno temu.

– Zrób coś dla mnie – odparł ze znużeniem. – Oszczędź mi tych amatorskich analiz.

– Ja tylko stwierdzam fakty. Nie lubisz zmian.

– A kto lubi zmiany? Kocham Jessicę. Dobrze wiesz.

– Tak, tak, kochasz ją – potwierdziła z lekceważeniem. – Masz rację, nie powinnam poruszać tego tematu.

– To dobrze. Skończyliśmy?

– Nie. – Esperanza przestała bawić się opakowaniem słomki, skrzyżowała nogi i splótła ręce na kolanach. – Ta rozmowa nie jest dla mnie łatwa.

– Chcesz o tym pogadać innym razem?

Przewróciła oczami.

– Nie, nie chcę o tym pogadać innym razem. Chcę, żebyś mnie wysłuchał. Wysłuchał naprawdę.

Myron nie odpowiedział, pochylił się do przodu.

– Nie żądam podwyżki, bo nie chcę pracować dla nikogo. Mój ojciec tyrał całe życie, wysługując się różnym durniom, a matka sprzątała cudze domy. – Esperanza przełknęła ślinę i wzięła oddech. – Nie myślę podzielić ich losu. Nie chcę dłużej pracować dla nikogo.

– W tym i dla mnie?

– Powiedziałam: dla nikogo. – Pokręciła głową. – Chryste, ty czasem po prostu nie słuchasz.

Myron otworzył usta i na chwilę je zamknął.

– W takim razie nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Chcę być współwłaścicielką – oświadczyła.

Zrobił zdziwioną minę.

– Współwłaścicielką RepSport MB?

– Nie, skądże, AT&T. Jasne, że MB!

– Ale agencja nazywa się MB. M jak Myron. B jak Bolitar. A ty się nazywasz Esperanza Diaz. Nie mogę zmienić jej nazwy na MBED. Jak to brzmi?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Znowu to robisz – powiedziała. – A ja chcę z tobą porozmawiać poważnie.

– Akurat teraz? Akurat w chwili, gdy oberwałem w łeb łyżką do opon...

– W ramię.

– Wszystko jedno. Przecież wiesz, ile dla mnie znaczysz...

– Nie chodzi o naszą przyjaźń – weszła mu w słowo. – W tej chwili nie obchodzi mnie, ile dla ciebie znaczę. Obchodzi mnie za to, ile znaczę dla RepSport MB.

– Dla MB znaczysz wiele. Strasznie dużo. Zamilkł.

– Ale?

– Ale nic. Po prostu mnie zaskoczyłaś. Dopiero co napadł mnie gang neofaszystów. Wiesz, jak to wpływa na psychikę kogoś mojego pochodzenia? Poza tym staram się rozwiązać sprawę ewentualnego porwania. Wiem, że zmiany są konieczne. Planowałem zwiększyć zakres twoich obowiązków, powierzyć ci więcej spraw do negocjacji, wynająć kogoś nowego. Ale partnerstwo... to całkiem inna para gumiaków.

– To znaczy? – spytała nieustępliwie.

– To znaczy, że chciałbym to przemyśleć. Jak wyobrażasz sobie nasze partnerstwo? Ile chcesz procent? Chcesz się wkupić, odpracować wkład czy jak? Takie rzeczy wymagają uzgodnienia, a w tej chwili nie ma na to czasu.

– Dobrze. – Esperanza wstała. – Pokręcę się po holu dla graczy. Może uda mi się nawiązać rozmowę z którąś z żon.

– Dobry pomysł.

– Na razie.

Odwróciła się, żeby odejść.

– Esperanza? Spojrzała na niego.

– Nie gniewasz się na mnie, co?

– Nie gniewam.

– Coś wymyślimy – powiedział.

Skinęła głową.

– Dobrze.

– Nie zapomnij. Godzinę po zawodach spotykamy się z Tadem Crispinem. Przy sklepie z akcesoriami.

– Chcesz, żebym przy tym była?

– Tak.

Wzruszyła ramionami.

– W porządku.

Myron usiadł wygodniej, przyglądając się jej, jak odchodzi. Pięknie. Tylko tego mu brakowało – najlepszej przyjaciółki na świecie jako partnerki w interesach. To nigdy nie wypalało. Pieniądze psuły przyjaźnie – był to jeden z życiowych pewników. Próbowali spółki jego ojciec i stryj, trudno o bliższych sobie ludzi, a wynikła z tego katastrofa. Tata w końcu odkupił udziały stryjka Morrisa, ale bracia nie odzywali się potem do siebie przez cztery lata. On i Win, zachowując wspólne zainteresowania i cele, pilnie przestrzegali odrębności interesów. Zdawało to egzamin, bo nie mieszały się nawzajem do swoich spraw i nie dzielili pieniędzmi. Z Esperanzą wszystko układało się znakomicie, dlatego że łączył ich stosunek szef-podwładna. Ściśle określone role. Niemniej dobrze rozumiał, że należy dać jej taką szansę. Zasłużyła sobie na nią. Była nie tylko bardzo ważną pracownicą agencji. Była jej częścią.

Co robić?

Usadowił się w fotelu i napił yoo-hoo, czekając na jakiś pomysł. Na szczęście nie musiał długo myśleć, bo ktoś klepnął go w ramię.

Rozdział 17

– Witam.

Odwrócił się i ujrzał Lindę Coldren. W małej chustce na głowie i w ciemnych okularach przeciwsłonecznych. Jak Greta Garbo w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Otworzyła torebkę.

– Mam przez nią łączność z telefonem w domu – szepnęła, wskazując na komórkę w torebce.

– Mogę się przysiąc?

– Proszę.

Usiadła naprzeciwko. Duże okulary nie były w stanie ukryć zaczerwienienia wokół oczu. Nos też miała podrażniony od obfitości chusteczek ligninowych.

– Są jakieś nowe wieści? – zapytała.

Opowiedział o napadzie trójki neofaszystów. Zadała mu w związku z tym kilka pytań, wciąż dręczona paradoksem sytuacji. Zależało jej na bezpieczeństwie syna, lecz zarazem pragnęłaby porwanie nie okazało się mistyfikacją.

– Wciąż uważam, że powinniśmy zawiadomić FBI. Mogę to zrobić dyskretnie – zakończył Myron.

– Za duże ryzyko – odparła, kręcąc głową.

– Bezczytność go nie zmniejszy.

Jeszcze raz pokręciła głową i usiadła wygodniej, patrząc ponad jego ramieniem. Kilka chwil siedzieli w milczeniu.

– Po urodzeniu Chada na dwa lata wycofałam się ze sportu – powiedziała. – Wiedział pan o tym?

– Nie.

– Żeński golf – mruknęła. – Byłam u szczytu możliwości, najlepsza na świecie, a jednak nie czytał pan o tym.

– Nie śledzę zbyt pilnie rozgrywek w golfa – przyznał się.

– Jasne. – Parsknęła. – Ale gdyby Jack Nicklaus wypadł z gry na dwa lata, z pewnością by pan o tym usłyszał.

Skinął głową. Miała rację.

– Trudno było wrócić? – spytał.

– Mówi pan o grze czy pozostawieniu syna?

– O jednym i drugim.

Zaczerpnęła powietrza i rozważyła pytanie.

– Brakowało mi golfa – wyznała. – Nawet nie wie pan jak bardzo. W dwa miesiące odzyskałam pierwszą pozycję. Chad, no cóż, był malutki. Wynajęłam nianię, która z nami jeździła.

– Długo to trwało?

– Do czasu, aż skończył trzy lata. Wtedy zdałam sobie sprawę, że nie mogę dłużej ciągnąć go ze sobą po świecie. To nie w porządku. Dziecko potrzebuje stabilizacji. Musiałam dokonać wyboru.

Zamilkli.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć – powiedziała. – Nie rozczulam się nad sobą, cieszę się, że kobiety mają wybór. Lecz przemilczają to, że wraz z wyborem pojawia się poczucie winy.

– Jakiej winy?

– Najgorszej, matczynej. Uporczywych, ciągłych wyrzutów sumienia. Nękających cię we śnie. Wskazujących oskarżycielskim palcem. Każdy sprawiający mi radość zamach kijem przypominał, że zaniedbuję własne dziecko. Przylatywałam do domu tak często, jak mogłam. Zrezygnowa-

łam z kilku turniejów, w których bardzo chciałam zagrać. Ze wszystkich sił starałam się pogodzić karierę z macierzyństwem, a mimo to i tak cały czas czułam się jak samolubna gnida. – Spojrzała na Myrona. – Rozumie pan?

– Tak.

– Ale mi pan nie współczuje.

– Ależ współczuję.

Przyjrzała się mu sceptycznie.

– Gdybym była matką, która zajmuje się domem, też by pan tak szybko pomyślał, że porwanie to sprawa Chada? Czy do tych podejrzeń nie skłonił pana fakt, że mnie przy nim nie było?

– Nie tylko pani. Was obojga – sprostował.

– Na jedno wychodzi.

– Nie. Zarabiała pani więcej od męża. Odnosiła większe sukcesy finansowe. Jeśli ktoś powinien zostać w domu z synem, to Jack.

Uśmiechnęła się.

– Nie przemawia przez pana poprawność polityczna?

– Nie. Wyłącznie praktycyzm.

– To nie takie proste, Myron. Jack kocha syna. W latach, kiedy nie kwalifikował się do rozgrywek, siedział z nim w domu. Ale spójrzmy prawdzie w oczy: czy komu się to podoba, czy nie, obowiązek opieki nad dzieckiem spoczywa na matce.

– Co nie znaczy, że słusznie.

– To wcale mnie nie rozgrzesza. Jak wspomniałam, dokonałam wyboru. I gdybym stanęła przed nim ponownie, też wybrałabym start w turniejach.

– I żyła z poczuciem winy.

Skinęła głową.

– Wybór idzie w parze z winą. Nie ma od niej ucieczki.

Myron łyknał yoo-hoo.

– A więc Jack spędził jakiś czas w domu.

– Tak. Kiedy nie poszło mu w szkole K.

– W szkole K?

– Kwalifikacyjnej – wyjaśniła. – Co roku Związek Zawodowy Golfistów wydaje stu dwudziestu pięciu najlepszym graczom karty turniejowe. Mała grupka dostaje je dzięki sponsorom. Pozostali muszą przejść przez szkołę K. Turniej kwalifikacyjny. Kto sobie w nim nie poradzi, nie gra cały rok.

– Przesądza o tym jeden turniej?

Przechyliła w jego stronę szklanek jak przy toaście.

– Tak jest.

To się nazywa stres.

– A więc kiedy Jack oblał w szkole K, przez rok siedział w domu?

Linda Coldren skinęła głową.

– Jak mu się układało z Chadem?

– Chad uwielbiał ojca.

– A teraz?

Na jej twarzy pojawił się nieokreślony grymas. Odwróciła wzrok.

– Dorósł na tyle, by zadawać sobie pytanie, dlaczego ojciec wciąż przegrywa. Nie wiem, co myśli. Ale Jack to dobry człowiek. Bardzo się stara. Trzeba go zrozumieć. Taka porażka jak w tamtych mistrzostwach... pewnie zabrzmi to melodramatycznie, coś w nim zabiła. Nawet po narodzinach syna nie doszedł do siebie.

– Aż tak go to załamało? – spytał Myron, słysząc w tym echo słów Wina.

– Jeden turniej?

– Grał pan w wielu ważnych meczach. Czy zdarzyło się panu tak głupio wypuścić zwycięstwo z rąk?

– Nie.

– Mnie też nie.

Do zimnego bufetu dobiło dwóch siwych mężczyzn w jednakowych zielonych apaszkach. Pochylili się nad półmiskami, marszcząc brwi, jakby dostrzegli tam mrówki. Góry jedzenia na ich talerzach groziły zejściem lawiny.

– Jest jeszcze coś – dodała Linda.

Myron czekał na dalszy ciąg.

Poprawiła okulary i położyła dłonie na stole.

– Jack i ja nie jesteśmy sobie bliscy. Nie jesteśmy sobie bliscy od wielu lat.

Zamilkła.

– Ale pozostajecie małżeństwem.

– Tak.

Chciał spytać dlaczego, lecz pytanie to tak się narzucało, było tak oczywiste, że zbędne.

– Moja kariera wciąż mu przypomina o jego porażkach – ciągnęła. – Mężczyźni niełatwo z tym żyć. Oczekuje się od nas, że będziemy małżeństwem do końca życia, ale ja osiągnęłam to, czego Jack pragnie najbardziej. – Przekrzywiła głowę. – Dziwne.

– Co?

– Na polu golfowym nie pozwalałam sobie na mierność. A dopuściłam do niej w życiu prywatnym. Czy to nie dziwne?

Myron wymijająco skinął głową.

Czuła się nieszczęśliwa. Widać to było na pierwszy rzut oka. Podniosła wzrok i posłała mu uśmiech, odurzający, który może złamać serce. Zapragnął przytulić ją. Poczł prawie niepohamowaną chęć, by przycisnąć ją do siebie i poczuć na twarzy jej włosy. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio żywił takie pragnienie wobec innej kobiety niż Jessica.

– Niech pan mi opowie o sobie – zaproponowała zniecierpliwiona Linda.

Zaskoczony zmianą tematu, lekko pokręcił głową.

– To nudne.

– Wątpię – odparła niemal figlarnie. – Proszę. Odpocznę od swoich trosk.

Znów pokręcił głową.

– Niewiele brakowało, a zostałby pan zawodowym koszykarzem. Słyszałam o pańskiej kontuzji kolana. O pańskich studiach prawniczych na Harvardzie. I o tym, że kilka miesięcy temu próbował pan wrócić do sportu. Uzupełni pan to, czego nie wiem?

– Niewiele jest do uzupełnienia.

– Nie sądzę. Ciotka Cissy nie poleciła nam pana dlatego, że dobrze pan grał w koszykówkę.

– Pracowałem trochę dla rządu.

– Z Winem?

– Tak.

– Co pan robił?

Myron jeszcze raz pokręcił głową.

– Ścisłe tajne?

– Można tak powiedzieć.

– Chodzi pan z Jessicą Cever?

– Tak.

– Lubię jej książki.

Skinął głową.

– Kocha ją pan?

– Bardzo.

- Więc czego pan pragnie?
- Czego pragnę?
- Od życia. O czym pan marzy?

Uśmiechnął się.

- Żartuje pani, prawda?

– Przechodzę do sedna. Czego pan pragnie, Myron? Proszę zaspokoić moją ciekawość.

Spojrzała na niego z prawdziwym zainteresowaniem. Poczul, że się czerwieni.

- Chcę się ożenić z Jessicą – odparł. – Zamieszkać na przedmieściach. Wychować dzieci.

Usiadła wygodniej, jakby usatysfakcjonowała ją ta odpowiedź.

- Naprawdę?

– Tak.

- Jak pańscy rodzice?

– Tak.

Uśmiechnęła się.

- To miłe.

– Proste – odparł.

– Nie wszyscy jesteśmy stworzeni do prostego życia, nawet jeżeli go pragniemy. Skinął głową.

- Głęboka myśl. Choć nie bardzo rozumiem jej sens.

– Ja również. – Zaśmiała się niskim, gardłowym śmiechem, miłym jego uchu. – Niech pan mi powie, gdzie pan poznał Wina.

- W college’u. Na pierwszym roku.

– Po raz ostatni widziałam go, gdy miał osiem lat. – Linda Coldren łyknęła wody mineralnej. – Ja miałam wtedy piętnaście i od roku, choć trudno w to uwierzyć, chodziłam z Jackiem. Przy okazji, Win uwielbiał Jacka. Wie pan o tym?

- Nie.

– Naprawdę. Wszędzie snuł się za nim jak cień. Jack był wtedy wyjątkowym palantem. Wyżywał się na innych. Był strasznie złośliwy. Czasem wręcz okrutny.

- Ale pani się w nim zakochała?

– Miałam piętnaście lat – odparła, jakby to wyjaśniało wszystko.

I może wyjaśniało.

- Jaki był Win jako dziecko?

Od kolejnego uśmiechu pogłębiły się jej zmarszczki wokół ust i oczu.

- Próbuje pan go rozgryźć? – spytała.

– Po prostu jestem ciekaw.

Ukłuty prawdą jej słów, raptem zapragnął cofnąć to pytanie, lecz było za późno.

– Win w dzieciństwie nie był szczęśliwy. Jakoś zawsze... – urwała, szukając właściwego słowa – trzymał się z boku. Nie potrafię wyrazić tego inaczej. Nie był narwany, ekscentryczny ani agresywny, nic z tych rzeczy. Jednak coś z nim było nie tak. Już jako dziecko chodził własnymi drogami.

Myron skinął głową. Wiedział, co miała na myśli.

- Ciotka Cissy jest taka sama.

– Matka Wina?

Linda skinęła głową.

– Jeśli chce, potrafi być lodowata. Nawet w stosunku do Wina. Zachowuje się, jakby nie istniał.

- Ale chyba rozmawia o nim. Przynajmniej z pani ojcem.

Potrząsnęła głową.

– Kiedy zaproponowała ojcu, żeby skontaktował się z Winem, wymieniła imię syna po raz pierwszy od lat.

Myron nic nie powiedział. W powietrzu znów zawisło oczywiste pytanie: co zaszło pomiędzy Winem i matką? Ale go nie zadał. Ta rozmowa zaszła i tak za daleko. Wypytywanie się byłoby niewybaczalną zdradą. Gdyby Win chciał mu się z tego zwierzyć, zrobiłby to.

Rozmawiali, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Głównie o Chadzie, o tym, jakim jest synem. Jack nadal trzymał się dobrze i prowadził ośmioma punktami. Z gigantyczną przewagą. Gdyby ją stracił, przegrałby sromotniej niż dwadzieścia trzy lata temu.

Namiot zaczął pustoszeć, a oni gadali w najlepsze. Zauroczony intymnością rozmowy, Myron skonstatował, że uroda Lindy zapiera mu dech. Na moment zamknął oczy. Nie działało się nic takiego. Jeżeli nawet czuł do niej jakiś pociąg, to dlatego, że miał przed sobą typową dziewczycę w porządku, a więc był to klasyczny przypadek, niewykraczający poza ramy politycznej (nie wspominając o jaskiniowej) poprawności.

Tłum już się rozszedł. Od dłuższego czasu nikt się nie pojawił. W pewnej chwili do namiotu zajrzał Win. Na ich widok uniósł brew i wycofał się.

Myron sprawdził godzinę.

– Muszę iść – powiedział. – Mam spotkanie.

– Z kim?

– Z Tadem Crispinem.

– Tu, w Merion?

– Tak.

– Długo to potrwa?

– Nie.

Linda zaczęła bawić się pierścionkiem, przypatrując się mu, jakby go szacowała.

– Pozwolisz, że zaczekam? – spytała. – Zjemy razem kolację.

Zdjęła okulary. Oczy miała zapuchnięte, lecz spojrzenie stanowcze i skupione.

– Dobrze.

W domu klubowym spotkał się z Esperanzą. Zrobiła znaczącą minę.

– O co chodzi? – zagadnął.

– Myślisz o Jessice? – spytała podejrzliwie.

– Nie, a dlaczego pytasz?

– Bo znów masz tę przyprawiającą o mdłości, miłosno-tęskną minę. Sam wiesz. Taką, że mam ochotę zwymiotować ci na buty.

– Chodźmy – powiedział. – Tad Crispin czeka.

Spotkanie nie przyniosło rezultatu, ale do niego przybliżyło.

– Kontrakt, który podpisał z Zoomem, jest o dupę potłuc – oceniła Esperanza.

– Wiem.

– Crispin cię lubi.

– Pożyjemy, zobaczymy – odparł Myron.

Przeprosił ją i szybko wrócił do namiotu. Linda Coldren siedziała na tym samym krześle, w królewskiej pozie, tyłem do niego.

– Lindo?

– Już ciemno – powiedziała cicho. – Chad nie lubi ciemności. Chociaż ma szesnaście lat, wciąż nie gaszę światła na korytarzu. Na wszelki wypadek.

Myron nie poruszył się. Gdy odwróciła się w jego stronę i ujrzał jej uśmiech, miał wrażenie, że coś wwierca się mu w serce.

– Kiedy Chad był mały – ciągnęła – nie rozstawał się z czerwonym plastikowym kijem golfowym i piłką do wiffle'a. Dziwne. Właśnie taki pojawia mi się w myślach przed oczami. Z tym małym czerwonym kijem. Dłuższy czas nie mogłam przywołać tego obrazu. Teraz Chad jest już

prawie mężczyzną. Ale odkąd zniknął, widzę go jako małego, szczęśliwego chłopczyka, który na dziedzińcu za domem uderza w piłki do golfa.

Myron skinął głową i wyciągnął rękę.

– Chodźmy, Lindo – rzekł łagodnie.

Wstała. Ruszyli w milczeniu. Nocne niebo było tak jasne, że wyglądało jak mokre. Miał ochotę wziąć jej dłoń. Ale nie zrobił tego. Doszli do jej wozu, odbezpieczyła pilotem zamek i otworzyła drzwiczki. Myron, który zaczął okrążyć samochód, nagle się zatrzymał.

Na siedzeniu kierowcy leżała koperta.

Zamarli na kilka sekund. Koperta była brązowa, na tyle duża, by pomieścić zdjęcie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, płaska, nieco wybrzuszona pośrodku.

Linda Coldren spojrzała na Myrona. Chwytał kopertę za brzeg i unióś ją w górę. Na odwrocie drukowanymi literami napisano:

OSTRZEGAŁEM NIE SZUKAJCIE POMOCY
TERAZ CHAD ZA TO ZAPŁACI
JESZCZE RAZ WEJDZIECIE NAM W PARADE
BĘDZIE ZNACZNIE GORZEJ.

Na klatce piersiowej Myrona zacisnęły się stalowe obręcze strachu. Powoli opuścił dłoń i dotknął kłykiem wypukłości. W dotyku przypominała glinę. Ostrożnie rozciął kopertę i odwrócił. Na siedzenie wypadła jej zawartość.

Odcięty palec odbił się od skóry i znieruchomiał.

Rozdział 18

Myron wpatrywał się w niego, oniemiały.

O mój Boże, mój Boże, mój Boże...

Zdjęty panicznym strachem, zadygotał, zdrętwiał. Jeszcze raz przeczytał ostrzeżenie na kopecie. To twoja wina, Myron, twoja wina! – usłyszał wewnętrzny głos.

Obrócił się ku Lindzie. Oczy miała szeroko rozwarte, rozedrganą dłonią zakrywała usta.

Chciał zrobić krok w jej kierunku, lecz zatoczył się jak bokser po knockdownie, który nie czeka, aż sędzia doliczy do ośmiu.

– Trzeba kogoś wezwać – wydusił z siebie głosem, który nawet jemu wydał się słaby. – FBI. Mam znajomych...

– Nie – sprzeciwiła się stanowczo.

– Lindo, posłuchaj...

– Przeczytaj to!

– Ale...

– Przeczytaj to – powtórzyła i zwiesiła głowę. – Ta sprawa już cię nie dotyczy, Myron.

– Nie zdajesz sobie sprawy, z czym masz do czynienia.

– Czyżby? – Poderwała głowę i zacisnęła dłonie w pięści. – Mam do czynienia z chorym potworem. Potworem, który przy najmniejszej prowokacji okalecza. – Przystąpiła do samochodu. – Obciął mojemu synowi palec tylko dlatego, że z tobą rozmawiałam. Jak myślisz, co się stanie, jeśli nie wykonam jego poleceń?

Myronowi zakręciło się w głowie.

– Lindo, zapłacenie okupu nie gwarantuje... – Wiem o tym – przerwała mu.

– Ale... – Bezradnie szukał argumentów, a potem powiedział coś bezdennie głupiego. – Przecież nie wiesz, czy to palec Chada.

Opuściła wzrok. Jedną dłonią powstrzymała szloch, a drugą bez śladu obrzydzenia czule pogładziła odcięty palec.

– Wiem, że jego – odparła cicho.

– Chad może już nie żyć.

– Jaka więc różnica, co zrobię?

Myron nic więcej nie powiedział. Wystarczająco się zbłąźnił. Potrzebował kilku chwil, by się pozbierać, zastanowić nad dalszymi krokami.

Twoja wina, Myron. Twoja wina.

Odrzucił tę myśl. Bywał już mimo wszystko w gorszych opałach. Oglądał zabitych, ścierał się z wyjątkowymi łotrami, łapał zabójców i oddawał ich w ręce sprawiedliwości. Potrzebował tylko...

Zawsze z pomocą Wina, Myron. Nigdy samodzielnie.

Linda Coldren uniosła odcięty palec. Po policzkach spływały jej łzy, ale twarz miała spokojną jak staw.

– Do widzenia, Myron – powiedziała.

– Lindo...

– Więcej mu się nie sprzeciwię.

– Musimy to przemyśleć...

Pokręciła głowę.

– Nie powinniśmy byli się do ciebie zwracać. Trzymając w dłoni palec syna, wsunęła się do samochodu.

Odłożyła delikatnie palec, zapaliła silnik, wrzuciła bieg i odjechała.

Myron dotarł do samochodu. Kilka minut siedział i głęboko oddychał, żeby ochłonać. Trenował sztuki walki od pierwszego roku studiów, kiedy Win zapoznał go z taekwondo. Nauczyli się tam medytacji, ale nigdy nie opanował jej najważniejszych niuansów. Nie potrafił całkowicie wyłączyć umysłu. Zamknął oczy, próbując zastosować się do jej prostych zasad. Oddychał wolno przez nos, wpychał powietrze jak najgłębiej, starał się pracować nie piersią, lecz przeponą, a wypuszczał je przez usta jeszcze wolniej, aż do całkowitego opróżnienia płuc.

Dobrze, co zrobisz teraz? – zadał sobie pytanie.

Pierwsza wypłynęła na powierzchnię najprostsza odpowiedź: Poddaj się. Ogranicz straty. Przyznaj, że to nie twój żywioł. Przecież nigdy tak naprawdę nie pracowałeś dla FBI. Po prostu towarzyszyłeś Winowi. Zadanie cię przerosło, przez co szesnastoletni chłopak stracił palec, a kto wie, czy nie więcej. „Bez Wina jesteś beznadziejny” – to słowa Esperanzy. Wbij je sobie do głowy i spuszaj.

I co dalej? Niech Coldrenowie sami uporają się z tym pasztetem?

Gdybyś się nie wtrącił, być może ich syn zachowałby dziesięć palców.

Na tę myśl poczuł, że coś w nim pęka. Otworzył oczy. Serce znowu zaczęło mu walić jak młot. Nie mógł zadzwonić do Coldrenów. Nie mógł zawiadomić federalnych. Dalsze działanie na własną rękę groziło, że Chad straci życie.

Uruchomił silnik, wciąż próbując dojść do siebie. Musiał przeanalizować sytuację. Ochłonać. Rozważyć, co wynika z rozwoju wypadków. Zapomnieć o strachu. Zapomnieć o tym, że być może zawałił sprawę. Odcięty palec był wskazówką.

Po pierwsze: kopertę podrzucono w zastanawiającym miejscu – w zamkniętym samochodzie Lindy Coldren (tak jest, zamkniętym; otworzyła go pilotem). Jak porywacz dostał się do środka? Włamał się do wozu? Trudno wykluczyć, ale czy miałyby na to czas na parkingu w Merion? Czy ktoś by o tym nie doniósł? Pewnie tak. Czy mógł użyć kluczyka, który zabrał Chadowi Coldrenowi? Hmm. Bardzo możliwe, ale nie dało się tego potwierdzić bez rozmowy z Lindą, a to nie wchodziło w grę.

Szlaban zamknięty. Na razie.

Po drugie: w porwaniu wzięło udział więcej osób niż jedna. Ta konkluzja nie wymagała kononkowego śledztwa. Przede wszystkim uczestniczył w nim Paskudny Nazi. Dowodził tego jego telefon z galerii handlowej, no i późniejsza reakcja. Tylko czy taki egzemplarz jak on mógł wkraść się do klubu Merion i podrzucić kopertę, do wozu Lindy Coldren? Na pewno nie w czasie Otwartych Mistrzostw Stanów. Natychmiast wzbudziłyby podejrzenia. A w notce na kopercie ostrzeżono Coldrenow przed ponownym „wejściem w paradę”. Czy Paskuda użyłby takich słów?

No dobrze, co jeszcze?

Po trzecie: porywacze byli tyleż bezwzględni, co nierozgarnięci. Swoją bezwzględność już udowodnili, a brak pomysłu? Przyjrzyjmy się faktom. Czy to rozsądne żądać dużego okupu w czasie weekendu, wiedząc, że banki są zamknięte do poniedziałku? Czy pierwsze dwa telefony, gdy nie bardzo wiedzieli, ile zażądać pieniędzy, nie świadczyły, że są szurnięci? I wreszcie, czy obcięcie chłopcu palca tylko dlatego, że jego rodzice rozmawiali z agentem sportowym, było rozsądne? Miało sens?

Nie.

Chyba że porywacze dowiedzieli się, iż ten agent sportowy jest kimś więcej.

Od kogo?

Myron skręcił w długi podjazd w rezydencji Lockwoodów. Nieznani ludzie wyprowadzali ze stajni konie. Gdy podjechał do domku gościnnego, w drzwiach pojawił się Win. Myron zaparkował i wysiadł.

– Jak ci poszło spotkanie z Tadem Crispinem? – zagadnął Win.

Myron szybko podszedł do niego.

– Odrąbali chłopcu palec – wyrzucił z siebie chropawym głosem, o mało się nie zatykając. – Porywacze. Odcięli mu palec i podrzucili w samochodzie Lindy.

Win nie zmienił wyrazu twarzy.

– Odkryłeś to przed czy po spotkaniu? – spytał.

– Po – odparł zaskoczony Myron.

Win wolno skinął głową.

– Nie dostałem odpowiedzi na pierwsze pytanie: jak ci poszło spotkanie z Tadem Crispinem?

Myron cofnął się o krok, jakby dostał w twarz.

– Chryste – rzekł niemal z szacunkiem. – Nie mówisz tego poważnie.

– Nie interesuje mnie, co dzieje się w tej rodzinie. Za to rad bym wiedzieć, co wskórałeś w sprawie Tada Crispina.

Oślupiały Myron pokręcił głową.

– Nawet ty nie możesz być aż tak nieczuły.

– Och, daruj sobie!

– Co mam sobie darować?

– Na świecie są większe tragedie niż utrata palca przez szesnastolatka. Giną ludzie, Myronie. Powodzie znoszą z powierzchni ziemi całe wioski. Codziennie ktoś potwornie krzywdzi dzieci.

– Win urwał. – Czytałeś dzisiejszą popołudniówkę?

– O czym ty pleciesz?

– Chciałbym, żebyś to wreszcie zrozumiał – ciągnął Win przesadnie wolno, wyważonym głosem. – Colttrenowie obchodzą mnie tyle, co całkiem obcy ludzie, a może i mniej. Bardziej dotyczą mnie tragedie, których pełno jest w tej gazecie. Na przykład...

Win zamilkł, wpatrując się w Myrona.

– Na przykład co? – spytał Myron.

– Wyłynęły nowe fakty w sprawie Kevina Morrisa. Słyszałeś o niej?

Myron pokręcił przecząco głową.

– Prawie trzy tygodnie temu zaginęli dwaj siedmiolatekowie, Billy Waters i Tyrone Duffy. Zniknęli, wracając ze szkoły do domu na rowerach. Policja przesłuchała niejakiego Kevina Morrisa, który kręcił się koło tej szkoły. Lecz pan Morris, dobrze znany policji z licznych oskarżeń o perwersję, w tym molestowanie, miał bardzo bystrego adwokata. Z braku dowodów, mimo bardzo mocnych poszlak – w pojemniku na śmieci blisko jego domu znaleziono rowerki chłopców – wyszedł na wolność.

Myron poczuł chłód w sercu.

– Co to za nowe fakty? – spytał.

– Zeszłej nocy policja otrzymała informację.

– Późno w nocy?

Win znowu ponownie utkwiał w niego oczy.

– Bardzo późno.

Zapadła cisza.

– Zdaje się, że ktoś widział, jak Kevin Morris grzebie zwłoki w przydrożnym lesie pod Lancaster – dodał Win. – Policja je wczoraj odkopała. Wiesz kogo znaleźli?

Myron znów pokręcił głową, bojąc się otworzyć usta.

– Billy’ego Watersa i Tyrone’a Duffy’ego. Zabitych, zgwałconych i okaleczonych tak, że media przemilczały szczegóły. Policja zebrała na miejscu dość dowodów, by aresztować Kevina Morrisa. Odciski na skalpeli. Plastikowe worki identyczne z tymi w jego kuchni. Nasienie w ciążach chłopców zgodne na podstawie wstępnego badania z jego kodem genetycznym.

Myron wzdrygnął się.

– Nikt nie wątpi, że skazanie pan Morrisa jest pewne – dokończył Win.

– No a co z osobą, która dostarczyła informacji? Będzie świadkiem?

– Dziwna rzecz. Ten mężczyzna zadzwonił z automatu, nie podał nazwiska. Nikt nie wie, kto to może być.

– Ale policja złapała Morrisa?

– Tak.

Myron i Win spojrzeli sobie w oczy.

– Aż dziw, że go nie zabiłeś – rzekł Myron.

– W takim razie nie znasz mnie dobrze.

Zarżał koń. Win odwrócił głowę w stronę wspaniałego zwierzęcia. Na moment twarz mu się zmieniła, jakby był w rozterce.

– Co ona ci zrobiła, Win?

Win wciąż patrzył na konia. Wiedział, o kogo pyta Myron.

– Co ona ci zrobiła, że tak jej nienawidzisz?

– Przesadzasz, przyjacielu. Nie jestem aż taki nieskomplikowany. Nie tylko matka odpowiada za mój charakter. Człowieka nie kształtuje jedno wydarzenie, a ja wcale nie jestem tak stuknięty, jak zasugerowałeś. Jak każdy sam sobie wybieram bitwy. Walczę często, częściej od innych, zwykle po właściwej stronie.

Stoczyłem walkę o Billy’ego Watersa i Tyrone’a Duffy’ego, ale nie chcę walczyć za Coldrenów. To mój wybór. Uszanuj to. Nie popychaj mnie do walki ani nie wiń, że nie mam na nią ochoty.

Myron nie wiedział, jak zareagować. Było coś przerażającego w tym, że rozumiał chłodną logikę Wina.

– Win?

Win oderwał wzrok od konia.

– Mam kłopoty – rzekł Myron, słysząc w swym głosie desperację. – Potrzebuję pomocy.

– Gdyby tak było, dobrze wiesz, że bym ci pomógł – odparł cicho Win z niemal cierpiącą miną. – Ale ty wcale nie jesteś w sytuacji, z której nie mógłbyś łatwo się wyplątać. Wycofaj się. Zrezygnuj z tej sprawy. Nie uchodzi, żebyś wciągał mnie w nią wbrew mej woli, wykorzystywał w taki sposób naszą przyjaźń. Tym razem odpuść sobie.

– Przecież wiesz, że nie mogę.

Win skinął głową.

– Jak powiedziałem, każdy wybiera sobie bitwy – zakończył, idąc do swojego wozu.

Kiedy Myron wszedł do domku gościnnego, Esperanza wołała właśnie:

– Bankrut! Skuś, babusie! Bankrut! Stań za nią. Oglądała Koło Fortuny.

– Co za chciwe babsko! – Wskazała ekran. – Wygrała ponad sześć tysięcy i kręci dalej. Nie znoszę takich!

Koło zatrzymało się na błyszczącym napisie 1000 \$. Kobieta poprosiła o literę B. Wyskoczyły dwie. Esperanza jęknęła.

– Wcześniej wróciłeś – powiedziała. – Myślałam, że zjesz kolację z Lindą Coldren.

– Z kolacji nici.

Wreszcie się obróciła i spojrzała mu w twarz.

– Dlaczego?

Opowiedział. W miarę jak go słuchała, jej śniada skóra bladła.

– Potrzebujesz Wina – orzekła, kiedy skończył.

– Nie pomoże mi.

– Czas przełknąć męską dumę i poprosić go. Ubłagać, jeśli trzeba.

– Już to zrobiłem – odparł. – Wyjechał.

Chciwe babsko w telewizorze dokupiło samogłoskę. Zawsze go zdumiewało, dlaczego zawodnicy, którzy najwyraźniej znają hasło, mimo to dokupują samogłoski. Żeby tracić pieniądze? Zdobyć pewność, że rywale też znają odpowiedź?

– Ale ty tu jesteś – dodał. Esperanza spojrzała na niego.

– No i?

Dobrze znał prawdziwy powód jej przyjazdu. Przez telefon powiedziała, że w pojedynkę nie idzie mu za dobrze. To świadczyło wymownie, po co tak naprawdę opuściła Nowy Jork.

– Chcesz mi pomóc? – spytał.

Chciwe babsko pochyliło się, zakreśliło kołem, a potem zaczęło klaskać i pokrzykiwać: „Dawaj, dawaj tysiąc!”. Rywale kutwy też klaskali w dłonie. Tak jakby życzyli jej wygranej. Dobre sobie!

– Co mam zrobić? – odparła.

– Wyjaśnię ci po drodze. Jeżeli ze mną pojedziesz. Obserwowali spowalniające koło. Kamera zrobiła najazd.

Przesuwająca się coraz wolniej strzałka zatrzymała się na słowie BANKRUT. Widownia jęknęła. Chciwe babsko wciąż się uśmiechało, choć minę miało, jak po mocnym ciosie w żołądek.

– To omen – powiedziała Esperanza.

– Dobry czy zły? – spytał Myron.

– Tak.

Rozdział 19

Dziewczyny wciąż tkwiły w galerii. W gastroramie. Przy tym samym stoliku. Zadziwiająco. Długie letnie dni wabiły rozświetlonym niebem i śpiewem ptaków. Były wakacje, a jednak chmary nastolatków siedziały kamieniem w lepszej wersji szkolnej stołówki, przeklinając dzień, w którym trzeba będzie wrócić do szkoły.

Myron pokręcił głową. Narzekał na nastolatków. Nieomylny znak utraconej młodości. Groziło mu, że niedługo skrzyczy kogoś za podkręcenie kaloryferów.

Ledwo wszedł do gastroramy, dziewczyny obróciły się w jego stronę. Czyżby przy wszystkich wejściach zamontowały wykrywacze znajomych? Nie zawahał się. Z maksymalnie surową miną ruszył ku nim, przyglądając się uważnie ich twarzom. W końcu były tylko nastolatkami. Nie wątpił, że winowajczynie się zdradzi.

I zdradziła się. Prawie natychmiast.

Ta, z której wczoraj się nabijały, ta, której zarzuciły, że uśmiechnął się do niej Paskuda. Missy, Messy czy podobnie. Wczorajsze wypadki nabrały sensu. Paskuda wcale nie odkrył, że jest śledzony. Dostał cynk. Wszystko zaplanował. Poinformowała go, że ktoś o niego pyta. Wyjaśniało to jego niby przypadkową obecność wczoraj w galerii.

Zaczekał na przyjazd leszcza i wciągnął go w pułapkę.

– Kurde, co się stało? – spytała, krzywiąc się, dziewczyna z fryzurą a la Elsa Lancaster.

– Ten gość chciał mnie zabić – odparł Myron.

Rozległy się ochy i achy. Twarze rozbłysły z emocji. Większość dziewcząt odebrała tę wieść jak telewizyjny serial na żywo. Tylko jedna, o imieniu Missy, Messy czy jakoś podobnie, zachowała kamienne oblicze.

– Ale bez obawy – ciągnął. – Lada moment go dorwiemy. Za kilka godzin znajdzie się pod kluczem. Policja już po niego jedzie. Wpadłem podziękować wam za współpracę.

– Myślałam, że pan nie jest gliną – odezwała się ta o imieniu na M.

Nie użyła słowa „kurde”. Hmm.

– Jestem tajniakiem – wyjaśnił.

– O mój Boże!

– Powaga?!

– Nie mogę!

– Takim jak ten z Nowojorskiego tajniaka?

Myron, choć telewizja nie była mu obca, nie miał pojęcia, o kim mowa.

– Właśnie – potwierdził.

– Superowo!

– Pokażą nas w telewizji?

– W wiadomościach o szóstej?

– Ten z Kanału Czwartego jest słodziutki, nie?

– Mam denną fryzurę.

– Co ty, Amber! To moje pióra są jak szczurze gniazdo.

Myron odchrząknął.

– Sprawa jest prawie zamknięta – powiedział. – Z jednym wyjątkiem. Chodzi o współnika.

Zaczekał, ale żadna nie spytała: „Wspólnika”?

– Ktoś stąd dopomógł tej mendzie wciągnąć mnie w pułapkę.

– Ktoś z galerii?!

– Z naszej galerii?!

– Nie z naszej! W życiu!

Słowo „galeria” wymawiały tak; nabożnie, jak niektórzy słowo „synagoga”.

– Ktoś dopomógł temu lujowi?

– Ktoś z naszej galerii?

– Iiiii!

– Normalnie nie wierzę.

– Uwierzcie. Ten wspólnik lub współpracownik zresztą tu jest. I nas obserwuje.

Dziewczyny obróciły głowy. Zrobiła to nawet M, tak dla zmyłki. Po pokazaniu kija przyszedł czas na marchewkę.

– Miejcie oczy i uszy otwarte – dodał. – Złapiemy go. Bankowo. Tacy zawsze sypią. Ale jeśli ta osoba pomogła mu z naiwności...

Nie zareagowały.

– Jeżeli nie wiedziała, co normalnie jest grane – choć nie był to żargon hiphopowy, tym razem skinęły głowami – i zgłosi się do mnie, nim do niej dojdzie policja, to zapewne zdołam ją wybronić. W przeciwnym razie oskarżają o pomoc w próbie zabójstwa.

Żadnej reakcji. Spodziewał się tego. M za nic nie przyznałaby się przed psiapsiółkami. Wielki strach przed więzieniem był zaledwie mokrą zapałką w porównaniu z całopalnym stosem presji nastoletnich rówieśniczek.

– Do widzenia paniom.

Myron przeszedł na drugą stronę gastroramy i zajął pozycję między stolikiem dziewcząt i toaletą. Oparty o filar, czekał w nadziei, że M znajdzie jakąś wymówkę i podejdzie do niego. Po pięciu minutach wstała i ruszyła w jego kierunku, jak na to liczył. Prawie się uśmiechnął. Może powinien zostać szkolnym psychologiem. Kształtować młode umysły, doskonalić charaktery.

M skrzyła jednak w stronę wyjścia.

A niech to!

Szybko potruczał za nią, z uśmiechem od ucha do ucha.

– Mindy?! – zawołał, nagle przypominając sobie jej imię. Obróciła się ku niemu bez słowa.

Przybrał łagodny ton i spojrzał na nią z wyrozumieniem. Oprah Winfrey w męskim wydaniu. Milsze, życzliwsze wcielenie Regisa Philbina.

– Cokolwiek powiesz, zostanie między nami – zapewnił. – Jeżeli jesteś w to wmieszana...

– Odwal się, człowieku. W nic nie jestem wmieszana. Przepchnęła się obok niego i minęła szybko dwa sklepy

Foot Locker i Athlete's Foot. Zawsze myślał o nich jak o jednej firmie, traktując jak awers i rewers tej samej monety, jak Bruce'a Wayne'a i Batmana, którzy nigdy nie pojawiają się razem.

Patrzył za odchodzącą dziewczyną, trochę zaskoczony, że nie pękła. Skinął głową i wprowadził plan awaryjny. Mindy umykała pośpiesznie, raz po raz oglądając się za siebie, aby się upewnić, że za nią nie idzie. Nie poszedł.

Nie zwróciła jednak uwagi na atrakcyjną Latynoskę w džinsach, idącą po jej lewej ręce w odległości paru kroków.

Mindy znalazła automat przy sklepie z płytami, będącym wierną kopią pozostałych sklepów z płytami w galerii, rozejrzała się, wsunęła ćwierćdolarówkę w otwór i wystukała numer. Gdy wcisnęła palcem siódmą cyfrę, mała ręka sięgnęła ponad jej ramieniem i przerwała połączenie.

– Co jest?!

– Odwieś słuchawkę – poleciła Esperanza.

– Co jest?!

– To jest. Odwieś słuchawkę.

– A ty, kurde, coś za jedna?

– Odwieś, bo ci ją wepchnę w nos!

Zmieszana Mindy spełniła polecenie. Kilka sekund później zjawił się Myron.

– W nos? – spytał. Esperanza wzruszyła ramionami.

– Tak nie wolno robić! – zawołała Mindy.

– Jak?

– No... – Mindy urwała, bijąc się z myślami – zmuszać do wieszania słuchawki.

– A jakie prawo tego zabrania? Znasz takie prawo? – zwrócił się Myron do Esperanzy.

Kategorycznie pokręciła głową.

– Zakazujące odwieszać słuchawkę? Nie, sehor.

– Widzisz, nie ma takiego prawa. Jest za to prawo zabraniające pomagać kryminaliście. Taką pomoc to przestępstwo. I oznacza odsiadkę.

– W niczym nie pomagałam.

– Zanotowałaś numer? – spytał Myron Esperanzę. Skinęła głową i podała mu numer.

– Sprawdźmy.

I znów era cyfrowa znacznie ułatwiła im zadanie. Każdy może kupić w dowolnym sklepie komputerowym program, wejść na strony Internetu, na przykład poświęcone firmom, wypisać numer i voila, wyskakuje nazwisko i adres.

Esperanza zadzwoniła z komórki do nowej recepcjonistki agencji RepSport MB, Wielkiej Cyndi, w pełni zasługującej na swój przydomek. Ta mierząca blisko dwa metry i ważąca około stu trzydziestu kilo olbrzymka walczyła – kiedyś jako Wielka Szełowa w jednej parze z Esperanzą Diaz – Małą Pocahontas – w turniejach wrestlingu. Na ringu Wielka Cyndi występowała w makijażu a la Tammy Faye na sterydach, fryzurze w szpikulce, której mogliby jej pozazdrościć Sid i Nancy, w porwanych koszulkach odsłaniających bicepsy, do czego dorzucała szydercze, budzące grozę spojrzenia i warczenie. Poza ringiem, no cóż, prezentowała się i zachowywała tak samo.

Esperanza przekazała jej po hiszpańsku numer telefonu.

– To ja spadam – oświadczyła Mindy.

– Nic z tego.

Myron chwycił ją za rękę.

– No co! Nie możecie mnie, kurde, zatrzymać.

Nie zwolnił uścisku.

– Bo wrzasnę, że gwałcą – zagroziła.

Przewrócił oczami.

– Przy automacie? W blasku jarzeniówek? W towarzystwie mojej dziewczyny?

Mindy spojrzała na Esperanzę.

– To pańska dziewczyna?

– Tak.

Esperanza zagwizdała Dream Weaver Gary'ego Wrighta.

– W życiu mnie nie zatrzymacie!

– Nie rozumiem cię, Mindy. Wyglądasz na miłą dziewczynę. Mindy była w czarnych legginsach, za wysokich szpilkach, czerwonym topie i w przypominającej psią obroży na szyi.

– Chcesz powiedzieć, że ten nygus wart jest pójścia do więzienia? Handluje narkotykami. Próbował mnie zabić.

Esperanza zakończyła rozmowę.

– To numer Gospody Parkera – poinformowała.

– Wiesz, gdzie to jest? – spytał Myron Mindy.

– No.

– Idziemy.

Mindy wyrwała się mu.

– Puszczaj paaaan! – przeciągnęła ostatnie słowo.

– To nie zabawa ani gra, Mindy. Pomogłaś w próbie morderstwa.

– To pan tak mówi.

– Co mówię?

Podparła się pod boki, żując gumę.

– Skąd, kurde, mam wiedzieć, że pan nie jest zły?

– Słucham?

– Podszedł pan do nas wczoraj taki tajemniczy, nie? Bez żadnej odznaki, bez niczego. Skąd normalnie mam wiedzieć, że pan nie chce załatwić Tita? Skąd mam wiedzieć, że pan nie jest dealerem, który chce przejąć jego teren?

– Tita? – Myron zerknął na Esperanzę. – Ten neofaszysta nazywa się Tito?

Wzruszyła ramionami.

– Nikt z kumpli go tak nie nazywa – dodała Mindy. – Tito to za długie imię, nie? Dlatego mówią mu Tit.

Cyc? Myron i Esperanza wymienili spojrzenia i pokręcili głowami.

– Mindy, ja nie żartowałem – rzekł wolno Myron. – Tito to nic dobrego. Najprawdopodobniej wziął udział w porwaniu i okaleczeniu chłopca w twoim wieku. Temu chłopcu odcięto palec i przesłano jego matce.

Dziewczyna skrzywiła się.

– O kurde! To okropne!

– Pomóż mi, Mindy.

– Pan jest z policji?

– Nie. Po prostu staram się uratować chłopaka.

Machnęła lekceważąco ręką.

– Wolna droga. Nie jestem wam potrzebna.

– Pojedziesz z nami.

– Po co?

– Żebyś nie ostrzegła Tita.

– Nie ostrzegę.

Myron pokręcił głową.

– A poza tym znasz drogę do Gospody Parkera. Zaoszczędzisz nam czasu.

– Mowy nie ma. Nie jadę.

– Jeżeli nie pojedziesz, powiem Amber, Trish i reszcie waszej paczki o twoim nowym chłopaku – zagroził.

– To nie jest mój chłopak – odparła, stropiona. – Spotkaliśmy się parę razy.

– W takim razie nakłamię – rzekł z uśmiechem Myron. – Powiem im, że z nim spałaś.

– Nie spałam! – wykrzyknęła. – Kurde, to niesprawiedliwe!

Wzruszył ramionami.

Skrzyżowała ręce, wciąż żując gumę. Wkrótce jednak porzuciła tę obronną postawę.

– No dobra, pojedę. Ale nie chcę – wymierzyła palec w Myrona – żebyś mnie widział. Zostanę w samochodzie.

– Zgoda.

Myron pokręcił głową. Na razie ścigali niejakiego Tita. Co jeszcze ich czekało?

Parking Gospody Parkera, potwornej meliny dla białej hołoty, kurew i gangów motocyklowych, wypełniały furgonetki i motocykle. Z otwartych drzwi grzmiała muzyka country. Kilku obszczymurków z żółtym jeleniem (logo fumi produkującej traktory) na baseballówkach opróżniało pęcherze na ścianę. Co jakiś czas któryś obracał się w stronę sąsiada i obsikiwali się nawzajem wśród przekleństw i śmiechu. Wesołe miasteczko. Siedzący w zaparkowanym po drugiej stronie ulicy wozie Myron spojrzął na Mindy.

– Bywasz tutaj? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Wpadłam parę razy – odparła. – Dla ciar, dla emocji, nie?

Myron skinął głową.

– To może od razu oblejesz się benzyną i podpalisz.

– Wal się pan! Jest pan moim starym? Uniósł ręce. Miała rację. Nic mu do tego.

– Widzisz tu gdzieś furgonetkę Tita? – spytał.

Nie mógł go tak po prostu nazwać Cycem. No, chyba żeby lepiej go poznał. Mindy przesu-
nęła wzrokiem po parkingu.

– Nie.

Myron też nie dostrzegł samochodu Paskudy.

– Wiesz, gdzie mieszka?

– Nie wiem.

Pokręcił głową.

– Handluje narkotykami, wydziarzał sobie swastyk i nie ma tyłka. Ale nie wmawiaj mi... że
poza tym wszystkim Tito to rozkoszny kochaś.

– Odwal się, człowieku, dobra?! – krzyknęła. – Odwal!

– Myron – ostrzegła go Esperanza.

Ponownie uniósł ręce. Rozsiedli się w fotelach i czekali. Nic się nie zdarzyło. Mindy west-
chnęła najgłośniejszym jak można.

– No to jak, mogę już sobie pójść?

– Mam pomysł – powiedziała Esperanza.

– Jaki? – spytał.

Wyciągnęła bluzkę z dzinsów, związała ją w supeł pod zębami, obnażając płaski, śniady
brzuch, i rozpięła górne guziki, tworząc śmiały dekolt. Wyćwiczonym okiem detektywa Myron do-
strzegł czarny stanik. Opuściła lusterko w samochodzie i zaczęła się malować. Wyzywająco. Zbyt
wyzywająco. Na koniec nieco zmierzwiła włosy, podwinęła nogawki dzinsów i spojrzała na niego z
uśmiechem.

– Jak wyglądam? – spytała. Nawet jemu nogi zmiękły w kolanach.

– Chcesz tam wejść tak jak teraz?

– Tam wszystkie się tak ubierają.

– Ale żadna nie wygląda jak ty.

– O, ho, ho! Komplement.

– To znaczy, jak tancerka z West Side Story.

– „Zabił ci brata podobny do niego, zapomnij o nim, znajdź innego...” – zaśpiewała.

– Jeśli zostaniesz moją współpracowniczką, ani się waż przychodzić w takim stroju na zebrania za-
rządu – ostrzegł.

– Zgoda – odparła. – Mogę iść?

– Najpierw połącz się z moją komórką. Chcę słyszeć wszystko, co się dzieje.

Skinęła głową, wystukała numer. Odebrał telefon. Wypróbowali połączenie.

– Nie graj bohaterki – rzekł. – Sprawdź tylko, czy jest w środku. W razie kłopotów wynoś
się stamtąd w podskokach.

– Dobrze.

– Powinniśmy też ustalić hasło. Słowo, które wypowiesz, gdybyś mnie potrzebowała.

Esperanza ze sztuczną powagą skinęła głową.

– Jak powiem „wytrysk przedwczesny”, to wchodzi – odparła.

– Przedtem nałożę gumę.

Jęknęła nie tylko ona, ale nawet Mindy. Myron otworzył schowek i wyjął pistolet. Nie miał
ochoty znów być zaskoczony.

– Idź – powiedział.

Esperanza wyskoczyła z wozu i przeszła przez ulicę. Do chodnika z piekielnie głośnym
bruum-bruum podjechał czarny chevrolet corvette z dekalcomaniami płomieni na masce. Przyoz-
dobiony złotym łańcuchem ssak z rzędu naczelników podkręcił obroty, wystawił łeb przez okno,

uśmiechnął się przymilnie i dodał więcej gazu, wydobywając z silnika kilka nowych basowych brruum-brruum.

Esperanza spojrzała na wóz, na kierowcę i z kamienną twarzą spytała:

– To aż tak źle z twoją fujarką?

Chevrolet odjechał. Wzruszyła ramionami i pomachała Myronowi. Nie była to oryginalna odzywka, za to skuteczna.

– Boże, uwielbiam tę kobietę – rzekł Myron.

– Fantastyczna laska – przyznała Mindy. – Chciałabym wyglądać, kurde, jak ona.

– Postaraj się być jak ona.

– Co za różnica? Wyciska z siebie siódme poty, nie? Zaraz po wejściu do Gospody Parkera w Esperanzę uderzył zaduch – ostry smrodek zaschniętych rzygowin pomieszany z tylko trochę mniej przykrym wężowo odorem niemytych ciał. Zmarszczyła nos i szła dalej. Drewnianą podłogę pokrywały trociny. Z wiszących nad stołem bilardowym brudnych kloszy, udających kopie lamp od Tiffany’ego, padało brudne światło. Mężczyzn, ubranych – by nazwać to jednym słowem – tandetnie, było chyba dwa razy tyle co kobiet. Esperanza rozejrzała się po spelunce.

– Do twojego opisu pasuje tu ze stu chłopa – powiedziała na tyle głośno, żeby Myron usłyszał przez telefon. – To tak jakbym miała odnaleźć implant w klubie ze striptizem.

Wprawdzie Myron wyłączył mikrofon w swojej komórce, lecz gotowa była iść o zakład, że się śmieje. Implant w klubie ze striptizem? Niezłe.

I co teraz?

Gapiono się na nią, ale przywykła do tego. Trzy sekundy później podszedł do niej mężczyzna z długą kędzierzawą brodą, nadziewaną resztkami zaschniętego jadła, uśmiechnął się bezzębnie i bez najmniejszej żenady obejrzał ją od stóp do głów.

– Mam długi giętki język – pochwalił się.

– To fundnij sobie zęby.

Przepchnęła się obok niego, kierując w stronę baru. Chwilę potem doskoczył do niej typ w kowbojskim kapeluszu. Kowbojski kapelusz w Filadelfii?! Co na tym zdjęciu jest nie tak?!

– Hej, ślicznotko, czy my się nie znamy?

Esperanza skinęła głową.

– Nawijaj tak dalej, to może wyskoczę z ciuszków – odparła.

Kowboj zapiał radośnie, jakby w życiu nie słyszał nic równie śmiesznego.

– Nie nawijam, maleńka, serio... – Wtem zawiesił głos. – Ja cię kręcę! – wykrzyknął. – To Mała Pocahontas! Indiańska Księżniczka! Ty jesteś Małą Pocahontas, tak? Nie zaprzeczaj, kochanie. To ty! Nie wierzę!

Myron pewnie dusił się w tej chwili ze śmiechu.

– Miło cię spotkać – odparła. – Serdeczne dzięki za pamięć.

– Ja piórkuję, Bobby, tylko spójrz. To Mała Pocahontas! Pamiętasz? Ta mała seksowna laseczka z WDW.

WDW było oczywiście skrótem od Wspaniałych Dam Wrestlingu.

– Skąd? – spytał drugi mężczyzna, z oczami rozszerzonymi pijanym szczęściem. – Kurka wodna, masz rację! To ona! Naprawdę ona!

– Hej, dzięki za te wspomnienia, panowie, ale...

– Pamiętam, jak walczyłaś z Tatianą Syberyjską Husky. A ty? W mordę, niewiele brakowało, a wybiłbym zbytnikiem okno w sypialni.

Postanowiła zaszufladkować tę ciekawostkę w dziale Szum informacyjny.

Do kontuaru podszedł olbrzymi, przerażająco wielki barman, chyba żywcem wyjęty z rozkładówki „Leather Biker Monthly”. Długowłosa, z wielką szramą i wytatuowanymi, wijącymi się wężami na rękach strzelił oczami w mężczyzn. Puf! Wyparowali. Gdy przeniósł wzrok na Esperanzę, odplaciła mu równie groźnym spojrzeniem. Żadne nie dało za wygraną.

– A tyś co za jedna, kobieto? – spytał.

– To tak się teraz pyta, co piję?

– Nie.

Nie przestali mierzyć się oczami. Barman oparł na kontuarze potężne wytatuowane łapy.

– Jesteś za ładna na policjantkę. I za ładna, by się szlajać w tej latrynie – powiedział.

– Dzięki. A ty jesteś...

– Hal. Właściciel tej latryny.

– Cześć, Hal.

– Cześć. Czego tu szukasz?

– Koki – odparła.

– Akurat. – Hal pokręcił głową. – Po kokę wpadłabyś do Latynowa. Kupiła od kogoś ze swoich.

Nachylił się w jej stronę. Nic nie mogła poradzić, że się zastanawia, czy Hal pasowałby do Wielkiej Cyndi. Cyndi lubiła dużych motocyklistów.

– Dość tych pierdoł, kochanie. O co biega? Uznała, że czas wyłożyć kawę na ławę.

– Szukam śmiecia imieniem Tito – odparła. – Ksywa Cyc. Chudy, z ogolonym łbem...

– Tak, tak. Może go znam. Za ile?

– Pięćdziesiąt.

Hal prychnął szyderczo.

– Mam ci sprzedać klienta za pięć dych?

– Stówa.

– Póltorej. Piździelec jest mi krewny.

– Stoi – zgodziła się.

– Pokaż kasę.

Esperanza wyjęła z portfela banknoty. Hal sięgnął po nie, ale cofnęła rękę.

– Najpierw towar – zażądała.

– Nie wiem, gdzie komaruje. Wpada tu ze swoimi przydupasami co wieczór, oprócz sobót i śród.

– Dlaczego sobót i śród?

– A skąd mam wiedzieć, kurwa mać? Może chodzą na bingo i sobotnie msze. A może, kiedy im odwali, walą na wyścigi konia i ryczą „Heil, Hitler”. Skąd mam wiedzieć?!

– A jak nazywa się naprawdę?

– Nie wiem.

– Rozejrzała się po barze.

– A któryś z nich wie?

– Nie. Cyc zawsze wpada tu z tymi samymi fiutami i wychodzą razem. Z nikim nie gadają.

– Nie przepadasz za nim.

– Głupi śmieć. Jak oni wszyscy. Kutafony, które wyzywają się na innych za to, że sami są mutantami.

– Więc czemu ich wpuszczasz?

– Bo w przeciwieństwie do nich wiem, że żyjemy w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Możesz robić, co chcesz. Każdy jest pożądanym. Czarny, biały, Latynos, żółtek. Nawet takie debilne popaprańce.

Niewiele brakowało, żeby się uśmiechnęła. Zdarza się, że tolerancję odkrywasz w najmniej spodziewanym miejscu.

– To wszystko? – spytała.

– Wszystko. Jest sobota. Przyjdą tu jutro.

– Świetnie. – Esperanza przedarła banknoty na pół.

– Drugie połówki dostaniesz jutro.

Hal zacisnął potężną łapę na jej rękę. Wzrok mu stwardniał.

– Nie cwaniakuj, laluniu – rzekł wolno. – Prosisz się o zbiorowy gwałt? Krzyknę, a w pięć sekund wylądujesz na stole do bilardu. Dawaj półtorej stówki. A kolejną przedrzyj za moje milczenie. Kapujesz?

– Kapuję.

Z sercem bijącym jak szalone wręczyła mu drugie połówki banknotów. Potem zaś przedarła sto dolarów i oddała mu połowę.

– A teraz spadaj stąd, złociutka. W podskokach – poradził. Nie musiał jej dwa razy powtórzyć.

Rozdział 20

Nic więcej dziś nie udało się zdziałać. Powrót pod rezydencję Squiresów byłby w najlepszym razie ryzykowny. Myron nie mógł odwiedzić Coldrenów ani się z nimi skontaktować, a wizytę u wdowy po Lloydzie Rennarcie z racji późnej pory też musiał przełożyć. A poza tym – co przesądzało sprawę – czuł się skonany.

Tak więc spędził ten wieczór w domku gościnnym z dwójką najbliższych przyjaciół na świecie. Win, Esperanza i on, w szortach i koszulkach, zanurzeni w puchatych poduszkach zalegali na osobnych kanapach jak zegary z obrazu Dalego. Myron wypił za dużo yoo-hoo, Esperanza za dużo dietetycznej coli, a Win niemal w sam raz lekkiego jasnego piwa Brooklyn (pił wyłącznie takie). Na przegryzkę mieli precle, chipsy i świeżo dostarczoną pizzę. Przy zgaszonych światłach gapili się w telewizor z wielkim ekranem. Win nagrał niedawno kilka odcinków Dziwnej pary. Właśnie oglądali czwarty z kolei. Walorem tego serialu był, zdaniem Myrona, poziom. Ani jednego słabego epizodu, a o ilu serialach da się to powiedzieć?

Myron ugryzł kęs pizzy. Łaknął takiego relaksu. Nie spał od wieków (a ściślej od poznania Coldrenów, czyli od wczoraj). Mózg miał zlasowany, nerwy postrzępione jak zużyta nić do czyszczenia zębów. Przemięło było tak siedzieć z Winem i Esperanzą, niebieskimi od poświaty z telewizora.

– Nieprawda – sprzeciwił się Win.

– W żadnym razie – poparła go Esperanza, przełykając czekoladowe ciasteczko z nadzie-
niem.

– Mówię wam, Jack Klugman nosi półperuczkę – zapewnił Myron.

– Oscar Madison w życiu nie założyłby tupeciku – oświadczył Win. – Felix, owszem. Ale Oscar? Wykluczone.

– To peruczka.

– Myli ci się z poprzednim odcinkiem – powiedziała Esperanza. – Tym z Howardem Cosel-
lem.

– Właśnie! – Win strzelił palcami. – Howard Cosell nosił tupecik.

Myron z irytacją wbił wzrok w sufit.

– Ja nie mówię o Howardzie Cosellu – zaprotestował. – Odróżniam Cosella od Klugmana.
Powtarzam: Jack Klugman występuje w tupeciku.

– Widzisz tu brzeg tupetu? – spytał Win, wskazując ekran. – Bo ja nie widzę żadnego brze-
gu, żadnej linii podziału, żadnego odbarwienia. A zwykle zauważam.

– Ja też nie widzę – wtrąciła Esperanza, mrużąc oczy.

– Dwa głosy przeciw jednemu – rzekł Win.

– Dobrze. Nie wiercie.

– W Quincym miał swoje włosy – dodała Esperanza.

– Nie miał.

– Dwa głosy przeciw jednemu – powtórzył Win. – Większość wygrywa.

– Dobrze – powtórzył Myron. – Pławcie się w niewiedzy. Na ekranie Felix dyrygował or-
kiestrą Felix Unger i Sophisticatos. Grali szybki numer, w którym powtarzały się słowa „zatacza się
w koło”. Wpadał w ucho.

– Skąd masz pewność, że to tupecik? – spytała Esperanza.

– Strefa mroku – odparł Myron.

– Słucham?

– Strefa mroku. Jack Klugman wystąpił w co najmniej dwóch jej odcinkach.

– A tak – przyznał Win. – Nie podpowiadaj, sprawdźmy, czy pamiętam. – Postukał palcem
wskazującym w wargę. – W tym z małym chłopcem Pipem. Którego grał...

Znał odpowiedź. Każde spotkanie z przyjaciółmi zamieniało się w teleturniej z niepotrzebnych informacji. – Bill Mumy – zgłosiła się Esperanza.

Win skinął głową.

– Którego najśłynniejszą rolę była...?

– Rola Willa Robinsona w Zagubionych w kosmosie.

– Pamiętasz Judy Robinson? – Win westchnął. – To dopiero Ziemianka!

– Tylko co z jej ciuchami? Welurowe sweterki z Kmartu w podróży kosmicznej? Kto to wymyślił?

– Musimy też pamiętać o żywiolowym doktorze Zacherym Smisie, pierwszym homoseksualście w historii seriali telewizyjnych – dodał Win.

– Tchórzliwym, wciąż knującym intrygancie – przypomniała Esperanza, kręcąc głową. – Na dwadzieścia lat powstrzymał rozwój ruchu mniejszości seksualnych.

Win wziął następny kawałek pizzy. Na białym pudełku z czerwono-zielonym liternictwem widniał klasyczny korpulentny kucharz podkreślający palcem cienkie wąsy. Napis na pudełku – szczerza prawda! – głosił:

Pizze i snaki, to nasze przysmaki.

Najlepsze składniki.

Najlepsze wyniki.

Ech, poeci.

– Nie pamiętam drugiego występu pana Klugmana w Strefie mroku – wyznał Win.

– Odcinek z bilardzistą – podpowiedział Myron. – W którym wystąpił również Jonathan Winters.

– A tak. – Win z powagą skinął głową. – Zgadza się. Kreujący ducha Winters gra w bilard z postacią, w którą wcielił się Klugman. O prawo do przechwałek lub coś podobnego.

– Prawidłowa odpowiedź.

– Ale co te dwa odcinki Strefy mroku mają wspólnego z włosami Jacka Klugmana?

– Masz je na taśmie?

– Sądzę, że tak – odparł Win po chwili. – Nagrałem ostatni maraton Strefy mroku. Któryś z tych odcinków na pewno tam jest.

– Odszukajmy go – zaproponował Myron. Przeszukanie ogromnej kolekcji taśm wideo i znalezienie odcinka z Billem Mumy zajęło im prawie dwadzieścia minut. Win włożył kasetę do magnetowidu i wrócił na kanapę. Obejrzeni epizod w milczeniu.

– A niech mnie! – powiedziała Esperanza kilkanaście minut później.

Czarno-biały Jack Klugman powtarzał imię zmarłego synka, a jego udrećzone okrzyki „Pip! Pip! Pip!” ściagały mglistą zjawę z przeszłości. Wzruszająca scena, ale nie o to chodziło. Najważniejsze było bowiem to, że choć ów odcinek nakręcono dziesięć lat przed Dziwną parą, linia włosów Jacka Klugmana znajdowała się w zdecydowanym odwrocie.

Win pokręcił głową.

– Dobry jesteś – przyznał cicho. – Świetny. – Spojrzał na Myrona. – Doprawdy mnie zawstydzasz.

– Nie martw się. Na swój sposób jesteś wyjątkowy. Było to najpoważniejsze zdanie w ich rozmowie.

Śmiali się. Żartowali. Kpili z siebie. Nikt słowem nawet nie wspomniał o porwaniu, Coldrenach, interesach, pieniądzech, pozyskaniu Tada Crispina ani odciętych palcu szesnastoletniego chłopca.

Pierwszy zasnął Win. Po nim Esperanza. Myron próbował dodzwonić się do Jessiki, ale nie podniosła słuchawki. Żadna niespodzianka. Często źle spała. Twierdziła, że spaceruje ją inspirują. Wysłuchał jej głosu z taśmy i nagle coś w nim drgnęło. Doczekał do piknięcia i zostawił wiadomość.

– Kocham cię – rzekł. – Zawsze będę cię kochał. Wyłączył komórkę, wczłgał się na kanapę i podciągnął pod brodę przykrycie.

Rozdział 21

Nazajutrz rano po przyjeździe do Klubu Golfowego Merion zadał sobie pytanie, czy Linda Coldren powiedziała mężowi o odciętym palcu syna. Powiedziała. Na trzecim dołku Jack zdążył stracić trzy punkty z przewagi. Był blady jak duszek Casper, oczy miał puste jak motel Batesów w Psychozie Hitchcocka, a ramiona zgarbione, jakby dźwigał worki z mokrym torfem.

Win zmarszczył brwi.

– Pewnie się przejął tym palcem – orzekł.

Znawca duszy.

– Gra na uczuciach zaczyna procentować – stwierdził Myron.

– Nie przypuszczałem, że Jacka aż tak to załamie.

– Win, porywacz odciął jego synowi palec. Takie coś może zdekoncentrować.

– Zapewne – odparł bez przekonania Win, odwrócił się i ruszył w górę toru. – Czy Crispin pokazał ci swój kontrakt z Zoomem?

– Tak.

– No i?

– Ograbiono go.

Win skinął głową.

– Nie, nie możesz nic zrobić.

– Mogę, i to wiele. Nazywa się to renegocjacją kontraktu.

– Crispin go podpisał.

– I co z tego?

– Tylko mi nie mów, że chcesz, aby się z niego wycofał.

– Tego nie powiedziałem. Jestem zdania, że kontrakt należy renegocjować.

– Renegocjować – powtórzył Win takim tonem, jakby słowo to miało cierpki posmak. – Dlaczego sportowiec, który nie uzyskuje dobrych wyników, nigdy nie renegocjuje umowy? Znasz sportowca, który po katastrofalnym sezonie obniżył wysokość kontraktu?

– Celne spostrzeżenie. Ale mój zawód streszcza się w kilku słowach: zdobyć jak najwięcej pieniędzy dla klienta.

– I pał sześć moralność?

– Zaraz, skąd to wytrzasnąłeś? Zawsze przestrzegam zasad. Szukam tylko luk w prawie.

– Mówisz jak obrońca w sprawie kryminalnej – wytknął Win.

– No nie, to cios poniżej pasa!

Widzowie z rosnącym napięciem śledzili rozwój dramatu. Przypominało to oglądanie katastrofy samochodowej w maksymalnie zwolnionym tempie. Przerażony, patrzyłeś na nią, w jakimś stopniu nieomal kibicując nieszczęściu bliźniego. Z otwartymi ustami gapiełeś się, zadając sobie pytanie, co nastąpi, niemalże licząc na to, że kraksa skończy się śmiercią. Jack Coldren z wolna umierał. Jego serce kruszyło się niczym uschłe liście w zaciśniętej pięści. Widziałeś, co się dzieje. I chciałeś, żeby trwało.

Przy piątym dołku Myron i Win napotkali Norma Zuckermana i Esme Fong. Oboje, zwłaszcza Esme, byli kłębkami nerwów, ale w końcu od wyniku tej rundy zależało ogromnie dużo. Przy ósmym dołku Jack chybił w łatwej sytuacji. Za każdym uderzeniem jego przewaga topniała – z wielkiej nie do odrobienia zmalała do bezpiecznej, a wreszcie do denerwująco nikłej.

Przy dołku dziewiątym Jackowi udało się nieco zahamować straty. Wciąż grał kiepsko, lecz na trzy dołki przed zakończeniem turnieju zachował dwupunktową przewagę. Tad Crispin mocno naciskał, lecz mógł zwyciężyć jedynie w przypadku wielkiego błędu Coldrena.

I wtedy stało się.

Przy szesnastym dołku. Na tej samej przeszkodzie terenowej, na której dwadzieścia trzy lata temu Jack pogrzebał swoje marzenia. Obaj zaczęli dobrze. Pierwszymi uderzeniami posłali piłki „lekkko sflankowane”, jak się wyraził Win. Hmm. Przy drugim strzale stało się nieszczęście. Jack trafił w górną połówkę piłki. Uderzona za słabo, spadła o wiele za blisko, lądując...

W kamienistym dole!

Publiczność się zachłysnęła. Jack Coldren zrobił coś niewyobrażalnego. Znowu! Myron patrzył ze zgrozą.

Norm Zuckerman szturchnął go łokciem.

– Zwilgotniałem – wyznał oszołomiony. – Jak Boga kocham, zwilgotniałem w dolnych partiach ciała. Sam sprawdź, śmiało.

– Wierzę ci na słowo, Norm.

Myron spojrział na Esme Fong. Twarz miała rozjaśnioną.

– Ja też – powiedziała.

Jej propozycja była ciekawsza, ale nie skorzystał.

Jack Coldren ledwo zareagował, jakby coś się w nim przepaliło. Wprawdzie nie machał białą flagą, lecz wyglądało na to, że powinien.

Tad Crispin wykorzystał okazję. Posłał piłkę w kierunku dołka tak udanie, że do objęcia prowadzenia pozostało mu włożyć ją z dwóch i pół metra. Kiedy stanął nad białą kulką, zapadła martwa cisza, jakby nie tylko widownia, ale uliczny ruch w pobliżu, samoloty nad głową, a nawet trawa, drzewa i samo pole golfowe sprzymierzyły się przeciwko Jackowi Coldrenowi.

Napięcie było niebywałe. I Tad mu sprostął.

Gdy piłka wpadła do dołka, zamiast nagrodzić gracza zwyczajowymi uprzejmymi brawami, tłum wybuchł jak Wezuwiusz za ostatnich dni Pompei. Aplauz rozszedł się potężną falą, pieszcząc młodego nowicjusza i zmiatając na bok konającego weterana. Chyba marzyli o tym wszyscy. Wszyscy pragnęli ukoronować Tada Crispina i ściąć głowę Jackowi Coldrenowi. Starcie młodego przystojniaka z pomarszczonym sportowym wygą przywodziło na myśl pojedynek Kennedy’ego z Nixonem.

– Co za faja – powiedział ktoś.

– Ciężki przypadek fai. Myron spojrział pytająco na Wina.

– „Faja” to najnowsze określenie mimozy – wyjaśnił Win. Gorzej nie da się nazwać sportowca. Może brakować ci talentu, możesz patałaszyć, nie mieć swojego dnia, ale w żadnym razie nie wolno ci być mimozą. Mimozy są bez charakteru. Nazwanie kogoś mimozą dało się porównać do wystąpienia nago przed piękną kobietą, która śmieje się z ciebie i wytyka palcem. Przynajmniej tak to widział Myron.

W prywatnym namiocie na trybunie głównej z widokiem na osiemnasty dołek dostrzegł Lindę Coldren, w głęboko nasuniętej na czoło baseballówce i okularach przeciwsłonecznych. Zatrzymał na niej oczy. Nie odpowiedziała spojrzeniem. Minę miała lekko zakłopotaną, jakby głowiła się nad zadaniem matematycznym albo próbowała dopasować nazwisko do znanej sobie twarzy. Myron stał na linii jej wzroku, licząc, że da mu znak. Nie dała.

Przed rozegraniem ostatniego dołka Tad Crispin uzyskał jednopunktową przewagę. Reszta stawki już zakończyła występy; wielu otoczyło ostatnią zielonkę, żeby obejrzyć finał najbardziej spektakularnej porażki w historii golfa.

– Dołek osiemnasty, długość toru czterysta siedemdziesiąt pięć jardów, norma cztery uderzenia. – Win wcielił się w rolę przewodnika po polu golfowym Merion. – Start w kamieniołomie. Piłkę należy posłać nad tym wzgórzem, noszenie dwieście jardów.

– Rozumiem – odparł Myron. Hmm.

Tad zaczął pierwszy. Uderzył na oko dobrze i solidnie. Widownia zareagowała grzecznymi oklaskami. Na starcie stanął Jack Coldren. Posłał piłkę wyżej, jakby rzucił wyzwanie żywiołom.

– Doskonałe uderzenie – pochwalił Win. – Nadzwyczajne.

– Co będzie, kiedy dojdzie do remisu? – spytał Myron Esme Fong. – Nagła śmierć?

Pokręciła głową.

– Tak jest w innych turniejach – odparła. – Ale nie w Otwartych Mistrzostwach Stanów. W takim przypadku gracze wrócą jutro i rozegrają całą rundę.

– Wszystkie osiemnaście dołków?

– Tak.

Po drugim uderzeniu Tada piłka spadła blisko zielonki.

– Porządny strzał – skomentował Win. – Ma sporą szansą zaliczyć dołek w normie.

Jack wyjął kij i podszedł do piłki.

– Poznajesz? – spytał z uśmiechem Win.

Myron zerknął i szybko sobie skojarzył. Nie był wielbicielem golfa, ale, choć patrzył pod kątem, rozpoznał to miejsce. Widział je na zdjęciu, które stało na komodzie w gabinecie Wina. Zresztą można je było zobaczyć w niemal każdym podręczniku golfa, wisiało w każdym golfowym pubie i innych przybytkach związanych z tym sportem. Jack Coldren stał w tej chwili dokładnie tam, gdzie na pochodzącej z około tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku fotografii stał Ben Hogan. Hogan wykonał wtedy słynne uderzenie, dzięki któremu został mistrzem Stanów.

Kiedy Jack przymierzał się do zagrania, Myron mimo woli pomyślał o duchach i osobliwych zagadkach przeszłości.

– Przed nim prawie niewykonalne zadanie – rzeki Win.

– Dlaczego?

– Zabójczy dołek. A za nim ten ziejący lej.

Ziejący lej? Myron darował sobie pytanie.

Jack uderzył kijem z długą główką. Piłka upadła na zielonkę, lecz – zgodnie z przewidywaniami Wina – ponad sześć jardów od dołka. Za trzecim uderzeniem Tad Crispin pięknym krótkim podbiciem posłał piłkę tak, że znieruchomiła sześć cali od dołka, i po chwili wbił ją do niego, zaliczając normę. Tym samym Jack stracił szansę na wygraną. Mógł już marzyć tylko o remisie, ale musiał zaliczyć dołek jednym uderzeniem.

– Uderzenie z dwudziestu dwóch stóp. – Win ponuro pokręcił głową. – Nie ma szans.

Powiedział z dwudziestu dwóch stóp – nie z dwudziestu jeden czy dwudziestu trzech. Z dwudziestu dwóch. Oceniał dystans jednym rzutem oka z odległości pięćdziesięciu jardów. Golfiści. I bądź tu mądry.

Jack Coldren podszedł do zielonki, schylił się, podniósł piłkę, położył znacznik, zabrał go i umieścił piłkę w tym samym miejscu. Myron pokręcił głową. Golfiści.

Jack stał tak daleko, jakby celował do dołka z New Jersey. I pomyśleć, że dzieliły go dwa-ścieścia dwie stopy od dziury o średnicy czterech i ćwierć cala. Wystarczyło chwycić kalkulator i policzyć.

Myron, Win, Esme i Norm czekali. Co za chwila. Finał. Moment, w którym torreador nareszcie wbija długą, cienką szpadę.

Kiedy Jack obliczał z namysłem skręt piłki na pochyłości, zaszła w nim zmiana. Pulchne rysy stwardniały. Spojrzenie stało się ostre, stalowe, a w oku, choć być może tylko w wyobraźni Myrona, pojawił się wczorajszy tygrysi błysk. Myron obejrzał się. Linda Coldren również dostrzegła tę zmianę. Na krótką chwilę odwróciła uwagę od męża, szukając oczami Myrona, jakby chciała się utwierdzić w spostrzeżeniu. Ale gdy ich spojrzenia się spotkały, natychmiast uciekła przed jego wzrokiem.

Jack Coldren nie śpieszył się. Lustrował zielonkę pod wieloma kątami. Przysiadł, sposobem golfistów, z kijem wycelowanym przed siebie. Rozmawiał z Dianą Hoffman. Kiedy jednak ustawił się do uderzenia, zrobił to bez wahania. Kij cofnął się jak wskazówka metronomu i trafił mocno w dolną połówkę piłki.

Biała kuleczka, w której Jack zawarł wszystkie swe marzenia, zatoczyła łuk w stronę dołka niczym orzeł wypatrujący ofiary. Nie było wątpliwości. Ciągnęło ją tam jak magnes. Kilka dłużyjących się na pozór w nieskończoność sekund potem biała piłeczka stuknęła głośno o dno dołka. Po chwili ciszy nastąpił drugi wybuch – eksplozja nie tyle radości, co zaskoczenia. Myron dołączył do aplauzu.

Jack dokonał tego! Zrównał się z rywalem.

– Pięknie, Esme! – przekrzyczał wrzawę Norm Zuckerman. – Jutro będzie to oglądał cały świat. Co za reklama!

– Tylko kiedy Tad wygra – odparła z osłupiałą miną.

– O czym ty mówisz?

– A jeżeli przegra?

– No wiesz, drugie miejsce w mistrzostwach Stanów?! – Norm uniósł dłonie w niebo. – Daj Boże zdrowie! Takie jak dziś rano. Przed tą rundą. Żadnych zysków, ale i żadnych strat.

Esme Fong pokręciła głową.

– Jeżeli Tad teraz przegra, co z tego, że zajmie drugie miejsce. Ważne, że przegra. I to pojedynek z osławionym nieudacznikiem! Z patentowaną ofiarą losu! To gorsze od bankructwa Buffalo Billa.

Norm zbył ją kpiarskim prychnięciem.

– Za bardzo się przejmujesz, Esme – odparł, spuszczać jednak nieco z tonu.

Tłum zaczął się rozchodzić, a Jack Coldren stał nadal, tam gdzie stał, z kijem w rękach. Nie triumfował. Nie poruszył się nawet, kiedy Dianę Hoffman poklepała go po plecach. Mięśnie twarzy znowu mu zwiotczały, oczy stały się szkliste jak nigdy. Sprawiał wrażenie, jakby wysiłek włożony w to jedno uderzenie wyszał z niego całą energię, karmę, siły, wolę życia.

A może w grę wchodził inny czynnik? Coś głębszego? Może w decydującej magicznej chwili olśnienia Jack Coldren pojął, że ten turniej nie jest aż tak ważny. W oczach wszystkich był kimś, kto przed chwilą wykonał najważniejsze uderzenie w życiu. A może we własnych oczach był człowiekiem, który stojąc samotnie, zadaje sobie pytanie, o co ten cały hałas i czy jego syn jeszcze żyje.

Na brzegu zielonki pojawiła się Linda Coldren. Siłąc się na entuzjazm, ruszyła w stronę męża i z obowiązku cmoknęła go w policzek. Ekipy telewizyjne podążyły za nią. Rozległ się trzask aparatów z teleobiektywami, zamigotały flesze. Do Coldrenów podszedł sprawozdawca sportowy z mikrofonem w ręku. Uśmiechnęli się.

Ale za uśmiechem Lindy kryła się obawa, a za uśmiechem Jacka autentyczny strach.

Rozdział 22

Pomysł wyszedł od Esperanzy.

– Wdowa po Lloydzie Rennarcie ma na imię Francine. Jest artystką – powiedziała.

– Jaką?

– Nie wiem. Maluje, rzeźbi, co za różnica??

– Spytałem z ciekawości. Mów.

– Zadzwoiłam do niej i przedstawiłam cię jako reportera „Coastal Star”. To lokalna gazeta wychodząca w Spring Lake. Przygotowujesz cykl artykułów o stylu życia miejscowych artystów.

Myron skinął głową. Plan wydawał się dobry. Niewiele rezygnuje z szansy udzielenia auto-reklamarskiego wywiadu.

Win zdążył zadbać o wstawienie nowych szyb w jego taurusie. Jeden Bóg wie, jak tego dokonał. Bogaci to inny gatunek ludzi.

Jazda zabrała Myronowi około dwóch godzin. Dochodziła ósma. Niedziela wieczór. Jutro Linda i Jack Coldrenowie mieli dostarczyć okup. Jak? W umówionym miejscu publicznym? Przez posłańca? Po raz kolejny Myron zadawał sobie pytanie o ich stosunki w rodzinie. Wyjął zdjęcie Chada. Wyobraził sobie jego młodą, beztroską twarz w chwili, gdy odcięto mu palec. Czym porywacz to zrobił? Ostрым nożem, tasakiem, siekierą, piłą, czymś innym?

Czy to bardzo bolało?

Francine Rennart mieszkała nie w Spring Lake, ale w Spring Lake Heights. Duża różnica. Spring Lake, piękne nadmorskie miasto, leżało nad Atlantykiem. Było tam mnóstwo słońca, bardzo mało przestępstw i na lekarstwo mniejszości etnicznych, co miało pewien minus. Oznaczało bowiem, że w tym bogatym, zwanym Riwierą Irlandzką mieście brak dobrych restauracji. Że jest to kulinarna pustynia. Za haute cuisine uchodziły tam dania podawane nie w koszyczkach dla smakoszy, tylko na zwykłych talerzach. Gdy zapragnąłeś egzotyki, jechałeś do chińskiej garkuchni zjadłem na wynos, w której eklektycznym menu były tak rzadkie frykasy, jak kurczak chow mein i – dla wyjątkowych śmiazków – kurczak lo mein. Na tym właśnie polegał minus części z tych miast. Brakowało im garstki Żydów, gejów, szczypty pikanterii, malowniczości, paru ciekawych lokali.

Jeśli Spring Lake wyglądało jak wyjęte ze starego filmu, to Spring Lake Heights jak jego ubogi krewny. Nie było tam slumsów, nic z tych rzeczy. Rennartowie mieszkali w typowej amerykańskiej dzielnicy podmiejskich monotonnych domków – kompromisie pomiędzy osiedlem barakowozów i osiedlem jednopiętrowców circa 1967.

Myron zapukał. Siatkowe drzwi otworzyła mu kobieta – domyślił się, że Francine Rennart – której uśmiech tonął w cieniu wydatnego nosa. Jej faliste, ciemno-rude, niesforne włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą wyjęła z nich lokówki i nie zdążyła rozczesać.

– Dobry wieczór – przywitał się.

– Pan pewnie z „Coastal Star”.

– Tak jest. – Wyciągnął rękę. – Jestem Bernie Worley. Łowca sensacji Bolitar pod płaszczykiem.

– Świetnie pan trafił – ucieszyła się Francine. – Mam nową ekspozycję.

Mebli w salonie nie pokrywał plastik, choć powinien. Prócz zielonej kanapy stał tam najprawdziwszy Barcalounger, fotel wypoczynkowy z rozdarciami zaklejonymi taśmą izolacyjną, i konsola telewizyjna zwieńczona anteną pokojową, tak zwanymi uszami królika. Jedną ze ścian przystrajały talerze dla kolekcjonerów, takie jak z reklamy, którą Myron widział kiedyś w magazynie „Paradę”.

– Pracownia jest z tyłu – wyjaśniła gospodyni. Wprowadziła go do przybudówki obok kuchni – bardzo skąpo umeblowanego dużego pomieszczenia z białymi ścianami i kanapą pośrodku, z opartym o nią krzesłem i zrolowanym dywanem. Na kanapie, z której sterczała sprężyna, udrapowa-

no coś podobnego do koca zdobnego w trójkątny wzorek. Ścian w głębi pilnowały cztery łazienkowe kosze na śmieci. Myron domyślił się, że pewnie przecieka dach. Czekał, aż Francine Rennart poprosi go, żeby usiadł. Nie poprosiła.

– I co pan na to? – spytała, stojąc w progu. Uśmiechnął się, zbity z pantałyku, nie na tyle głupi, żeby spytać „Na co”?, ale nie dość łebski, by połapać się, o co jej chodzi. Zastygł więc jak prezenter telewizyjny czekający z uśmiechem na wejście reklamy.

– Podoba się panu?

– Mhm – odparł, wciąż się uśmiechając.

– Wiem, że nie do każdego to przemawia.

– Hhm.

Błyskotliwa riposta łowcy sensacji Bolitara. Przyglądała się chwilę jego twarzy. Zachował idiotyczny uśmiech.

– Nic pan nie wie o sztuce instalacji, co? Wzruszył ramionami.

– Rozszyfrowała mnie pani – przyznał, szybko zmieniając front. – Szczerze mówiąc, nie pisuję zwykle dużych tekstów. Jestem dziennikarzem sportowym. To moja broszka. – Broszka! Zna się ten żurnalistyczny żargon. – Tanya, moja szefowa, potrzebowała kogoś do artykułu o stylu życia. Kiedy więc Jennifer zadzwoniła, że jest chora, zadanie to, cóż, spadło na mnie. Chodzi o rzecz o różnych tutejszych artystach: malarzach, rzeźbiarzach... – Urwał, bo wyczerpała mu się inwencja. – Ale może pani sama mnie oświeci, czym się zajmuje.

– Moja sztuka to pomysły realizowane w otaczającej mnie przestrzeni. Polega na tworzeniu nastroju.

– Rozumiem.

Skinął głową.

– Nie jest to sztuka per se, sztuka w sensie klasycznym. Wykracza poza nią. Jest kolejnym krokiem na drodze artystycznej ewolucji.

– Rozumiem.

Myron powtórnie skinął głową.

– Nic w tej ekspozycji nie jest przypadkowe. Ustawienie kanapy. Faktura dywanu. Kolor ścian. To, w jaki sposób słońce wpada przez okna. Wspólnie tworzą one określoną atmosferę.

O rany.

– A jak takie coś się sprzedaje? – spytał Myron, wskazując na jej... dzieło sztuki.

– Nie jest na sprzedaż – odparła, marszcząc brwi.

– Jak to?

– W sztuce nie chodzi o pieniądze, panie Worley. Prawdziwi artyści nie wystawiają rachunków za swe prace. Tak robią tylko wyrobnicy.

Jasno, tacy jak Michał Anioł i Leonardo da Vinci.

– A co pani z tym robi? – spytał Myron. – Pozostawia ten pokój tak jak teraz?

– Nie. Wciąż go zmieniam. Wystawiam inne rzeczy. Tworzę coś nowego.

– A co się dzieje z tym tu?

Potrząsnęła głową.

– Sztuka nie polega na trwaniu. Życie to przemijanie. Czyż sztuka ma być inna?

Doooobra!

– Czy ten rodzaj sztuki ma jakąś nazwę?

– To sztuka instalacji. Ale nie lubimy etykiet.

– Od jak dawna jest pani... artystką instalacyjną?

– Skończyłam dwuletnie studia magisterskie w Nowojorskim Instytucie Sztuki.

Postarał się ukryć wstrząs.

– Pani to studiowała?

– Tak. To bardzo wymagający program.

Jasne, pomyślał, jak reklamowany przez Sally Struthers kurs naprawy telewizorów i magnetowidów.

Wrócili do salonu. Myron usiadł na kanapie – ostrożnie. Kto wie, może była dziełem sztuki. Zaczekał na poczęstunek ciasteczkami. Być może również dziełem sztuki.

– Widzę, że pana nie przekonałam – powiedziała Francine Rennart.

Wzruszył ramionami.

– Może gdyby tam jeszcze siedziały psy i przy stole rznąły w pokera jak na obrazkach Coolidge’a, kto wie.

Zaśmiała się. Nie ma jak autoironia.

– Z pewnością.

– Czy mógłbym na chwilę zmienić temat? Usłyszeć coś o Francine Rennart jako osobie?

Łowca sensacji Bolitar zaczął drążyć temat osobisty.

– Dobrze, proszę pytać – zgodziła się, choć z nieco nieufną miną.

– Jest pani mężatką?

– Nie! – ucięła, co zabrzmiało jak trzaśnięcie drzwiami.

– Rozwiedziona?

– Nie.

Łowca sensacji Bolitar uwielbiał gadatliwe rozmówczynie.

– Rozumiem. Z czego wnoszę, że jest pani bezdzietna.

– Mam syna.

– Ile ma lat?

– Siedemnaście. Nazywa się Larry.

O rok starszy od Chada Coldrena, Ciekawe.

– Larry Rennart?

– Tak.

– Do jakiej szkoły chodzi?

– Miejscowej, liceum w Manasquan. Zdał do ostatniej klasy.

– To miło. – Myron zaryzykował i skubnął ciasteczko. – Z nim też mógłbym przeprowadzić wywiad?

– Z moim synem?

– Tak. Z chęcią przytoczyłbym słowa pani „huncwota”, jak dumny jest ze swojej mamy, jak wspiera ją w tym, co ona robi, et cetera.

Łowca sensacji Bolitar popadł w banał.

– Nie ma go w domu.

– Ach tak?

Zaczekał. Nie rozwinęła tematu.

– A gdzie jest? – zagadnął. – Mieszka z ojcem?

– Jego ojciec nie żyje.

Wreszcie doszliśmy do sedna!

– A niech to, przepraszam – rzekł, grając na całego. – Nie chciałem... pani taka młoda. Do głowy mi nie przyszło...

Łowca sensacji Bolitar w roli Roberta DeNiro.

– Nie szkodzi – odparła Francine Rennart.

– Czuję się okropnie.

– Niepotrzebnie.

– Dawno pani owdowiała?

Przekrzywiła głowę.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Interesuje mnie tło.

– Tłó?

– Tak. Myślę, że to konieczne do zrozumienia Francine Rennart artystki. Chciałbym dowiedzieć się, jak wdowieństwo wpłynęło na panią i pani sztukę.

Łowca sensacji Bolitar wciskał kit na potęgę.

– Wdową jestem od niedawna.

– Czy śmierć męża miała jakikolwiek wpływ na kształt pani dzieła? – Myron skinął w stronę, hmm, pracowni. – Może na kolor koszy na śmieci. Albo na sposób zrolowania dywanu.

– Nie, żadnego.

– Jak umarł pani mąż?

– Dłaczego pan...

– Powtórzę: to bardzo ważne dla zrozumienia pełni wypowiedzi artystycznej. Czy, na przykład, zginął w wypadku? Śmiercią, która każe zadumać się nad kapryśnym losem. A może długo chorował? Gdy się widzi cierpienia najbliższych...

– Popełnił samobójstwo.

Myron udał szok.

– Tak mi przykro – powiedział.

Dostał dziwnej zadyszki, pierś mu zafalowała. Przyglądając się Francine Rennart, poczuł w środku nieprzyjemny skurcz. Nie zapędzaj się, ostrzegł się w duchu. Przestań myśleć wyłącznie o Chadzie Coldrenie, pamiętaj, że ta kobieta też przeszła swoje. Poślubiła tego człowieka. Kochała go, żyła z nim, miała z nim dziecko, z nim związała los.

A on, zamiast spędzić z nią życie do końca, skończył z sobą.

Myron przełknął ślinę. Takie granie na uczuciach tej kobiety było co najmniej nieuczciwe, a lekceważenie jej artystycznych dokonań tylko dlatego, że ich nie rozumiał, okrutne. Nie podobał się w tej chwili sobie. Przez moment rozważał, czy nie odejść – szanse bowiem, że ta rozmowa wniesie cokolwiek do sprawy, zdawały się minimalne – ale też nie mógł zapomnieć o szesnastoletnim chłopcu, któremu ucięto palec.

– Długo byliście małżeństwem? – spytał.

– Blisko dwadzieścia lat – odparła cicho.

– Nie chciałbym się narzucać, ale jak mąż miał na imię?

– Lloyd.

Myron zmrużył oczy, jakby szukał w pamięci.

– Brzmi mi to jakoś znajomo. Francine Rennart wzruszyła ramionami.

– Był współwłaścicielem tawerny w Neptune City. Zardzewiałego Ćwieka.

– Oczywiście! Przypominam sobie. Często tam przesiadywał.

– Tak.

– Mój Boże, znałem go. Lloyd Rennart. Pamiętam. Kiedyś uczył gry w golfa, zgadza się? Jakiś czas uczestniczył w zawodowych turniejach.

Twarz Francine zamknęła się niczym szyba w samochodzie.

– Skąd pan wie? – spytała.

– Zardzewiały Ćwiek. Jestem wielkim fanem golfa. Gram jak noga, ale interesuję się turniejami jak niektórzy Pismem Świętym. – Improvizował na poczekaniu, licząc, że nie na próżno. – Pani mąż asystował Jackowi Coldrenowi, tak? Dawno temu. Trochę o tym gadaliśmy.

Głośno przełknęła ślinę.

– Co mówił?

– Co mówił?

– O asystowaniu.

– Och, niewiele. Zwykle rozmawialiśmy o ulubionych golfistach. Nicklausie, Lee Trevinie, Palmerze. O słynnych polach. Zwłaszcza o Merion.

– Nie.

– Słucham?

– Lloyd z nikim nie mówił o golfie – oświadczyła stanowczo. Łowca sensacji Bolitar wpadł jak śliwka w kompot. Francine Rennart przekłuła go wzrokiem.

– Nie jest pan z firmy ubezpieczeniowej, bo nie wniosłam o odszkodowanie. – Zastanawiała się chwilę. – Zaraz. Powiedział pan, że pisze o sporcie. Dlatego pan mnie odwiedził. Jack Coldren wrócił do gry, więc przygotowuje pan artykuł wspomnieniowy.

Myron pokręcił głową. Zaczerwienił się ze wstydu. Wystarczy, pomyślał. Wziął kilka głębokich oddechów.

– Nie dlatego – powiedział.

– No, to kim pan jest?

– Nazywam się Myron Bolitar. Jestem agentem sportowym.

– Czego pan ode mnie chce? – spytała, zdezorientowana. Zaczął szukać słów, lecz żadne nie brzmiało przekonująco.

– Nie jestem pewien – odparł. – Prawdopodobnie tylko tracę czas. Ma pani rację: Jack Coldren wrócił do gry. Wygląda jednak na to... że ściga go przeszłość. Straszne rzeczy spotykają jego i jego rodzinę. Dlatego pomyślałem...

– Co?! – przerwała mu gwałtownie. – Że Lloyd zmartwychwstał, żeby się zemścić?

– Chciał się zemścić?

– Za to, co się stało w Merion. Dawno temu. Zanim go poznałam.

– Przeszło mu?

– Dużo czasu mu to zajęło – odparła Francine Rennart po namyśle. – Po tamtym incydencie Lloyd długo nie mógł znaleźć pracy w branży. Jack Coldren pozostał pupilkiem, nikt nie chciał wchodzić mu w paradę. Lloyd stracił wszystkich przyjaciół. Zaczął pić, za dużo. – Zawahała się. – Doszło do wypadku.

Myron ani drgnął, patrząc, jak Francine głęboko oddycha.

– Stracił kontrolę nad samochodem – ciągnęła głosem jak automat. – Uderzył w inny wóz. W Narberth. Niedaleko miejsca, gdzie mieszkał. – Zamilkła i podniosła wzrok. – W tej kraksie zginęła jego pierwsza żona.

Myrona przeszedł zimny dreszcz.

– Nie wiedziałem o tym – rzekł cicho.

– To było dawno temu, panie Bolitar. Poznaliśmy się niedługo potem. Zakochaliśmy. Przystał pić. I zaraz potem kupił tawernę... wiem, wiem, że brzmi to dziwnie. Alkoholik właścicielem baru. W jego przypadku zdało to egzamin. Kupiliśmy również ten dom. Myślałam... myślałam, że wszystko jest dobrze.

Myron odczekał chwilę.

– Czy pani mąż z rozmysłem podał Jackowi Coldrenowi zły kij? – spytał.

To pytanie jej nie zaskoczyło. Nie śpieszyła się z odpowiedzią, skubiąc guziki przy bluzce.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nigdy nie mówił o tym incydencie. Nawet ze mną. Ale coś w sobie dusił. Czyja wiem, może nawet poczucie winy. – Wygładziła dłońmi spódnice. – To wszystko jest dziś bez znaczenia, panie Bolitar. Jeśli nawet Lloyd żywił urazę do Jacka, to już nie żyje.

Myron szukał sposobu, jak spytać ją o to taktownie, ale nie znalazł.

– Wydobyli jego ciało, pani Rennart? – rzekł wreszcie. Słowa te spadły na nią jak hak boksera wagi ciężkiej.

– To... to... to... – zająknęła się – była głęboka przepaść. W żaden sposób... peruwiańska policja oświadczyła, że nikogo nie spuszcza na dół. Że to zbyt niebezpieczne. Zresztą Lloyd nie mógł przeżyć. Napisał list. Zostawił tam ubranie. Nadal mam jego paszport...

Głos ją zawiódł.

Myron skinął głową.

– Oczywiście, rozumiem – rzekł.

Lecz kiedy stamtąd wyszedł, świadom był, że nie rozumie niczego.

Rozdział 23

Tito, Paskudny Faszysta, nie pojawił się w Gospodzie Parkera.

Myron siedział w samochodzie po drugiej stronie ulicy. Nienawidził śledzenia. Choć tym razem się nie nudził, prześladowało go wspomnienie zdruzgotanej miny Francine Rennart. Bał się, jakie skutki wyrwie jego wizyta na tej kobiecie, w milczeniu zmagającej się z własnym bólem. Przyszedł i brutalnie wyważył z zawiasów drzwi szafy, w której głębi zamknęła swe demony. Próbował ją pocieszyć. Ale co w końcu mógł jej powiedzieć?

Nadszedł czas zamknięcia baru. Nadal śladu Tita. W przeciwieństwie do jego kamratów. Podziemniak i Ucieczka przybyli o wpół do jedenastej, wybyli o pierwszej w nocy. Ucieczka kuśtykał o kulach, bez wątpienia po podstępny kopniaku w kolano. Myron uśmiechnął się. Małe zwycięstwo, a cieszyło.

Podziemniak otaczał łapą szyję dziewczoi z włosami tlenionymi na planecie Kiepskich Farb. „Blondyna” wyglądała w sam raz na amatorkę wydziarganych skinów, czyli, mówiąc to samo nieco inaczej, na bywalczynię Jerry Springer show.

Dwaj koledzy Paskudy zatrzymali się pod ścianą, by opróżnić pęcherze. Podziemniak odcedzał kartofle, nie wypuszczając z objęć partnerki. Chryste! Na tę ścianę sikało tyłu, że rodziło to pytanie, czy w spelunce Parkera w ogóle jest ubikacja. Skinheadzi odbili od muru. Podziemniak wsiadł od strony pasażera do forda mustanga, który poprowadziła „Blondyna”. Kuśtykając, Ucieczka wgramolił się na własny rydwan, przypominający motor. Kule przytroczył z boku. Pojazdy odjechały w przeciwnych kierunkach.

Myron postanowił ruszyć za Ucieczką. Masz wątpliwości, podążaj za słabszą zwierzyną.

Trzymał się z daleka, zachowując maksymalną ostrożność. Lepiej zgubić zwierzaka, niż ryzykować, że cię spostrzeże. Nie śledził go długo. Trzy przecznice dalej Ucieczka zatrzymał się i wszedł do podłej rudery. Farba odchodziła od jej ścian płatami wielkości pokryw włazów kanałowych. Dach nad gankiem, pod którym zwała się jedna z kolumn, wyglądał, jakby go naderwał jakiś olbrzym. Dwa okna na piętrze ziały pustką niczym oczy pijaka. Ta straszliwa ruina oparła się rozbiórcze zapewne tylko dlatego, że inspektor budowlany z pustego śmiechu na jej widok nie był w stanie wypisać nakazu zburzenia.

No dobra, i co teraz?

Myron czekał godzinę, ale nic się nie stało. W jednym z pokojów zapaliło się światło i zgasło. I tyle. Wszystko wskazywało na to, że tracił czas.

Co robić?

Nie znalazł odpowiedzi, więc zmienił nieco pytanie.

Co na moim miejscu zrobiłby Win?

Rozważyłby ryzyko. W tak dramatycznej sytuacji należało przede wszystkim ratować szesnastoletniego chłopca, któremu odcięto palec jak zbędną nić.

Czas wcielić się w Wina. Myron skinał głową.

Wysiadł z samochodu. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, zaszedł rudere od tyłu. Podwórko tonęło w ciemnościach. Brnąc przez trawę na tyle wysoką, że skryłaby oddział Wietkongu, co jakiś czas potykał się o pustaki, grabie, stosy puszek. Dwukrotnie walnął w coś golenią; zmełł w ustach przekleństwa.

Tylne drzwi zabito sklejką. Za to okno po lewej stało otworem. Zajrzał do środka. Ciemno. Ostrożnie wdrapał się do kuchni.

W nos uderzył go odór odpadków. Zabrzęczały muchy. Na moment zląkł się, że odkryje trupa, ale prędzej był to bukiet zapachów ze śmietnika sklepu 7-Eleven niż smród rozkładającego się mięsa. Stąpając na palcach i unikając dziur w podłodze, sprawdził inne pomieszczenia. Ani widu

porwanego. Ani śladu związanego szesnastolatka. Żywej duszy. Za odgłosem chrapania dotarł do pokoju, w którym z ulicy widział światło. Ucieczka leżał na wznak. Spał. Beztrósko.

Trzeba to było zmienić. Myron podskoczył i wylądował na jego spuchniętym kolanie. Ucieczka rozwarł szeroko oczy. Gdy otwierał usta do krzyku, Myron zamknął mu je mocnym ciosem, w jednej chwili usiadł na nim okrakiem i przystawił pistolet do policzka.

– Krzykniesz, zginiesz – ostrzegł.

Ucieczka wpatrywał się w niego rozszerzonymi oczami. Z ust ciekła mu krew. Nie krzyknął. Lecz Myron nie był z siebie zadowolony. Krzykniesz, zginiesz? Mało oryginalna odzywka.

– Gdzie jest Chad Coldren? – spytał.

– Kto?

Wsunięta w zakrwawione usta lufa pistoletu uderzyła w zęby, kneblując skina.

– Zła odpowiedź!

Ucieczka milczał. Kozaczek. A może... może nie mógł nic powiedzieć z powodu lufy w ustach. Pomalutku, Bolitar. Z nieprzejednaną miną Myron powoli wyjął lufę.

– Gdzie jest Chad Coldren? – powtórzył. Ucieczka zachłysnął się, łapiąc powietrze.

– Nie wiem, o czym pan mówi, jak Boga Kocham! – odparł.

– Ręka.

– Co?

– Daj rękę.

Ucieczka uniósł rękę. Myron chwycił ją za nadgarstek, wykręcił, złapał za środkowy palec, zwinął go i docisnął do dłoni. Chłopak podskoczył z bólu.

– Nie potrzebuję noża. Mogę za to zmiażdżyć ci palec.

– Nie wiem, o czym pan mówi – wydusił z siebie skin. – Przysięgam!

Po zwiększeniu nacisku Ucieczka znów podskoczył. Myron nie chciał złamać mu kości. Lekko się uśmiechnij, przykazał sobie. Tak robi Win. Leciutko się uśmiecha. Niechaj ofiara myśli, że stać cię na najgorsze, serce masz zimne jak gład i pewnie lubisz zadawać ból. Niech cię tylko nie uzna za kompletnego czuba, niepanującego nad sobą świra, który tak czy owak zrobi ci krzywdę. Zachowaj miarę.

– Proszę...

– Gdzie jest Chad Coldren?

– Tak, byłem tam, kiedy Tit na pana napadł. Obiecał, że da mi stówę. Ale nie znam żadnego Chada Coldrena.

– Gdzie jest Tit? Co za przezwisko!

– Pewnie na chacie. Nie wiem.

Na chacie? Staroświecki żargon w ustach neofaszysty? Ot, ironia życia.

– Czy Tito zwykle siedzi z wami w Gospodzie Parkera?

– No, ale dziś się nie pokazał.

– A miał wpaść?

– Chyba. Nie gadamy o tym.

Myron skinął głową.

– Gdzie mieszka? – spytał.

– Na Mountainside Drive, tej samej ulicy co ja. Trzeci dom na lewo za zakrętem.

– Jeżeli kłamiesz, wrócę i wydlubię ci oczy.

– Nie kłamię. Na Mountainside Drive.

– Po co ci to?

Myron lufą pistoletu wskazał swastykę.

– Co?

– Ta swastyka, cymbale.

– Jestem dumny ze swojej rasy.

– Chcesz władować wszystkich „żydków” do komór gazowych? Zabić wszystkich „czarnuchów”?

– Nie o to nam chodzi – odparł pewniejszym głosem Ucieczka, wsiadając na dobrze obcykany temat. – Walczymy o białego człowieka. Mamy dość zalewu czarnuchów. Mamy dość deptania przez Żydów.

– A na pewno deptania przez Żyda, którego masz przed sobą. – Każda okazja jest dobra, by sprawić sobie przyjemność. – Wiesz, co to taśma samoprzylepna?

– Tak.

– A już myślałem, że wszyscy neofaszyści to debile. Gdzie ją trzymasz?

Ucieczka lekko zmrużył oczy, jakby naprawdę myślał. Niemal słyszałeś chrzęst jego zakutego ła.

– Nie mam taśmy – odparł.

– Wielka szkoda. Bo chciałem cię skrępować, żebyś nie ostrzegł Tita. No, ale skoro nie masz, przestrzelę ci kolana.

– Zaraz!!!

Myron zużył prawie cały zwój.

Tito siedział za kierownicą swojego pickupa z gigantycznymi kołami.

Tyle że martwy.

Zginął od strzałów w głowę, z bardzo bliska. Niewiele z niej zostało. Masakra. Biedny Tito. Nie dość, że bez tyłka, to i bez głowy. Myron nie zaśmiał się. Wisielczy humor nie był zresztą jego mocną stroną.

Zachował spokój chyba dlatego, że nie wypadł z roli Wina. Dom tonął w ciemności. Klucze Tita wciąż tkwiły w stacyjce. Wyjął je i otworzył frontowe drzwi. Przeszukanie potwierdziło jego domysły – w środku nie było nikogo.

Co teraz?

Nie bacząc na krew i fragmenty mózgu, wrócił do pickupa i dokładnie go przetrząsnął. I mów tu o słabościach. Ponownie kliknął w wyobraźni ikonkę z Winem. To tylko protoplazma, powiedział sobie. Tylko hemoglobina, płytki krwi, enzymy i inne zapomniane szczegóły, które przerabiał na biologii w dziewiątej klasie. Zablokował wrażliwość na tyle, że przeszukał samochód pod fotelami i szczeliny między poduszkami. Palcami natrafił na mnóstwo paskudztw: starych kanapek, papierów po hamburgerach, okruchów wszelkich kształtów i rozmiarów.

Skrawki obciętych paznokci!

Myron spojrzął na trupa i pokręcił głową. Trochę za późno na przyganę, ale co tam.

A potem znalazł skarb.

Złoty. Z golfowym emblematem i wygrawerowanymi na wewnętrznej stronie inicjałami C.B.C.

Sygnet Chada Buckwella Coldrena.

Najpierw pomyślał, że Chad Coldren roztropnie ściągnął go z palca i zostawił trop. Jak w filmie. Przesłał wiadomość. Pozostanie w roli wymagało pokręcenia głową, podrzucenia sygnetu w dłoni i mruknięcia z podziwem: „Sprytny dzieciak”.

Druga myśl okazała się znacznie trzeźwiejsza.

Odcięty palec z wozu Lindy Coldren był palcem serdecznym.

Rozdział 24

Co robić?

Skontaktować się z policją? Odjechać? Anonimowo zadzwonić?

Myron nie miał pojęcia. Przede wszystkim musiał mieć na uwadze dobro Chada Coldrena. Na co naraziłby chłopca, zawiadamiając policję o porwaniu?

Bóg wie.

Psiakrew, co za pasztet! W dodatku nie wolno mu było zajmować się tą sprawą. Miał – powinien! – trzymać się od niej z daleka. Niestety, wpadł jak przysłowiowa śliwka w wiele przysłowiowych kompotów. Co zrobić w sprawie trupa w samochodzie? No i co z Ucieczką? Nie mógł go zostawić skrępowanego i z ustami zaklejonymi taśmą. Przypuśćmy, że zwymiotowałby... Chryste!

Dobra, Myron, pomyśl. Po pierwsze, nie zawiadamiaj – nie zawiadamiaj! – policji. Niech ktoś inny odkryje zwłoki. A może zadzwonisz anonimowo z automatu? To mogłoby wypalić. Tylko czy policja nie nagrywa wszystkich rozmów? Mieliby twój głos na taśmie. Chyba żebyś go zmienił. Nieco pogubił. Zastosował inny rytm, tempo i akcent. Tak jak Meryl Streep. Ponaglił dyżurnego, bo „dingo porwał mi dziecko”.

Wolnego, nie zapędzaj się.

Rozważ, co się stało. Cofnij się o godzinę, zastanów, jak to wygląda. Bez powodu włamałeś się do cudzego domu. Napadłeś na mężczyznę, potwornie go zastraszyłeś, związałeś i zakneblowałeś, a wszystko po to, żeby dopaść Tita... którego policja znajdzie martwego w pickupie niedługo po anonimowym telefonie.

Kto stanie się głównym podejrzanym?

Myron Bolitar, agent sportowy od ciężkich przypadków.

Cholera!

Co teraz? Niezależnie od tego, co zrobisz – zadzwonisz czy nie zadzwonisz – staniesz się podejrzanym. Policja przesłucha Ucieczkę. Ten powie o tobie i wyjdiesz na mordercę. To bardzo proste równanie.

Pozostaje pytanie: co robić?

Nie martwić się o to, do jakich wniosków dojdzie policja. Nie martwić się też o siebie. Trzeba skupić się na Chadzie. Co będzie dla niego najlepsze? Trudno powiedzieć. Najbezpieczniej jest oczywiście nie pchać kija w szprychy. Starać się ukryć swój udział w sprawie.

Tak, to miało sens.

A zatem odpowiedź brzmiała: nie zawiadamiać nikogo. Zostawić ciało tam, gdzie jest. Odłożyć sygnet na siedzenie, żeby posłużył policji jako dowód. Można to uznać za plan – plan w największym chyba stopniu gwarantujący, że chłopcu nic więcej się nie stanie, a jednocześnie zgodny z życzeniem Coldrenów.

No, a co z Ucieczką?

Myron wrócił taurusem do rudery. Znalazł skina, tam gdzie go zostawił – na łóżku, zakneblowanego, z kończynami skrępowanymi szarą samoprzylepną taśmą, na wpół żywego. Potrząsnął nim. Ucieczka podskoczył. Twarz miał koloru wodorostów. Myron zerwał z jego ust taśmę.

Ucieczkę zdjęły mdłości, kilkakroć nim rzuciło.

– Przed domem jest mój człowiek – oznajmił Myron, kontynuując usuwanie taśmy. – Rusz się od tego okna, to zaznasz takiego bólu, jaki wytrzymało niewielu. Rozumiesz?

Ucieczka skwapliwie skinął głową.

„Zaznasz takiego bólu, jaki wytrzymało niewielu”? Mój Boże.

W rudery nie było telefonu, więc ten kłopot miał z głowy. Po kilku groźnych ostrzeżeniach, nafaszerowanych banałami o torturach, w tym ulubionym: „Nim z tobą skończę, będziesz błagał,

żeby cię dobił”, zostawił neofaszystę samego, by sobie podrzał w swych defiladowych czarnych butach.

Na ulicy nie dostrzegł nikogo. Przysłowiowej żywej duszy. Gdy wsiadł do taurusa, po raz kolejny wrócił myślą do Lindy i Jacka. Co się w tej chwili z nimi działo? Czy porywacz już do nich zadzwonił? Podał instrukcje? Jak wpłynęła na bieg wypadków śmierć Tita? Czy Chad bardziej ucierpiał, a może uciekł? Zdobył pistolet i kogoś zastrzelił?

Może. Wątpliwe. Najpewniej coś poszło nie tak. Ktoś stracił zimną krew. Komuś odbiło.

Zatrzymał samochód. Musiał ostrzec Coldrenów.

Owszem, Linda nakazała mu trzymać się z daleka od sprawy. Ale stało się to, zanim znalazł ciało. Jakże mógł teraz umyć ręce i pozostawić ich w niewiedzy? Ktoś odciął palec ich synowi. Ktoś zamordował jednego z porywaczy. „Zwykłe” porwanie – jeżeli takie w ogóle istnieje – wymknęło się spod kontroli. Połała się krew.

Musiał ich ostrzec. Musiał się z nimi skontaktować i podzielić tym, co wie.

Tylko jak?

Wjechał na Golf House Road. Było bardzo późno, dochodziła druga w nocy. Na pewno wszyscy spali. Zgasił światła i, jadąc wolno, wsunął się wozem na miejsce między dwiema posesjami; gdyby ktoś z mieszkańców przypadkiem się obudził i wyjrzał przez okno, mógł uznać, że to samochód należący do gościa sąsiadów. Wysiadł i ruszył wolno w stronę domu Coldrenów.

Kryjąc się w cieniu, podszedł bliżej. Pomyślał, że Coldrenowie nie śpią. Jack może i próbował się zdrzemnąć, ale Linda z pewnością nawet nie usiadła. W tej chwili nie miało to jednak znaczenia.

Jak się z nimi skontaktować?

Nie mógł zadzwonić. Nie mógł podejść do drzwi i zapukać. Nie mógł też rzucać kamykami w okno, jak zalotny fujara w kiepskiej komedii miłosnej. Co pozostawało?

Był w kropce.

Posuwał się od krzaka do krzaka. Niektóre znał z poprzedniej wizyty. Przywitał się z nimi, pogwarzył, poczęstował najlepszymi towarzyskimi żartami. Jeden z nich dał mu cynk, w co zainwestować na giełdzie, lecz Myron go zignorował. Okrążając dom i starając się nie rzucać w oczy, wolno zbliżał się do budynku. Wprawdzie nie miał żadnego planu, ale gdy podszedł na tyle blisko, by widzieć światło w pokoju, wpadł na pewien pomysł.

List.

Postanowił, że napisze list, w którym zawiadomi o swoim odkryciu, zaleci najwyższą ostrożność i zaproponuje swoje usługi. Jak im go dostarczyć? Hmm. Zrobić z kartki papierowy samolot i wrzucić do środka? A jakże, przy jego zdolnościach manualnych?! Myron Bolitar, żydowski krewny braci Wright. A inne sposoby? Może przywiązać list do kamienia? I co dalej? Wybić szybę?

Na szczęście nie musiał się uciekać do żadnego z powyższych sposobów.

Z prawej strony doszedł go odgłos... Odgłos kroków. Z ulicy. O drugiej w nocy?

Zanurkował za krzak. Kroki się zbliżały. Coraz szybciej,. Ktoś nadchodził. Nadbiegał.

Myron przypadł do ziemi, serce waliło mu jak szalone. Kroki raptem ucichły. Wyjrzał zza krzaka. Widok zasłaniały mu żywopłoty.

Wstrzymał oddech. Czekał.

Biegnący znów ruszył. Tym razem wolniej. Niespiesznie. Od niechcienia. Bieg zmienił się w chód. Myron zapuścił żurawia z drugiej strony krzaka. Nic. Przykucnął, a potem cał po calu zaczął wolno wstawać, czując kontuzjowane kolano. Wytrzymał ból. Wreszcie jego oczy znalazły się ponad krzakiem i rozpoznał osobę.

Linda Coldren była w granatowym dresie i butach sportowych. Wracała z joggingu? Jeśli tak, to o dziwnej porze. Ale kto ją tam wie. Jack walił w piłki golfowe. On sam strzelał do kosza. A ona być może lubiła nocny jogging.

Wątpił w to. Zbliżyła się do podjazdu. Musiał dać jej znak. Podniósł kamień i puścił po ziemi w jej kierunku. Zatrzymała się i poderwała raptownie głowę, jak jeleń u wodopoju, któremu przeszkodzono w picciu. Rzucił drugi kamień. Spojrzała w stronę krzaka. Pomachał ręką. Subtelnie, nie ma co. Skoro jednak odważyła się wyjść z domu – jeśli porywacz nie miał nic przeciwko jej nocnej przebieżce – to podejście do krzaka nie powinno wzbudzić w nim popłochu. Kiepskie uzasadnienie, ale czas nagił.

Jeżeli wyszła z domu tak późno nie na jogging, to po co?

Chyba że...

Zapłaciła okup?

Nie, przecież w niedzielę banki są zamknięte. A podjąć sto tysięcy mogła jedynie w banku. Powiedziała to jasno.

Linda Coldren ruszyła wolno do krzaka. Myron chętnie by go podpalił, zniżył głos i zawołał: „Mojżesz, Mojżesz!”. Nowa porcja wisielczego humoru. Znów nieśmieszna.

Kiedy Linda znalazła się trzy jardy od niego, wystawił głowę. Wytrzeszczyła oczy.

– Idź stąd! – syknęła.

– Znalazłem tego, który dzwonił z automatu – odszepnął bezzwłocznie. – Nie żyje. Dwa strzały w głowę. W jego samochodzie był sygnet Chada. Po Chadzie ani śladu.

– Idź!

– Chciałem was ostrzec. Uważajcie. Oni są gotowi na wszystko.

Nerwowo obrzuciła wzrokiem podwórko. Skinęła głową i się odwróciła.

– Kiedy macie zapłacić? – zapytał. – Gdzie jest Jack? Zanim im cokolwiek wręczycie, niech pokażą wam syna.

Jeśli go usłyszała, nie dała po sobie poznać. Odeszła szybkim krokiem, otworzyła drzwi i znikła mu z oczu.

Rozdział 25

– Masz gości – obwieścił Win, otwierając drzwi sypialni. Myron nie podniósł głowy z poduszki. Przeszedł reagować na przyjaciół wchodzących bez pukania.

– Kto to? – spytał.

– Przedstawiciele prawa.

– Policja?

– Tak.

– W mundurach?

– Tak.

– Nie wiesz, w jakiej sprawie?

– Och, niestety. „Prawdę mówiąc, odpowiedź brzmi: nie”, że posłużę się cytatem z Kitty Carlisle.

Myron spędził sen z powiek, wrzucił na siebie coś z ubrania i – na modłę Wina – wsunął nagię stopy w półbuty. Szybko umył zęby, nie tyle dla zdrowia, co świeżego oddechu, a na głowę, by nie tracić czasu na moczenie włosów, włożył baseballówkę. Czerwoną, z napisami PŁATKI ŚNIA-DANIOWE TRIX z przodu i GŁUPI KRÓLIK z tyłu. Prezent od Jessiki. Kochał ją za to.

Dwóch funkcjonariuszy w mundurach czekało z policyjną cierpliwością w salonie. Młodzi, okazy zdrowia.

– Pan Bolitar? – spytał wyższy.

– Tak.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pojechał pan z nami.

– Dokąd?

– Detektyw Corbett wyjaśni panu na miejscu.

– Nie uchylcie choć rąbka tajemnicy?

Zachowali kamienne twarze.

– Nie, proszę pana.

Wzruszył ramionami.

– Skoro tak, to w drogę.

Usiadł na tylnym siedzeniu. Mundurowi z przodu. Jechali w dobrym tempie, ale bez syreny. Zadzwoiła komórka. – Pozwolicie, że odbiorę telefon, panowie? – spytał.

– Proszę bardzo – odparł wyższy.

– Serdeczne dzięki. – Myron nacisnął guzik.

– Halo?

– Jesteś sam? – spytała Linda Coldren.

– Nie.

– Nie mów nikomu, że dzwoniłam. Możesz przyjechać jak najszybciej? To pilne.

– Jak to nie dostarczysz przed czwartkiem? – odparł. Myron Bolitar, mistrz zmyłek.

– Ja też nie mogę w tej chwili rozmawiać – odparła. – Przyjedź tak szybko, jak możesz. I nic przedtem nie mów. Proszę. Zaufaj mi.

Rozłączyła się.

– Dobra, ale mam za to u ciebie bajgle. Słyszysz? Myron wyłączył komórkę. Spojrzał przez okno. Aż za dobrze znał tę trasę. Jeździł nią do Merion. Przy głównej bramie na Ardmore Avenue zobaczył mnóstwo telewizyjnych vanów i wozów policyjnych.

– O kurka – powiedział wyższy policjant.

– To musiało się szybko wydać – rzekł niższy.

– Za gruba sprawa – przyznał wyższy.

– Nie oświecilibyście mnie, o co chodzi? – wtrącił Myron.

Niższy obrócił głowę.

– Nie, proszę pana – odparł i pokazał mu plecy.

– Mówi się trudno.

Myrona ogarnęły złe przeczucia.

Wóz patrolowy posuwał się wśród szpaleru dziennikarzy. Reporterzy napierali na okna, zaglądali do środka, błyskali fleszami. Odpędzeni przez jakiegoś policjanta ruchem ręki, odpadli od karoserii wolno jak płatki łupieżu. Wóz zatrzymał się na klubowym parkingu. Stało tam co najmniej z tuzin policyjnych pojazdów, oznakowanych i nieoznakowanych.

– Proszę z nami – rzekł wyższy policjant.

Myron poszedł z nimi. Przemierzali osiemnasty tor, po którym chodził tabun funkcjonariuszy w mundurach. Z pochylonymi głowami zbierali kawałki Bóg jeden wie czego i wkładali to do torebek na dowody rzeczowe.

Nie wróżyło to nic dobrego.

Gdy dotarli na szczyt pagórka, Myron ujrzał, że słynny kamienisty dół otaczają idealnym kołem dziesiątki policjantów. Niektórzy robili zdjęcia. Zdjęcia z miejsca zbrodni. Inni pochylali się nad czymś. Myron zobaczył, nad czym, gdy jeden z nich się wyprostował.

– O nie... – jęknął.

Ugięły się pod nim kolana.

Pośrodku słynnej terenowej przeszkody, która przed dwudziestoma trzema laty kosztowała go przegraną w turnieju, leżał nieruchomy Jack Coldren.

Mundurowi zmierzili Myrona badawczym wzrokiem. Niczego po sobie nie pokazał.

– Co się stało? – spytał.

– Proszę tu poczekać.

Niższy policjant pozostał przy Myronie. Wyższy po zejściu z pagórka zamienił kilka słów z mężczyzną w cywilu, zapewne z detektywem Corbettem. Detektyw zerknął w górę i skinął głową.

– Proszę za mną – polecił niższy mundurowy. Oszołomiony Myron szedł ze wzgórza, nie odrywając oczu od zwłok na kamieniach. Zakrzepła krew na głowie Jacka Coldrena wyglądała jak wylakierowany tupecik, ciało leżało nienaturalnie wykręcone. Nieszczęsny facet.

Policjant w cywilu przywitał Myrona energicznym uściskiem ręki.

– Bardzo dziękuję, że pan przyjechał, panie Bolitar. Detektyw Corbett – przedstawił się.

Myron bezradnie skinął głową.

– Co się stało? – spytał.

– Dozorca znalazł go o szóstej rano.

– Ktoś go zastrzelił?

Corbett uśmiechnął się krzywo. Był mniej więcej w wieku Myrona, ale mikry jak na policjanta. Nie dość, że niski – jest sporo niskich stróżów prawa – to niemal chorobliwie chudy. Jego skromną posturę skrywał prochowiec. Nie za dobry strój na lato. Na oglądał się odcinków z porucznikiem Columbo?

– Proszę wybaczyć, ale czy mógłbym zadać panu kilka pytań?

Myron patrzył na nieruchome ciało, nie mogąc się pozbierać. Jack nie żył. Dlaczego? Jak do tego doszło? A co policja ma do niego? Dlaczego chcą go przesłuchać?

– Gdzie jest pani Coldren? – spytał.

Corbett spojrział na policjantów i znów na niego.

– Dlaczego pan o to pyta?

– Chcę się upewnić, czy jest bezpieczna.

– Tak? – Corbett splótł ręce na piersi. – W takim razie powinien pan spytać „Co z panią Coldren?” albo „Pani Coldren nic się nie stało?”, a nie o to, gdzie jest. Oczywiście, jeśli troszczy się pan o jej samopoczucie.

Myron kilka chwil mierzył go wzrokiem.

- Boże, pan jest naprawdę dobry – wycedził.
- Po co ten sarkazm, panie Bolitar? Widzę, że przejmuje się pan jej losem.
- Owszem.
- Jest pan jej znajomym?
- Tak.
- Dobrym?
- Słucham?
- Proszę wybaczyć jeszcze raz... – Corbett rozłożył ręce. – Ale czy pan ją... tego?
- Oszalał pan?!
- Mam rozumieć, że tak?

Tylko spokojnie, ostrzegł się w duchu Myron. Próbuje cię sprowokować. Znasz te numery. Nie nabierze cię na takie plewy.

- Nie. Nie mieliśmy z sobą intymnych kontaktów.
- Serio? Dziwne.

Myron nie pochwylił przynęty i nie spytał: „Co jest dziwne?”. Corbett musiał się więc obejść smakiem.

– W ciągu minionych dni paru świadków widziało was razem. Kilkakrotnie. Przede wszystkim w namiocie w alei Korporacyjnej. Spędziliście tam kilka godzin. Sam na sam. Bardzo zadowoleni. Na pewno nie doszło do czułości?

- Nie.
- A więc nie doszło do czułości ani do...
- Nie doszło do niczego.

– Aha, rozumiem. – Corbett udał, że przeżuwa tę ciekawostkę. – Gdzie pan spędził minioną noc?

- Czy jestem podejrzany?
- Przecież tylko sobie przyjacielsko gawędzimy.
- Ustaliliście z grubsza, o której zginął? – spytał Myron. Corbett odpowiedział na to kolejnym uprzejmym policyjnym uśmiechem.

– Powtórzę jeszcze raz: proszę mi nie wziąć za złe i wybaczyć, ale w tej chwili wolałbym skupić się na panu – odparł z odrobinę większym naciskiem. – Gdzie pan spędził minioną noc?

Myron przypomniał sobie prośbę Lindy przez telefon. Policja z pewnością już ją przesłuchała. Powiedziała im o porwaniu? Prawdopodobnie nie. Tak czy siak informowanie ich o tym to nie jego rola. Nie wiedział, jak wygląda sytuacja. Nieopatrne słowo mogło zagrozić bezpieczeństwu Chada. Najlepiej szybko stąd odjechać, uznał.

- Chciałbym zobaczyć się z panią Coldren – rzekł.
- W jakiej sprawie?
- Żeby się upewnić, czy nic jej nie jest.

– To miło, panie Bolitar. Bardzo szlachetnie. A ja chciałbym usłyszeć od pana odpowiedź na pytanie.

- Najpierw muszę zobaczyć się z panią Coldren. Corbett zmrużył oczy jak rasowy policjant.
- Odmawia mi pan odpowiedzi?
- Nie. W tej chwili jednak najważniejsze jest dla mnie dobro mojej potencjalnej klientki.
- Klientki?

- Omawiałem z panią Coldren możliwość podpisania przez nią kontraktu z Rep Sport MB.
- Rozumiem. – Corbett potarł podbródek. – To dlatego siedzieliście razem w namiocie?

– Na pańskie pytania odpowiem później, detektywie. A teraz chciałbym sprawdzić, co się z nią dzieje.

- Nic jej nie jest, panie Bolitar.
- Wolę przekonać się o tym osobiście.

– Pan mi nie ufa?

– Nie w tym rzecz. Jeżeli jednak mam być jej agentem, moim psim obowiązkiem jest być do jej dyspozycji.

Corbett pokręcił głową i unióśł brwi.

– Zalewa pan, Bolitar!

– Mogę już iść?

Detektyw znów szeroko rozłożył ręce.

– Nie jest pan aresztowany. Odwieźcie pana Bolitara do rezydencji Coldrenów – zwrócił się do dwóch policjantów. – Dopilnujcie, żeby go nikt nie zaczepił.

Myron uśmiechnął się.

– Dziękuję, detektywie.

– Nie ma za co – odparł Corbett, a kiedy Myron ruszył, zawołał za nim: – Aha, jeszcze jedno. – Facet zdecydowanie obejrzał za dużo odcinków serialu Columbo. – Chodzi o ten telefon w wozie patrolowym. Czy był od pani Coldren?

Myron nie odpowiedział.

– Nie szkodzi. Sprawdźmy billingi. – Corbett pomachał mu ręką jak Peter Falk. – Udanego dnia.

Rozdział 26

Przed domem Coldrenów stały cztery wozy policyjne. Myron podszedł do drzwi i zapukał. Otworzyła mu nieznajoma Murzynka około pięćdziesiątki, w dobrze skrojonym kostiumie.

Obrzuciła spojrzeniem jego baseballówkę.

– Ładna czapka – powiedziała bez śladu ironii. – Proszę wejść.

Jej kawowa cera była chropawa i podniszczona, a senny wyraz twarzy i półprzymknięte oczy sprawiały, że wyglądała na wiecznie znudzoną.

– Victoria Wilson – przedstawiła się.

– Myron Bolitar.

– Wiem.

Głos też miała znudzony.

– W domu jest ktoś jeszcze?

– Tylko Linda.

– Mogę się z nią zobaczyć?

Victoria Wilson wolno skinęła głową. Prawie się spodziewał, że stłumi ziewnięcie.

– Przedtem porozmawiajmy – zaproponowała.

– Pani jest z policji? – spytał.

– Przeciwnie. Jestem adwokatką pani Coldren.

– Co za tempo.

– Powiem wprost – odparła zrezygnowanym tonem kelnerki, recytującej klientowi dania dnia pod koniec podwójnej zmiany. – Policja sądzi, że pani Coldren zabiła męża. Podejrzewają, że i pan maczał w tym palce.

– Żartuje pani.

– Wyglądam na kawalarkę, panie Bolitar? – spytała z tą samą senną miną.

Pytanie było retoryczne.

– Linda nie ma dobrego alibi na zeszłą noc – dodała wypranym z emocji tonem. – A pan?

– Nie bardzo.

– Wobec tego przekażę panu, co wie policja. – Victoria Wilson podniosła obojętną rzeczowość do poziomu sztuki. – Po pierwsze – w uniesienie palca włożyła ogromny wysiłek – mają świadka, dozorcę, który widział, jak Jack Coldren wchodzi na teren klubu około pierwszej w nocy. Ten sam świadek widział, jak pół godziny później wchodzi tam Linda Coldren. Według niego wkrótce potem Linda opuściła Merion. Jacka już nie zobaczył.

– To nie znaczy...

– Po drugie – uciszyła Myrona Victoria, unosząc drugi palec – policji doniesiono, że około drugiej w nocy pański samochód stał na Golf House Road. Zechcą usłyszeć, dlaczego parkował pan w tak dziwnym miejscu o tak dziwnej porze.

– Skąd pani to wszystko wie?

– Mam odpowiednie koneksje – odparła ze znudzoną miną. – Mogę kontynuować?

– Proszę.

– Po trzecie – uniosła następny palec – Jack Coldren odwiedzał adwokata od rozwodów. Ściślej, zamierzał złożyć pozew.

– Linda wiedziała o tym?

– Nie. Ale jeden z jego zarzutów dotyczył jej niedawnej zdrady.

Myron przyłożył dłoń do piersi.

– Niech pani na mnie nie patrzy – powiedział.

– Panie Bolitar.

– Słucham?

– Ja tylko stwierdzam fakty. Byłabym wdzięczna, gdyby pan mi nie przerywał. Po czwarte – uniosła najmniejszy palec – w sobotę na turnieju golfa w Merion kilku świadków oceniło, że jest pan w nader dobrej komitywie z panią Coldren.

Zaczął, lecz Victoria Wilson opuściła rękę i nie pokazała kciuka.

– To wszystko? – spytał.

– To wszystko, co musimy teraz omówić.

– Lindę poznałem w piątek.

– Ma pan na to dowód?

– Poświadczy to Bucky. Przedstawił nas sobie. Victoria głęboko westchnęła.

– Ojciec Lindy. Co za idealny, bezstronny świadek.

– Mieszkam w Nowym Jorku.

– Niecałe dwie godziny pociągiem od Filadelfii. Proszę dalej.

– Mam dziewczynę. Mieszkam z nią. To Jessica Culver.

– A to ci wyznanie. Mężczyźni przecież nigdy nie zdradzają kobiet.

Pokręcił głową.

– Sugeruje pani...

– Niczego nie sugeruję – weszła mu w słowo monotonnym głosem. – Przekazuję tylko, co sądzi policja. A sądzi, że Linda zabiła Jacka. Dom jest otoczony przez tylu policjantów, bo chcą mieć pewność, że nie usuniemy stąd niczego przed wydaniem nakazu rewizji. Dali jasno do zrozumienia, że w tej sprawie nie będzie żadnych Kardashianów.

Kardashian. Nazwisko ze sprawy OJ. Simpsona. Człowiek, który na zawsze odmienił leksykon prawa.

– Ale... – Myron urwał. – Przecież to niedorzeczne. Gdzie jest Linda?

– Na górze. Powiedziałam policji, że w tej chwili jest zbyt przygnębiona, żeby z nimi rozmawiać.

– Pani nic nie rozumie. Jak w ogóle można ją podejrzewać? Sama pani zobaczy, gdy wszystko pani opowie.

Victoria Wilson o mały włos nie ziewnęła.

– Wszystko mi powiedziała – odparła.

– Nawet o...

– Porwaniu – dokończyła za niego.

– Czy to oczyszcza ją poniekąd z podejrzeń?

– Nie.

Myron zmieszał się.

– Policja wie o porwaniu Chada? – spytał.

– Skądże. Na razie o tym milczymy. Skrzywił się.

– Ale przecież jeżeli się dowiedzą, że Linda nie ma nic wspólnego z morderstwem, skupią się na nim.

Victoria Wilson odwróciła się.

– Wejźmy na górę – zaproponowała.

– Pani się z tym nie zgadza?

Nie raczyła odpowiedzieć. Zaczęli wchodzić po schodach.

– Jest pan prawnikiem.

– Nie praktykuję w zawodzie – odparł, choć jej słowa nie zabrzmiały jak pytanie.

– Ale przyjęto pana do palestry.

– W Nowym Jorku.

– To dobrze. Chcę, żeby pan był drugim adwokatem w tej sprawie. Zaraz załatwię panu pozwolenie.

– Nie zajmuję się prawem karnym.

– To bez znaczenia. Będzie pan adwokatem posiłkowym pani Coldren.

Myron skinął głową.

– W związku z czym nie będę mógł zeznawać. Bo wszystko, co usłyszę, staje się poufne.

– Jest pan inteligentny – skomplementowała go znudzonym tonem, zatrzymała się przy drzwiach i oparła o ścianę. – Niech pan wejdzie. Zaczekam tutaj.

Zapukał. Linda Coldren zaprosiła go do środka. Otworzył drzwi. Stała przy oknie w głębi, patrząc na podwórze.

– Lindo?

Nie odwróciła się.

– Mam zły tydzień, Myron.

Zaśmiała się niewesoło.

– Dobrze się czujesz?

– Ja? Nigdy nie czułam się lepiej. Dzięki, że pytasz.

Podszedł do niej, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Czy porywacze zadzwonili w sprawie okupu? – spytał.

– Wczoraj wieczorem. Rozmawiał z nimi Jack.

– Co powiedzieli?

– Nie wiem. Wypadł z domu zaraz po ich telefonie. Nic nie powiedział.

Myron spróbował wyobrazić sobie tę scenę. Dzwoni telefon. Jack odbiera go i wybiega z domu bez słowa. Brakło w tym logiki.

– Odezwali się znowu?

– Jeszcze nie.

Nie patrzyła na niego, ale skinął głową.

– Co zrobiłaś?

– Co zrobiłaś? – powtórzyła

– W nocy. Po tym, jak Jack wypadł z domu.

Linda Coldren splotła ręce na piersi.

– Odczekałam kilka minut, aż ochłonie. Ponieważ nie wracał, poszłam go szukać.

– Do Merion.

– Tak. Lubił się tam przechadzać. Rozmyślać w samotności.

– Widziałaś go tam?

– Nie. Rozejrzałam się. Po jakimś czasie wróciłam. I wpadłam na ciebie.

– Jack nie wrócił.

Stojąc plecami do niego, pokręciła przecząco głową.

– Co cię tu sprowadziło, Myron? – spytała. – Trup w tym kamienistym dole?

– Chęć pomocy.

Obróciła się w jego stronę. Mimo czerwonych oczu i ściągniętej twarzy, była niewiarygodnie piękna.

– Muszę się przed kimś wywnętrzyć. – Wzruszyła ramionami, spróbowała się uśmiechnąć. – A ty jesteś pod ręką.

Myron zapragnął podejść bliżej, lecz się powstrzymał.

– Byłaś całą noc na nogach? – spytał. Skinęła głową.

– Stałam tu, czekając na powrót Jacka. Gdy do drzwi zapukała policja, pomyślałam, że chodzi o Chada. Pewnie zabrzmi to strasznie, ale kiedy powiedzieli o Jacku, niemal mi ulżyło.

Zadzwonił telefon.

Obróciła się z prędkością zdolną stworzyć tunel aerodynamiczny. Wymienili spojrzenia.

– Pewnie media – wysunął domysł. Pokręciła głową.

– Na ten numer nie zadzwonią.

Nacisnęła guzik zapalający diodę i podniosła słuchawkę.

– Halo.

Kiedy usłyszała głos, zachłysnęła się powietrzem i zdusiła okrzyk. Jej dłoń pofrunęła do ust. Z oczu puściły się łzy. Do sypialni przez raptownie otwarte drzwi wpadła, niczym niedźwiedzica wyrwana z mocnej drzemki, Victoria Wilson.

Linda spojrzała na nich.

– To Chad – powiedziała. – Uwolnili go.

Rozdział 27

Victoria Wilson wzięła sprawę w swoje ręce.

– Pojedziemy po niego – oświadczyła. – A ty się z nim nie rozłączaj.

– Ale ja chcę... – zaprotestowała Linda, kręcąc głową.

– Zaufaj mi, kochanie. Jeśli pojedziesz, ruszy za tobą cała policja i reporterzy. Ja i Myron w razie czego zgubimy ich. Policja nie może przesłuchać twojego syna przede mną. Zostań tu. Nic im nie mów. Jeżeli przedstawią ci nakaz, to ich wpuść, tylko nie mów ani słowa. Żeby nie wiem co. Rozumiesz?

Linda skinęła głową

– Gdzie on jest?

– Na Porter Street.

– Dobrze, przekaż mu, że ciocia Victoria już jedzie. Zajmiemy się nim.

Linda chwyciła ją za rękę z błagalną miną.

– Przywieziecie go tu?

– Nie od razu, kochanie. – Victoria zachowała rzeczowy ton. – Nie dopuszczę, żeby zobaczyła go policja. Zaczęłyby się pytania. Niedługo go zobaczysz.

Odwróciła się. Z tą kobietą nie było dyskusji.

– Jak pani poznała Lindę? – spytał w samochodzie Myron.

– Moi rodzice służyli u Buckwellów i Lockwoodów – odparła. – Wychowałam się w ich rezydencjach.

– A po drodze skończyła pani studia prawnicze?

– Píše pan moją biografię?

Victoria zmarszczyła brwi.

– Tylko pytam.

– Dlaczego? Zaskakuje pana, że czarna kobieta w średnim wieku jest adwokatką bogatej białej?

– Szczerze? Tak.

– Nie dziwię się panu. Ale nie czas na zwierzenia. Ma pan jakieś ważne pytania?

– Owszem. – Myron prowadził. – Co pani przede mną zataja?

– Nic, co musiałby pan wiedzieć.

– Jestem adwokatem posiłkowym w sprawie. Muszę wiedzieć wszystko.

– Później. Skupmy się na chłopcu – osadziła go monotonnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Czy na pewno postępujemy właściwie, nie mówiąc policji o porwaniu?

– Zawsze możemy zrobić to później – odparła. – Większość obrońców robi błąd, sądząc, że od razu należy powiedzieć wszystko. To niebezpieczne. Na rozmowy przyjdzie czas.

– Nie byłbym taki pewien.

– Wie pan co? W przypadku wymagających fachowości rozmów w sprawie reklamy butów sportowych zdamy się na pana. A dopóki to jest sprawa kryminalna, decyzje proszę zostawić mnie, zgoda?

– Policja chce mnie przesłuchać.

– Nic pan im nie powie. To pańskie prawo. Nie musi pan mówić im ani słowa.

– Chyba że wręczą mi wezwanie do złożenia zeznań.

– Nawet wtedy. Jest pan adwokatem Lindy Coldren.

Myron pokręcił głową.

– Dotyczy to tylko tego, co usłyszałem po pani prośbie, żebym został adwokatem posiłkowym. Mogą mnie spytać o wszystko, co zdarzyło się wcześniej.

– Nie mogą. – Victoria Wilson westchnęła strapiona. – Prosząc pana o pomoc, Linda Coldren wiedziała, że jest pan adwokatem. Dlatego wszystko, co pan od niej usłyszał, podlega prawu o tajemnicy adwokackiej.

– Dość naciągana interpretacja. Myron, chcąc nie chcąc, uśmiechnął się.

– Ale prawdziwa. Poczuł na sobie jej oczy.

– Niezależnie od pańskich chęci, w myśl prawa i etyki zawodowej nie wolno panu z nikim rozmawiać.

Ta baba była naprawdę dobra.

Przyśpieszył. Nikt ich nie śledził. Reporterzy i policja zostali pod domem Coldrenów. O morderstwie trąbiło radio. Spiker wciąż powtarzał dwuzdaniowe oświadczenie Lindy: „Wszystkich nas zasmuciła ta tragedia. Pozwólcie nam cierpieć w spokoju”.

– To pani przekazała to oświadczenie? – spytał Myron.

– Nie. Ona, zanim tam dotarłam.

– Dlaczego to zrobiła?

– Sądziła, że media się od niej odczepią. Ma za swoje. Wjechali na Porter Street. Myron przesunął wzrokiem po chodnikach.

– Tam – wskazała Victoria Wilson.

Zobaczył go. Chad Coldren przycupnął na ziemi. W dłoni wciąż ścisnął telefon, ale nie rozmawiał. Jego drugą dłoń spowijał gruby bandaż. Myrona lekko zemdliło. Nacisnął pedał gazu. Samochód wyrwał do przodu. Podjechali do chłopca. Chad patrzył wprost przed siebie.

Obojętna twarz Victorii Wilson wreszcie nieco złagodniała.

– Ja to załatwię – oświadczyła.

Wysiadła z samochodu, podeszła do chłopca, pochyliła się, wzięła go w ramiona, wyjęła mu z rąk komórkę, powiedziała coś do niej i się rozłączyła. Głaszcząc Chada po głowie i szepcząc słowa pociechy, pomogła mu wstać. Usiedli z tyłu. Chłopiec oparł o nią głowę. Kojąc go uspokajającymi dźwiękami, Victoria dała znak Myronowi. Ruszył.

Podczas jazdy Chad się nie odezwał. Nikt go o to nie prosił. Victoria wskazała Myronowi drogę do jej kancelarii w Bryn Mawr. W tym samym budynku miał również gabinet stary przyjaciel Coldrenów, lekarz ich rodziny, siwowłosey doktor Henry Lane. Odwinął bandaż z dłoni Chada i zbałdał chłopca. Myron i Victoria czekali w drugim pokoju. Victoria czytała magazyn. Myron chodził.

– Powinniśmy zawieźć go do szpitala – powiedział.

– To zależy od decyzji doktora Lane’a. Victoria ziewnęła i przewróciła kartkę.

Myron spróbował uporządkować wypadki. W zamęcie wywołanym oskarżeniami policji i szczęśliwym powrotem Chada niemal zapomniał o Jacku Coldrenie. Jack nie żył. Bardzo trudno to było pojąć. Nie umknęła mu jednak ironia losu: oto golfista, mający wreszcie szansę odkuć się za dawne niepowodzenia, ginie na tej samej pechowej przeszkodzie terenowej, która przed dwudziestoma trzema laty diametralnie odmieniła jego życie.

W drzwiach pojawił się doktor Lane, prezentujący się tak, jak powinien wyglądać idealny lekarz – czyli jak serialowy doktor Marcus Wilby, tyle że bez rzadziejających włosów nad czołem.

– Chad ma się lepiej. Mówi. Ożywił się – oznajmił.

– Co z jego ręką? – spytał Myron.

– Musi ją zbadać specjalista. Na szczęście nie ma żadnej infekcji.

– Chciałabym z nim porozmawiać. Victoria Wilson wstała. Lane skinął głową.

– Doradzam ci delikatność, Victorio, choć wiem, że ty nigdy nie słuchasz.

Usta jej drgnęły. Co prawda nie w uśmiechu, niemniej była to oznaka życia.

– Musisz tu zostać, Henry – odparła. – Policja zechce cię zapytać, co słyszałeś.

– Rozumiem.

Doktor skinął głową. Victoria spojrzała na Myrona.

– Mówić będę ja.

– Dobrze.

Kiedy weszli do gabinetu, Chad wpatrywał się w zabandażowaną dłoń takim wzrokiem, jakby oczekiwał, że odcięty palec odrośnie.

– Chad?

Chłopak wolno podniósł wzrok. W jego oczach lśniły łzy. Myron przypomniał sobie słowa Lindy o miłości Chada do golfa. Jeszcze jedno marzenie legło w gruzach. Biedak nie miał pojęcia, że stał się mu pokrewnym duchem.

– Kim pan jest? – spytał Chad.

– To przyjaciel – odparła Victoria Wilson. Do niego też zwracała się całkiem obojętnym tonem. – Nazywa się Myron Bolitar.

– Chcę zobaczyć rodziców, ciociu Vee. Usiadła naprzeciwko niego.

– Dużo się wydarzyło, Chad. Nie chcę teraz o tym wszystkim mówić. Musisz mi zaufać, zgoda?

Chad skinął głową.

– Opowiedz mi, co się z tobą działo. Wszystko. Od początku.

– Jakiś człowiek porwał mnie wraz z samochodem.

– Jeden człowiek?

– Tak.

– Mów. Co się stało?

– Stałem na świetle. Otworzył drzwiczki od strony pasażera i wsiadł. Na głowie miał kominiarękę, wycelował mi pistolet w twarz. Kazał jechać.

– Jaki to był dzień?

– Czwartek.

– Gdzie nocowałeś w środę?

– W domu mojego kolegi Matta.

– Matthew Squiresa?

– Tak.

– Dobrze. A gdzie ten mężczyzna wsiadł do twojego samochodu? – spytała Victoria Wilson, nie spuszczać oczu z twarzy chłopca.

– Kilka przecznic od szkoły.

– Nastąpiło przed zajęciami czy po zajęciach w letniej szkole?

– Po. Jechałem do domu.

Myron milczał. Zastanawiał się, dlaczego chłopak kłamie.

– Dokąd dojechałeś z tym człowiekiem?

– Kazał mi zatoczyć kółko. Wjechaliśmy na parking. Tam założył mi coś na głowę. Worek lub coś takiego. Kazał mi położyć się na plecach i ruszył. Nie wiem, dokąd mnie zawiózł. Nic nie widziałem. Znalazłem się w jakimś pokoju. Cały czas trzymał mnie w worku na głowie, żebym nic nie widział.

– Nie widziałeś jego twarzy?

– Nie.

– Jesteś pewien, że to mężczyzna? Nie kobieta?

– Mężczyzna. Kilka razy słyszałem jego głos. W każdym razie jedna z tych osób na pewno.

– Było ich więcej? Chad skinął głową.

– W dniu, kiedy to zrobił... – Uniósł obandażowaną dłoń. Z twarzą pozbawioną wyrazu patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Na głowie miałem ten worek. Ręce skute z tyłu kajdankami. – Głos mu zobojętniał jak głos Victorii. – Worek strasznie drapał. Pocierałem policzek ramieniem, żeby sobie ulżyć. Tamten wszedł, rozpiął kajdanki, chwycił moją rękę i ułożył ją płasko na stole. Nic nie mówił. Nie ostrzegł mnie. Wszystko trwało niecałe dziesięć sekund. Po prostu położył ją na stole. Nic nie widziałem. Nagle usłyszałem stuk i poczułem się jakoś dziwnie. Z początku

nawet nie bolało. Nie wiedziałem, co się stało. Po chwili poczułem mokre ciepło. Krew. Ból przyszedł kilka sekund później. Zemdlałem. Kiedy się ocknąłem, dłoń miałem zabandażowaną. Strasznie pulsowała. Na głowie znów miałem worek. Ktoś wszedł. Dał mi jakieś proszki. Trochę złagodziły ból. A potem usłyszałem głosy. Dwa. Chyba się kłócili.

Chad Coldren zamilkł, jakby zabrakło mu tchu. Myron obserwował Victorię. Nie podeszła do chłopca, żeby go pocieszyć.

– Męskie głosy?

– Właściwie to jeden brzmiał jak głos kobiety. Ale nie mam pewności. Byłem za daleko.

Chad spojrział na bandaż. Poruszył palcami. Próbował je.

– Co zdarzyło się potem, Chad?

Chłopak wciąż wpatrywał się w bandaż.

– Niewiele, ciociu Vee. Trzymali mnie kilka dni, nie wiem ile. Karmili głównie pizzą i wodą mineralną. Któregoś dnia przyszli z telefonem. Zmusili, żebym zadzwonił do Merion i poprosił tatę.

Telefon w sprawie okupu, pomyślał Myron. Drugi telefon porywacza.

– Zmusili mnie też, żebym krzyknął.

– Żebyś krzyknął?

– Wszedł tamten i kazał krzyknąć, tak przeraźliwie. Zagroził, że jeżeli nie krzyknę, zmusi mnie do krzyku. Próbowałem przez jakieś dziesięć minut. Wreszcie go zadowolilem.

Krzyk odtworzony przez telefon w galerii handlowej, pomyślał Myron. Tito zażądał wtedy stu tysięcy.

– To wszystko, ciociu Vee.

– Jak uciekłeś? – spytała Victoria.

– Nie uciekłem. Wypuścili mnie. Ktoś zaprowadził mnie do samochodu. Na głowie wciąż miałem worek. Podjechaliśmy kawałek. Samochód stanął. Kierowca otworzył drzwiczki i wypchnął mnie. Byłem wolny.

Victoria spojrzała na Myrona i wolno skinęła głową. Uznał to za sygnał.

– Kłamie – powiedział.

– Co?! – zachnął się chłopak.

– Kłamiesz, Chad – powtórzył Myron. – Co gorsza, policja się na tym pozna.

– O czym pan mówi? – Chad poszukał oczami Victorii. – Kim jest ten człowiek?

– W czwartek o szóstej osiemnaście po południu na Porter Street użyłeś swojej karty bankomatowej.

Chad zrobił duże oczy.

– Nie ja. To ten palant, który mnie porwał. Zabrał mi portfel...

– Wszystko jest nagrane na taśmie, Chad. Chłopak otworzył bezgłośnie usta.

– Zmusili mnie – rzekł wreszcie słabym głosem.

– Ja widziałem tę taśmę, Chad. Uśmiechałeś się promiennie. Nie byłeś sam. A poza tym spędziłeś tamtą noc w obskurnym motelu w pobliżu bankomatów. Chłopak zwiesił głowę.

– Chad? – wtrąciła wyraźnie niezadowolona Victoria. – Spójrz na mnie.

Chad wolno podniósł oczy.

– Dlaczego kłamiesz?

– To nie ma nic wspólnego z tym, co się stało, ciociu Vee.

– Mów mi zaraz, jak było – ostrzegła z nieustępliwą miną. Chad znów spuścił wzrok na zabandażowaną dłoń.

– Było tak, jak powiedziałem... z tym, że ten człowiek nie dopadł mnie w samochodzie. Zapukał do mojego pokoju w motelu. Wszedł z bronią. Reszta jest prawdziwa.

– Kiedy to było?

– W piątek rano.

- Dlaczego mi skłamałeś?
- Obiecałem. Nie chciałem jej w to mieszać.
- Kogo? – spytała.
- Nie wiesz? – spytał zaskoczony Chad.
- Tę taśmę mam ja. Nie pokazałem jej jeszcze pani Wilson – zablefował Myron.
- Ciociu Vee, nie mieszaj jej w to. Proszę. To by ją naprawdę zraniło.
- Posłuchaj, kochanie. Bardzo miło, że bronisz swojej dziewczyny, ale nie czas na to. Chad przeniósł wzrok z Myrona na Victorię.
- Chcę się zobaczyć z mamą – powiedział.
- Zobaczysz się z nią, kochanie. Niedługo. Najpierw jednak opowiesz mi o tej dziewczynie.
- Obiecałem, że jej w to nie wmieszam.
- Jeżeli będę mogła, utrzymam jej nazwisko w tajemnicy.
- Nie mogę, ciociu Vee.

– Nie szkodzi, Victorio – wtrącił się Myron. – Jeżeli nic nie powie, obejrzy pani tę taśmę. A potem porozmawiamy z dziewczyną. Choć być może wcześniej dotrze do niej policja. Na pewno zdobędą to nagranie i nie przejmą się jej uczuciami.

– Nie rozumiecie. – Chad przeniósł wzrok z Victorii na Myrona i z powrotem. – Obiecałem. Ona może mieć przez to duże przykrości.

– W razie czego porozmawiamy z jej rodzicami – przyrzekła Victoria. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

– Z jej rodzicami? – zdumiał się Chad. – Ja nie martwię się o jej rodziców. Jest na tyle dorosła...

Zawiesił głos.

– Z kim tam byłeś, Chad?

– Przysiągłem, że nic nie powiem, ciociu Vee.

– Trudno – wtrącił Myron. – Nie marnujmy czasu, Victorio. Niech wytropi ją policja.

– Nie! – Chad spuścił oczy. – Ona nie ma z tym nic wspólnego. Byliśmy razem. Wyszła na chwilę i właśnie wtedy mnie złapali. Nie jej wina.

Victoria poprawiła się na krześle.

– Kogo, Chad? – spytała wolno, z niechęcią, lecz bardzo wyraźnie.

– Nazywa się Esme Fong. Pracuje dla firmy Zoom.

Rozdział 28

Wszystko zaczęło nabierać groźnego sensu.

Nie czekając na zgodę Victorii, Myron wypadł z gabinetu i pomknął korytarzem. Nadszedł czas rozmówić się z Esme.

W jego głowie szybko zaczęła się kłuć hipoteza. Negocjując kontrakt Zoomu z Lindą Coldren, Esme Fong poznaje jej syna. Uwodzi go. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Może sprawia jej to frajdę. Nieważne.

W każdym razie w środę Chad nocuje u swojego kolegi Matthew. W czwartek spotyka się z Esme na romantycznej schadzce w Zajeździe Dworskim. Biorą trochę gotówki z bankomatu. Dobrze się bawią. I tu robi się ciekawie.

Esme Fong załatwia nie tylko kontrakt reklamowy z Lindą Coldren, ale pozyskuje cudowne dziecko golfa, Tada Crispina. Tad spisuje się świetnie w debiucie w Otwartych Mistrzostwach Stanów. Po pierwszej rundzie jest na drugim miejscu. Niesamowite. Wspaniała reklama. Jeśli jednak uda mu się zwyciężyć – jeżeli zniweluje ogromną przewagę weterana – zapewni to firmie Zoom iscie atomową promocję w świecie golfa. Wartą miliony.

Miliony!

I oto w ręce Esme wpada syn lidera turnieju.

Co robi z tym darem losu ambitna panna Fong? Wynajmuje Tita, żeby porwał chłopca. Nic trudnego. Chce maksymalnie zdekoncentrować Jacka. Wytrącić go z uderzenia. Najłatwiej to osiągnąć, porywając mu syna.

Rozumowanie trzymało się kupy.

Myron zajął się więc trudniejszymi elementami zagadki. Przede wszystkim nagle nabrała sensu długa zwłoka w zażądaniu okupu. Pierwsze telefony od porywacza są dziwne, ponieważ nieznająca się na porwaniach Esme Fong, nie chcąc komplikować sobie życia, nie domaga się pieniędzy. Zapomina zażądać okupu. Sprawa druga: rozmowa, w której Tito wspomniał o „zółtej dziwce”. Skąd wiedział, że Esme jest u Coldrenów? To proste. Sama powiedziała mu, kiedy tam będzie. Cel: przerazić ich i przekonać, że są obserwowani.

Zgadzało się? Jasne. Wszystko poszło zgodnie z jej planem. Prócz jednego.

Jack dalej grał dobrze.

Podczas kolejnej rundy utrzymał zdecydowane prowadzenie. Porwanie syna zapewne go przygnębiło, ale nie wytrąciło z równowagi. Jego przewaga pozostała ogromna. Trzeba było sięgnąć po drastyczne środki.

Myron wsiadł do windy zjeżdżającej na parter. Zastanawiał się, jak to się odbyło. Wymyślił to Tito? Czy dlatego Chad usłyszał odgłosy kłótni? W każdym razie jedno z nich uznało, że należy zrobić coś, co wybije Jacka z uderzenia.

Uciąć Chadowi palec.

Bez względu na to, w czyjej głowie powstał ów pomysł – jej czy Tita – Esme Fong z niego skorzystała. Wiedziała, jak wygląda samochód Lindy. Miała kluczyki. A ileż to roboty: otworzyć drzwiczki i rzucić kopertę na siedzenie. Nic trudnego. Żadnych podejrzeń. Kto zwróciłby uwagę na atrakcyjną, dobrze ubraną kobietę, otwierającą auto?

Odcięty palec poskutkował. Jack zaczął grać fatalnie. Tad Crispin błyskawicznie odrobił straty. Esme niczego więcej nie pragnęła. Niestety, Jack skrył w zanadrzu jeszcze jeden trik. Zdobył się na wspaniały strzał do osiemnastego dołka i wyrównał. Dla Esme to był koszmar. Nie mogła dopuścić do przegranej Tada w dogrywce z Jackiem, skończonym nieudacznikiem.

Straty okazałyby się katastrofalne.

Liczone w milionach. Być może niweczące całą jej kampanię reklamową.

Pasowało to do siebie i miało luz.

Czyż nie słyszał na własne uszy, jak Esme wyrażała takie obawy w rozmowie z Normem Zuckermanem? Czyż nie stał tuż obok, kiedy porównała taką możliwość do bankructwa Buffalo Billa? Czy trudno uwierzyć w to, że w sytuacji bez wyjścia posunęła się do ostateczności? Że zeszłej nocy zadzwoniła do Jacka i umówiła się z nim na polu golfowym? Że wymogła na nim, żeby przyszedł tam natychmiast, sam, jeśli chce zobaczyć syna żywego?

Bum! Trafiony!

A ponieważ po śmierci Jacka Coldrena przetrzymywanie chłopca straciło sens, więc go wypuściła.

Drzwi windy się otworzyły. Myron wysiadł. Owszem, w swojej hipotezie widział luki, ale sądził, że po konfrontacji z Esme zdoła je załatać. Pchnął szklane drzwi i skierował się na pobliski postój taksówek. W pół drogi do nich osadził go w miejscu głos.

– Myron?

Poczuł zimne ukłucie w sercu. Słyszał ten głos tylko raz w życiu. Dziesięć lat temu. W Merion.

Rozdział 29

Zamarł.

– Widzę, że poznał pan Victorię – powiedziała Cissy Lockwood.

Spróbował skinąć głową, ale mu nie wyszło.

– Zadzwoiłam do niej tuż po tym, jak Bucky zawiadomił mnie o morderstwie. Wiedziałam, że pomoże. Nie znam lepszej prawniczki. Proszę spytać Wina.

Myron znów spróbował skinąć głową. Tym razem udało mu się lekko nią poruszyć.

Matka Wina podeszła bliżej.

– Moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? – spytała.

– To nie najlepszy moment, pani Lockwood.

– Wiem, oczywiście. Ale nie zajmę panu dużo czasu.

– Naprawdę muszę jechać.

Była piękną kobietą. Z popielatymi włosami przyprószonymi siwizną i tą samą królewską postawą, co jej bratanica Linda. To po niej Win odziedziczył porcelanową cerę. Byli niesamowicie podobni do siebie.

Wpatrując się w niego, pani Lockwood zrobiła jeszcze jeden krok. Ubrana w dość dziwny strój – męską, za dużą koszulę, wyłożoną na wygodne elastyczne spodnie – przypominała Annie Hall na zakupach w sklepie dla kobiet w ciąży. Nie tego się po niej spodziewał, lecz w tej chwili miał poważniejsze zmartwienia niż damska moda.

– Chodzi o Wina – wyjaśniła.

– To nie moja sprawa.

– Owszem. Co nie zwalnia pana od odpowiedzialności, prawda? Jesteście przyjaciółmi. Mam szczęście, że mój syn ma przyjaciela, który lubi go tak jak pan.

Myron milczał.

– Sporo o panu wiem, Myronie. Moi prywatni detektywi przez lata mieli Wina na oku. To mnie do niego zbliżało. Naturalnie o wszystkim wiedział. Nic nie mówił, ale przed nim nie da się ukryć czegoś takiego, prawda?

– Nie da – potwierdził Myron.

– Zatrzymał się pan w rezydencji. W domku gościnnym.

Myron skinął głową.

– Nie pierwszy raz.

Ponownie skinął głową.

– Widział pan stajnię?

– Tylko z daleka.

Uśmiechnęła się uśmiechem Wina.

– Nigdy nie był pan w środku?

– Nie.

– To mnie nie dziwi. Win przestał jeździć konno. Kiedyś kochał konie. Nawet bardziej niż golf.

– Pani Lockwood...

– Proszę mi mówić Cissy.

– Słuchanie tego mnie krępuje.

Jej spojrzenie nieco stwardniało.

– A mnie krępuje mówienie o tym. Niestety, nie mam wyjścia.

– Win wolałby, żebym tego nie słyszał.

– Trudno, Win nie zawsze może mieć, co chce. Powinna nauczyć się tej prawdy dawno temu. Nie chciał mnie widywać w dzieciństwie, więc nie nalegałam, posłuszna fachowcom, którzy

twierdzili, że mój syn w końcu się zmieni, a zmuszanie go, żeby się ze mną widywał, przyniesie jedynie odwrotne skutki. Nie znali Wina. Kiedy przestałam ich słuchać, było za późno. Nie miało to chyba większego znaczenia. Wątpię, czy zignorowanie ich rad cokolwiek by dało.

Myron milczał.

Stała przed nim dumna, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową na smukłej szyi. Ale coś się z nią działo. Cały czas zginała palce, jakby walczyła z pokusą, by zacisnąć dłonie. Ścisnęło go w żołądku. Przeczuwał, co zaraz nastąpi, i nie wiedział, jak się powinien zachować.

– To prosta historia – zaczęła niemal rzewnym tonem. Nie patrzyła na niego, tylko gdzieś ponad jego ramieniem.

Nie wiedział, co ona tam widzi.

– Win miał wtedy osiem lat. Ja dwadzieścia siedem. Młodo wyszłam za męża. Nigdy nie studiowałam. Zresztą nie dano mi wyboru. O wszystkim decydował za mnie ojciec. Miałam tylko jedną przyjaciółkę, jedyną osobę, której mogłam ufać. Victorię. Jest moją najlepszą przyjaciółką do dziś, kimś takim, jak pan dla Wina.

Cissy Lockwood skrzywiła się. Zamknęła oczy.

– Pani Lockwood?

Potrząsnęła głową. Powoli otworzyła oczy.

– Odbiegam od tematu – powiedziała, łapiąc oddech. – Przepraszam. Nie zamierzam streszczać panu swego życia, lecz przedstawić tylko jeden jego epizod. Przedstawić go wprost.

Wzięła głęboki oddech. Potem drugi.

– Jack Coldren poinformował mnie, że zabiera Wina na lekcję golfa. Nie zabrał. A może skończyli znacznie wcześniej, niż się spodziewałam. W każdym razie nie było go z Winem. Z Winem był ojciec. Z jakiegoś powodu Win i jego ojciec zaszli do stajni. Byłam tam. Nie sama. A konkretnie z instruktorem, który uczył Wina jeździć konno.

Urwała. Myron czekał.

– Mam tłumaczyć, co się stało?

Pokręcił przecząco głową.

– Żadne dziecko nie powinno widzieć tego, co wtedy zobaczył Win. A co gorsza, na pewno nie miny własnego ojca.

Myrona zaszczypały oczy.

– Na tym oczywiście się nie skończyło. Nie chcę wchodzić w szczegóły. W każdym razie Win się więcej do mnie nie odezwał. Nigdy również nie wybaczył ojcu. Tak, własnemu ojcu. Myśli pan, że nienawidzi tylko mnie, a kocha Windsora Drugiego. Nieprawda. Jego też obwinia. Uważa, że jest słaby, bo do tego dopuścił. Kompletna bzdura, ale co poradzić.

Myron potrząsnął głową. Nie chciał tego dłużej słuchać. Pragnął uciec i odnaleźć Wina. Przytulić go, potrząsnąć nim, sprawić, żeby o tym zapomniał. Zauważył, z jaką zagubioną miną przyjaciel patrzył wczoraj rano na stajnie.

Mój Boże. Win.

– Dlaczego pani mi to wszystko mówi? – spytał nadszpiewanie ostrym tonem.

– Ponieważ umieram – odparła.

Oparł się bezwładnie o samochód. Znów poczuł, jak mu pęka serce.

– Jeszcze raz wyrażę się wprost – dodała nazbyt spokojnym głosem. – Nowotwór dotarł do wątroby. Ma jedenaste centymetrów. Od niesprawnych nerek i wątroby puchnie mi brzuch. – To wyjaśniało jej strój: za dużą koszulę wyłożoną na obszerne spodnie. – Zostały mi nie tyle miesiące, co tygodnie. A być może mniej.

– Są na to terapie – rzekł bez przekonania. – Zabiegi. Zbyła go, kręcąc głową.

– Nie jestem głupia. Nie mam złudzeń co do wzruszającego pogodzenia się z synem. Nie dojdzie do tego. Znam Wina. Ale martwi mnie jeszcze coś. Kiedy umrę, on nie wypłacie się z przeszłości. Już z nią zostanie. Nie wiem, co Win zrobi w tej sytuacji. Pewnie nic. Chcę jednak, żeby

wiedział, żeby zdecydował. To jego ostatnia szansa. Bardzo wątpię, czy z niej skorzysta. Choć powinien.

Po tych słowach odwróciła się i odeszła. Myron patrzył za nią. Gdy zniknęła mu z oczu, złapał taksówkę. Usiadł z tyłu.

– Dokąd, chłopie?

Podał taksówkarzowi adres Esmé Fong, rozsiadł się wygodnie i wpatrzył tępo w okno. W zamazane, ciche miasto przesuwał się za szybą.

Rozdział 30

Kiedy uznał, że nie zdradzi się tonem głosu, zadzwonił z komórki do Wina.

– Koszmarna sprawa z tym Jackiem – rzekł Win po krótkim przywitaniu.

– Podobno się przyjaźniliście.

Win odchrząknął.

– Myron?

– Co?

– O niczym nie masz pojęcia. Pamiętaj. Tak było.

– Zjemy dziś razem kolację?

– Oczywiście – odparł Win po chwili.

– W domu gościnnym. Wpół do siódmej.

– Dobrze.

Win rozłączył się. Myron spróbował o nim nie myśleć. Miał pilniejsze zmartwienia.

Esme Fong spacerowała po chodniku przed wejściem do hotelu Omni na rogu Chestnut Street i Czwartej Ulicy. Biały kostium, białe pończochy, zabójcze nogi. Nerwowo ścisnęła dłoń.

Myron wysiadł z taksówki.

– Dlaczego czeka pani tutaj? – spytał.

– Chciał pan ze mną porozmawiać w cztery oczy. Na górze jest Norm – wyjaśniła.

– Mieszkacie w jednym pokoju?

– Nie, w sąsiednich apartamentach.

Skinął głową. Randka w zaplutym motelu nabrała większego sensu.

– Za mało spokoju, co?

– Nie za wiele. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Ale nie szkodzi. Lubię Normę.

– Nie wątpię.

– O co chodzi, panie Bolitar?

– Słyszała pani o Jacku Coldrenie?

– Oczywiście. Norm i ja jesteśmy wstrząśnięci. Zszokowani.

Myron skinął głową.

– Przejdźmy się – zaproponował.

Ruszyli Czwartą Ulicą. Kusiło go, by pozostać na Chestnut Street, lecz musieliby minąć Independence Hall, co odrobinę za mocno trąciło mu banałem. Czwarta Ulica też datowała się z czasów kolonii. Mnóstwo cegieł. Ceglane chodniki, ceglane mury i identyczne ceglane budynki o nieoszacowanej wartości historycznej. Wzdłuż chodnika rosły jesiony amerykańskie. Skręcili do parku, w którym miał swoją siedzibę Drugi Bank Stanów Zjednoczonych. Na jego murze widniała tablica z wizerunkiem pierwszego prezesa. Jednego z przodków Wina. Myron nie dopatrzył się jednak podobieństwa między nimi.

– Próbowalam dodzwonić się do Lindy – powiedziała Esme. – Ale linia jest zajęta.

– A dzwoniła pani na numer Chada?

Coś przemknęło po jej twarzy i uciekło.

– Numer Chada?

– Ma w domu własny telefon. Przecież pani to wie.

– Niby skąd?

Wzruszył ramionami.

– Myślałem, że zna pani Chada.

– Znam – odparła wolno i czujnie. – Byłam w domu Coldrenów kilka razy.

– Mhm. A kiedy go pani ostatnio widziała? Dotknęła dłonią podbródka.

– Gdy odwiedziłam ich w piątek wieczorem, chyba go nie było – odparła wciąż bardzo powoli. – Doprawdy nie wiem. Pewnie parę tygodni temu.

Myron zabuczał.

– Zła odpowiedź

– Słucham?

– Nie rozumiem, Esme.

– Czego?

Nie przerwał marszu. Esme dotrzymywała mu kroku.

– Ma pani ile... dwadzieścia cztery lata?

– Dwadzieścia pięć.

– Jest pani inteligentna. Atrakcyjna. Odnosi sukcesy. Ale żeby z nastolatkiem... o co tu chodzi?

Zatrzymała się.

– O czym pan mówi?

– Nie wie pani?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Wwiercił się spojrzeniem w jej oczy.

– Pani. Chad Coldren. Zajazd Dworski. Wystarczy?

– Nie.

– No, wie pani!

Zrobił sceptyczną minę.

– Powiedział to panu Chad?

– Esme...

– Kłamie. Mój Boże, nie zna pan nastolatków? Jak pan mógł uwierzyć w takie bzdury?

– Są zdjęcia, Esme

Twarz jej zwiotczała.

– Co?!

– Zatrzymaliście się przy bankomacie w sąsiedztwie motelu, pamięta pani? Są tam kamery. Utrwaliły pani twarz.

Zablefował, i to bardzo udanie. Na krótko ugięły się pod nią nogi. Rozejrzała się, opadła na ławkę, odwróciła i spojrzała na opasany rusztowaniami budynek w stylu kolonialnym. Przyszło mu na myśl, że rusztowania psują efekt, jak włosy pod pachami pięknej kobiety. Niby nie powinno się to liczyć, a jednak się liczyło.

– Proszę nic nie mówić Normowi – powiedziała nieobecny głosem. – Proszę.

Myron milczał.

– Głupio zrobiłam. Wiem o tym. Ale nie zasłużyłam na utratę pracy.

Usiadł obok niej.

– Niech pani powie, co się stało.

– Z jakiej racji? – wbiła w niego wzrok. – Co panu do tego?

– Mam powody pytać.

– Jakie? – rzuciła ostrzejszym tonem. – Nie jestem z siebie dumna. Ale kto panu dał prawo mnie osądzać?

– Jak pani chce. Wobec tego zapytam Norma. Może on mi pomoże.

Otworzyła usta.

– Pomoże panu w czym? Nie rozumiem. Dlaczego pan mi to robi?

– Chcę kilku odpowiedzi. Nie mam czasu na wyjaśnienia.

– Co mam panu powiedzieć? Że głupio zrobiłam? Owszem, głupio. Że poczułam się samotna w miłym otoczeniu? Że ze strony tego ładnego, miłego, młodziutkiego chłopca nie groziły mi

żadne komplikacje uczuciowe ani to, że mnie czymś zarazi? To wszystko jednak niewiele zmienia. Popelniłam błąd. Żałuję, w porządku?

– Kiedy ostatni raz widziała pani Chada?

– Dlaczego pan znów o to pyta?

– Albo odpowie pani na pytanie, albo idę do Norma.

Przyjrzała mu się uważnie. Przybrał najbardziej nieprzeniknioną minę, zapożyczoną od supertwardych policjantów i inkasentów z rogatek na autostradzie New Jersey.

– W tym motelu – odparła po kilku sekundach.

– W Zajeździe Dworskim?

– Jak go zwał, tak zwał. Nie pamiętam nazwy.

– Kiedy to było?

Zastanawiała się chwilę.

– W piątek rano. Chad jeszcze spał.

– Od tamtej pory nie widziała go pani ani z nim nie rozmawiała?

– Nie.

– Nie planowała pani żadnych nowych schadzek? Zrobiła nieszczęśliwą minę.

– Nie, właściwie nie. Myślałam, że Chad chce się po prostu zabawić, ale gdy przyjechaliśmy na miejsce, stwierdziłam, że się we mnie zadurzył. Nie przewidziałam tego. Szczerze mnie to zaniepokoiło.

– A dokładnie?

– Że powie o nas matce. Wprawdzie przysięgł, że jej nie powie, lecz kto wie, jak by się zachował, gdybym go zraniła? Nie zadzwonił do mnie, więc mi ulżyło.

Myron nie doszukał się w jej twarzy i słowach żadnych kłamstw. Co nie znaczy, że nie kłamała. Esme zmieniła pozycję, krzyżując nogi.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego pan mnie o to wszystko pyta. – Zastanawiała się chwilę, a potem w jej oczach rozbłysła iskra. Usiadła prosto. – Czy to ma jakiś związek z zabójstwem Jacka?

Nie odpowiedział.

– Mój Boże! – Głos jej zadrżał. – Nie myśli pan chyba, że Chad ma z tym coś wspólnego.

Myron odczekał chwilę. Wóz albo przewóz, pomyślał.

– On nie – odparł. – Ale nie mam pewności co do pani. Na jej twarzy rozbiło biwak zmieszanie.

– Słucham?!

– Myślę, że pani go porwała.

Uniosła rękę.

– Czy pan oszalał?! Porwałam? To była wspólna decyzja. Całkowicie. Niech mi pan wierzy, palił się do tego. Zgoda, był młodociany. Ale czy myśli pan, że dowiozłam go do motelu pod lufą pistoletu?

– Nie o tym mówię.

Znowu się zmieszała.

– Więc o czym, do cholery?!

– Opuściła pani motel w piątek. Dokąd pani pojechała?

– Do Merion. Poznaliśmy się tam wieczorem, pamięta pan?

– A gdzie pani była zeszłej nocy?

– Tu.

– W swoim apartamencie?

– Tak.

– Od której?

– Od ósmej.

– Ktoś może to potwierdzić?

– A dlaczego ktoś miałby to potwierdzać? – odparowała z irytacją.

Przez jego nieprzeniknioną minę nie przedostałyby się nawet gazy. Esme westchnęła.

– Do północy siedziałam z Normem. Pracowaliśmy.

– A potem?

– Poszłam spać.

– Czy nocny portier potwierdzi, że nie opuściła pani swojego pokoju po północy?

– Myślę, że tak. Nazywa się Miguel. Jest bardzo miły. Miguel? Zadanie dla Esperanzy. Gdyby alibi Esme się potwierdziło, mógł wyrzucić swą zgrabną małą hipotezę do kosza.

– Kto jeszcze wiedział o pani i Chadzie Coldrenie?

– Nikt. Ja w każdym razie nie wspominałam nikomu.

– A Chad? Komuś powiedział?

– Wygląda na to, że panu – odparła uszczypliwie. – A może jeszcze komuś, nie wiem.

Myron pomyślał o czarnej postaci wychodzącej przez okno z sypialni Chada – Matthew Squiresie? – i przypomniał sobie młode lata. Gdyby udało mu się pójść do łóżka ze starszą kobietą wyglądającą jak Esme Fong, z ochotą by się komuś tym pochwalił, zwłaszcza najbliższemu przyjacielowi, w którego domu nocował w przeddzień schadzki.

Znów wszystko wróciło jak bumerang do młodego Squiresa.

– Gdzie panią w razie czego złapię? – spytał.

Sięgnęła do kieszeni i wyjęła wizytówkę.

– Na spodzie jest numer mojej komórki – powiedziała.

– Do widzenia, Esme.

– Myron?

Obrócił się ku niej.

– Powie pan Normowi?

Esme Fong najwyraźniej obawiała się tylko utraty dobrej opinii i pracy, a nie oskarżenia o morderstwo. A może chytrze mydliła mu oczy? Nie miał jak tego sprawdzić.

– Nie – odparł. – Nie powiem.

W każdym razie nie teraz, dodał w myślach.

Rozdział 31

Akademia Episkopalna. Macierzysta szkoła średnia Wina. Esperanza, która go tu przywiozła, stanęła po drugiej stronie ulicy i zgasła silnik.

– Co robimy? – spytała.

– Nie wiem – odparł Myron. – Matthew Squires jest w środku. Zaczekajmy na przerwę na lunch i spróbujmy tam wejść.

– I to ma być plan? Jest fatalny.

– Masz lepszy pomysł?

– Wejdźmy od razu. Udajmy rodziców.

– Myślisz, że to wypali? – zapytał po chwili.

– To lepsze, niż siedzieć beczynnie w samochodzie.

– Aha, zanim zapomnę. Sprawdź mi alibi Esme. I nocnego portiera Miguela.

– Miguela? – powtórzyła. – Dlatego że jestem Latynoską?

– Przede wszystkim. Przyjęła to bez zastrzeżeń.

– Rano zadzwoniłam do Peru – poinformowała.

– I?

– Rozmawiałam z miejscowym szeryfem. Potwierdza, że Lloyd Rennart popełnił samobójstwo.

– A co z ciałem?

– Ta przepaść nazywa się El Garganta del Diablo. Czarcie Gardło. Nikt nigdy nie znalazł tam zwłok. Samobójcy często w nią skaczą.

– Wspaniale. Nie zebrałabyś więcej szczegółów o przeszłości Rennarta?

– Na przykład jakich?

– Jak kupił ten bar w Neptune. Dom w Spring Lake Heights. Tym podobnych.

– Po co ci one?

– Lloyd Rennart był workowym debiutującym zawodowego golfisty. Nie zarabiał kroci.

– No i?

– Może po przegranej Jacka w mistrzostwach otrzymał niespodziewany zastrzyk gotówki. Zrozumiała, do czego pije.

– Myślisz, że ktoś mu zapłacił za porażkę Coldrena?

– Nie. Ale nie da się tego wykluczyć.

– Ciężko to będzie wytropić po tak długim czasie.

– Spróbuj. Poza tym dwadzieścia lat temu Rennart spowodował poważny wypadek w Naberth. To niewielkie miasto pod Filadelfią. W tej kraksie zginęła jego pierwsza żona. Poszperaj, może znajdziesz coś na ten temat.

Esperanza zmarszczyła brwi.

– Co na przykład?

– Na przykład czy był pijany. Czy go o coś oskarżono. Czy były inne ofiary.

– Po co nam te informacje?

– Może Rennart kogoś wkurzył. Może rodzina jego pierwszej żony szuka zemsty.

– I czekali na to aż dwadzieścia lat? – spytała, wciąż marszcząc brwi. – Pojechali za Rennar-tem do Peru, zepchnęli go w przepaść, wrócili, porwali Chada, zabili Jacka Coldrena... Nadążasz?

Myron skinął głową.

– Masz rację. Mimo to zbadaj wszystko, co dotyczy Lloyd Rennarta. Na pewno ma jakiś związek z tą sprawą. Tylko musimy ustalić jaki.

– Ja go nie dostrzegam. – Esperanza zatknęła za ucho czarny zakręcony kosmyk. – Znacznie pewniejszą podejrzaną jest dla mnie Esme Fong.

– Zgoda. Mimo to zbadaj temat. Znajdź, co się da. Jest jeszcze syn Rennarta, Lany. Siedemnastolatek. Może się dowiesz, co z niego za ziółko.

Wzruszyła ramionami.

– Niech ci będzie, choć to strata czasu. – Wskazała szkołę. – Wchodzimy?

– Jasne.

Nim wysiedli, w szybę wozu zastukała lekko wielka pięść. Zaskoczony Myron spojrział przez okno i zobaczył uśmiechniętego wielkiego Murzyna z fryzurą a la Nat King Cole, którego poznał przed Zajazdem Dworskim. Kolistym ruchem dłoni „Nat” dał mu znak, żeby opuścił szybę. Myron spełnił życzenie.

– Jak to dobrze, że znów się spotykamy – rzekł. – Nie zanotowałem numeru pańskiego fryzjera.

Murzyn zaśmiał się. Ze złączonych kciuków utworzył ramkę i przesunął ręce do przodu i tyłu jak reżyser filmowy.

– Pan z moją fryzurą? – Pokręcił głową. – Coś mi się nie widzi.

Nachylił się i nad ramieniem Myrona wyciągował rękę w stronę Esperanzy.

– Carl – przedstawił się.

– Esperanza.

Uścisnęła wyciągniętą dłoń.

– Wiem.

Zmrużyła oczy.

– My się znamy – powiedziała.

– Jasne.

Strzeliła palcami.

– Mosambo, Kenijski Zabójca, Krwawe Saftri.

Carl uśmiechnął się.

– Miło, że pamięta mnie Mała Pocahontas.

– Krwawe Safari? – spytał Myron.

– Carl był zawodowym zapaśnikiem – wyjaśniła. – Walczyliśmy raz wspólnie. Na ringu w Bostonie, zgadza się?

Carl upchnął się na tylne siedzenie i pochylił do przodu, wtykając głowę między prawe ramię Esperanzy i lewe Myrona.

– W Hartford – sprostował. – W Centrum Miejskim.

– W walkach par mieszanych.

– Tak jest – potwierdził z naturalnym uśmiechem. – Bądź tak dobra, Esperanzo, i uruchom wóz. Pojedź prosto do trzecich świateł.

– Możesz nas oświecić, o co chodzi? – wtrącił Myron.

– Jasne. Widzicie ten samochód za wami? Myron spojrział w lusterko po stronie pasażera.

– Ten z dwoma bandziorami?

– Tak. Są ze mną. To bardzo źli ludzie, Myron. Młodzi zwyrodnialcy. Wiesz, jaka jest teraz młodzież. Z nimi nie ma rozmowy, tylko bum-bum-bum! We trójkę mamy was dostarczyć w pewne miejsce. Prawdę mówiąc, powinienem trzymać was w tej chwili pod lufą. Ale co tam, jesteśmy przyjaciółmi, no nie? Nie ma potrzeby. Więc pojedźcie prosto. A bandziory za nami.

– Pozwolisz, że zanim ruszymy, wypuścimy Esperanzę? Carl zaśmiał się.

– Wyłazi z nas seksista?

– Nie rozumiem.

– Gdyby była mężczyzną, jak na przykład twój koleżka Win, też zdobyłbyś się na ten szlachetny gest?

– Czemu nie.

Nawet Esperanza pokręciła na tę odpowiedź głową.

– Przypuszczam, że wątpię. A poza tym, wierz mi, byłby to zły ruch. Te bandziorki, widząc, że ona wysiada, sprawdziłyby, co się dzieje. Tych bydlaków świerzbią palce, mają świra w oczach i lubią krzywdzić ludzi. Zwłaszcza kobiety. Być może więc, co wcale nie jest pewne, Esperanza to twoja polisa ubezpieczeniowa. W pojedynkę mogłoby ci coś wpaść do głowy; z nią może będziesz mniej skłonny do głupot.

Esperanza spojrzała na Myrona. Skinął głową. Ruszyła.

– Na trzecim świetle skręć w lewo – polecił Carl.

– Powiedz mi, czy Reginald Squires ma takiego pierdolca, jak się słyszy? – zagadnął Myron.

– Mam wpaść w zachwyt nad trafnością jego dedukcji? – spytał Carl Esperanzę.

– Jasne. Zachwyć się, bo go strasznie rozczarujesz.

– Tak myślałem. A co do twojego pytania, Myron: Squires nie ma takiego pierdolca... kiedy bierze leki.

– Bardzo pocieszające.

Przez okragły kwadrans jazdy młode bandziory siedziały im na zderzaku. Myron wcale się nie zdziwił, gdy Carl polecił dziewczynie skręcić w Green Acres Road. Podjechali do ozdobnego wejścia. Żelazne wrota rozwarły się jak napisy końcowe w serialu Połap się. Dojazd, biegnący przez mocno zalesioną posiadłość, pół mili dalej kończył się na polanie z dużym, zwykłym budynkiem, prostokątnym jak sala gimnastyczna w szkole średniej.

Było w nim tylko jedno widoczne wejście – drzwi do garażu, które otworzyły się same jak na dany znak. Carl kazał Esperanzę wjechać przez nie. Gdy tylko znaleźli się w środku, polecił jej się zatrzymać i zgasić silnik. Bandziory wjechały za nimi i zrobiły to samo.

Drzwi garażu opuściły się w dół, powoli odcinając słońce. Wewnątrz nie było oświetlenia. Pomieszczenie utonęło w ciemnościach.

– Przyjemnie, jak w nawiedzonym domu w parku rozrywki w Six Flags – odezwał się Myron.

– Oddaj broń – zażądał Carl.

Myron oddał mu pistolet.

– Wsiądź z wozu.

– Boję się ciemności.

– Ty też, Esperanzo.

Wysiedli. Dwa bandziory również. Pomieszczenie było z pewnością bardzo duże, bo po betonowej podłodze niosło się echo ich kroków. Lampki w samochodach zapewniły minimum oświetlenia na krótko. Nim zamknęły się drzwi garażu, Myron przestał widzieć cokolwiek.

W całkowitych ciemnościach okrążył po omacku samochód, odnalazł Esperanzę i chwycił ją za rękę. Stali bez ruchu i czekali.

W twarze uderzył ich snop światła, taki jak z latarni morskiej albo projektora w kinie. Myron zacisnął powieki. Przysłonił dłonią oczy i powoli je odemknął. Smugę jaskrawości przeciął jakiś mężczyzna. Wielki cień, rzucony przez jego sylwetkę na ścianę, przypominał znak Batmana.

– Nikt nie usłyszy waszych krzyków – oznajmił.

– Czy to nie cytat z filmu? – spytał Myron. – Chociaż wydaje mi się, że kwestia brzmi: „Nikt nie usłyszy, jak krzyczysz”. Ale mogę się mylić.

– W tym garażu ginęli ludzie! – zagrzmiął głos. – Nazywam się Reginald Squires. Pan i pańska przyjaciółka powiecie wszystko, co chcę wiedzieć, albo będziecie następni.

O rany. Myron spojrzał na Carla. Murzyn zachował stoicką twarz. Myron obrócił się w stronę światła.

– Jest pan bogaty, prawda?

– Bardzo bogaty – sprostował Squires.

– Więc chyba stać pana na lepszego specja od dialogów.

Myron zerknął na Carla. Ten wolno pokręcił głową. Z cienia wyszedł jeden z młodych bandziorów. Na gębie miał radosny psychopatyczny uśmiech. Myron czekał w napięciu.

Gangster zacisnął pięść, wypuścił cios w głowę i chybił, bo Myron zrobił unik, natychmiast chwycił go za przegub, wsunął przedramię pod łokieć napastnika i zgiął mu rękę w stawie w stronę przeciwną naturze. Nie mając wyboru, bandzior opadł na ziemię. Kiedy spróbował się wyrwać, Myron wzmocnił nacisk i walnął go kolaniem w nos. Chlapnęło i chrząstka nosa rozłożyła się jak wachlarz.

Drugi zbir wyjął pistolet i wycelował w Myrona.

– Nie! – krzyknął Squires.

Myron puścił ofiarę. Bandzior osunął się na beton niczym mokry piach z rozerwanego worka.

– Zapłaci pan za to, Bolitar – zapowiedział Squires, rozkoszując się emisją głosu. – Robert.

– Tak, panie Squires? – odparł bandzior z pistoletem.

– Uderz dziewczynę. Mocno.

– Tak, panie Squires.

– Hej, niech uderzy mnie – zaprotestował Myron. – To ja mam niewyparzony język.

– To jest pańska kara – oświadczył chłodna Squires. – Uderz dziewczynę, Robert!

Bandzior Robert ruszył do Esperanzy

– Panie Squires – odezwał się Carl.

– Tak, Carl?

Carl wszedł w światło.

– Pozwoli pan, że ja to zrobię.

– To przecież nie w twoim stylu, Carl.

– Zgadza się, panie Squires. Ale Robert może jej zrobić dużą krzywdę.

– I o to chodzi.

– Rzecz w tym, że ją posiniaczy albo połamię. Panu zależy na tym, żeby ją zabołało. A to moja specjalność.

– Wiem, Carl. Dlatego płacę ci tyle, ile płacę.

– Więc niech pan pozwoli mi zrobić to, co do mnie należy. Uderzę tak, że nie zostawię znaku ani jej trwale nie uszkodzę. Panuję nad tym. Wiem, gdzie uderzyć.

Tajemniczy pan Squires rozważył propozycję.

– Zaboli ją? – spytał. – Bardzo zaboli?

– Jeśli pan nalega – odparł Carl stanowczo, choć bez entuzjazmu.

– Tak. Zrób to. Chcę, żeby ją bardzo, bardzo zabołało. Carl podszedł do Esperanzy. Myron ruszył w jego stronę, ale Robert przystawił mu pistolet do głowy. Nic nie mógł zrobić.

– Nie waż się – ostrzegł Carla, patrząc na niego groźnie. Carl zignorował go. Stanął przed Esperaną. Spojrzała na niego wyzywająco. Bez ostrzeżenia uderzył ją w żołądek.

Siła ciosu poderwała Esperanę w górę. Z głośnym „uff” zgięła się wpół jak scyzoryk, z wytrzeszczonymi oczami upadła na ziemię i, zwinąwszy się w kłębek, zaczęła gwałtownie łapać powietrze. Carl obrzucił ją obojętnym wzrokiem i spojrzał na Myrona.

– Ty sukinsynu! – zaklął Myron.

– Twoja wina.

Esperanza wiła się na ziemi w strasznym bólu, wciąż nie mogąc nabrać powietrza do płuc. Myronowi zrobiło się gorąco. Chciał podejść do niej, ale Robert znowu wbił mu lufę w kark.

– Teraz mnie pan wysłucha – Reginald Squires powtórnie uruchomił emisję głosu. – Tak, panie Bolitar?

Myron wziął kilka głębokich oddechów. Mięśnie mu spęczniały. Gotował się. Łaknął zemsty. Patrzył na wijącą się Esperanę. Wreszcie udało się jej podźwignąć na czworaki. Głowę miała

spuszczoną. Ciałem wstrząsały silne drgawki. Z jej gardła wydobył się odgłos wymiotów. Chwilę potem następny.

Zaraz...

W dźwięku tym... przeszukał bank pamięci. W całej tej scenie, w złożeniu się jak scyzoryk, w zwijaniu się z bólu na ziemi... było coś dziwnie znajomego. Gdzieś już to widział. Nie, niemożliwe. Kiedy?... Raptem znalazł odpowiedź.

Na zapaśniczym ringu.

Boże, ona udaje!

Na twarzy Carla dostrzegł ślad uśmiechu.

Cholerny świat! Odegrali to!

Reginald Squires odchrząknął.

– Okazał pan niezdrowe zainteresowanie moim synem, Bolitar – oświadczył grzmiącym głosem. – Jest pan zboczony?

Myron już miał rzucić kolejnym dowcipem, lecz ugryzł się w język.

– Nie.

– A więc czego pan od niego chce?

Myron zmrużył oczy przed światłem. Nadal widział jedynie niewyraźny kontur postaci. Co miał na to odpowiedzieć? Facet – był zdrowo rąbnięty. Bez dwóch zdań.

– Słyszał pan o śmierci Jacka Coldrena – odparł, zastanawiając się, jak to rozegrać.

– Oczywiście.

– Pracuję nad tą sprawą.

– Szuka pan jego mordercy?

– Tak.

– Przecież Jack zginął tej nocy. A pan pytał o mojego syna w sobotę.

– To długa historia.

Cień rozłożył ręce.

– Mamy czasu, ile dusza zapragnie.

Myron spodziewał się, że Squires to powie. Skąd?

Nie mając nic do stracenia, opowiedział mu o porwaniu. Prawie wszystko. Kilka razy podkreślił, że Chada porwano z Zajazdu Dworskiego. Zrobił to celowo. Egocentryk Reginald Squires zareagował zgodnie z przewidywaniami.

– Twierdzi pan, że Chada Coldrena porwano z mojego motelu?! – krzyknął.

Jego motelu! Myron zdążył się tego domyślić. Tylko to tłumaczyło interwencję Carla po alarmie Stuarta Lipwitza.

– Tak.

– Carl?

– Tak, panie Squires?

– Wiedziałeś o tym porwaniu?

– Nie, panie Squires.

– No, to trzeba się tym zająć! – krzyknął Squires. – Nikt nie będzie robił takich rzeczy na moim terenie. Słyszycie?! Nikt!

Gość oglądał stanowczo za dużo filmów gangsterskich.

– Ten, co to zrobił, jest trupem! – grzmiał Squires. – Słyszycie?! Ma nie żyć! Nie żyć!!! Rozumie pan, Bolitar?

– Ma nie żyć – powtórzył Myron. Cień wycelował w niego długi palec.

– Znajdzie mi go pan. Znajdzie pan sprawcę i do mnie zadzwoni. A ja się nim zajmę. Rozumie pan?

– Ja zadzwonię. Pan się zajmie.

– Do roboty. Znajdź pan to ścierwo!

– Jasne, panie Squires. Jasne. – We dwójkę można grać w dialogi ze złych filmów. – Niemniej przydałaby mi się mała pomoc.

– Jaka?

– Za pańskim pozwoleniem, chciałbym porozmawiać z pana synem. Spytać, co wie o tej sprawie.

– A skąd miałby wiedzieć?

– Jest najbliższym kolegą Chada. Może coś słyszał albo widział. Tego nie wiem, ale chciałbym sprawdzić.

Zapadło krótkie milczenie.

– Niech pan sprawdzi – burknął Squires. – Carl zawiezie pana do szkoły. Będzie pan mógł swobodnie porozmawiać z Matthew.

– Dziękuję, panie Squires.

Światło zgasło. Znow znalazli się w gęstych ciemnościach. Myron dotarł po omacku do drzwiczek samochodu. Za nim „dochodząca do siebie” Esperanza. I Carl. Wsiedli.

Myron odwrócił się i spojrzał na Murzyna.

– Chyba zapomniał wziąć lekarstwo – rzekł Carl, wzruszając ramionami.

Rozdział 32

- Chad pochwalił się, że przygruchał starszą laskę.
- Wymienił jej imię? – spytał Myron.
- Gdzie tam – odparł Matthew Squires. – Powiedział, że jest na wynos.
- Na wynos?
- No, wie pan. Chinka.

Mój Boże.

Myron siedział naprzeciwko niego. Matthew Squires był modelowym grandzysłą. Długie włosy z przedziałkiem pośrodku głowy, zwisające w strąkach na ramiona. Kolorystyka i budowa przywodząca na myśl Kuzyna Itta z Rodziny Addamsów. Silny trądzik. Ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, waga pięćdziesiąt parę kilo. Myron zastanawiał się, jak to jest dorastać w cieniu tatusia światłego jak reflektor.

Po jego prawej ręce siedział Carl. Esperanza pojechała taksówką sprawdzić alibi Esmę Fong i pogrzebać w przeszłości Lloyda Rennarta.

- Chad powiedział ci, gdzie się z nią spotyka?
- Jasne, stary. Ten pierdolnik to własność mojego taty.
- Chad wiedział, że twój ojciec jest właścicielem Zajazdu Dworskiego?
- Nie tam. Nie gadamy o forsie tatusia. Nie wypada, kumacie? Myron i Carl wymienili spojrzenia. Spojrzenia pełne politowania nad współczesną młodzieżą.
- Pojechałeś z nim do Zajazdu Dworskiego?
- Nie tam. Pojechałem później. Wykombinowałem, że zechce poimprezować, jak sobie trochę ten tego. Że uczi to i w ogóle.
- O której tam wpadłeś?
- Wpół do jedenastej, jedenasta, coś tak.
- Widziałeś się z Chadem?
- Nie tam. Z miejsca wszystko się pokićkało. Nie było okazji.
- Jak to się pokićkało? Matthew Squires zawahał się.
- W porządku, Matthew. – Carl pochylił się do przodu. – Ojciec chce, żebyś panu powiedział wszystko.

Chłopak skinął głową. Gdy opuszczał dolną szczękę, strąki włosów zjeżdżały mu na twarz jak rozsuwająca się i zamykająca zasłona ze sznurków.

- Dobra, akcja była taka: wjeżdżam mesiem na parking i przyuważam starego Coldrena.
- Jacka Coldrena? – spytał nagle zaniepokojony Myron. – Zobaczyłeś Jacka Coldrena? W Zajeździe Dworskim?

Matthew skinął głową.

– Siedział w swoim wozie, obok hondy Chada. I był naprawdę wpieniony. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego, no nie? Więc wybyłem.

Myron próbował ukryć oszołomienie. Jack Coldren w Zajeździe Dworskim? Jego syn bzyka się w środku z Esmę Fong, a nazajutrz zostaje porwany.

Ale galimatias!

- W piątek wieczorem ktoś wylazł przez okno z pokoju Chada. To byłeś ty? – spytał.
- No.
- Co tam robiłeś?
- Sprawdzałem, czy Chad jest w domu. Tak robimy. Wchodzę do niego przez okno. Jak kiedyś Vinnie do Doogiego Howsera. Pamięta pan ten serial?

Myron skinął głową. Pamiętał.

Niewiele więcej mógł wyciągnąć z młodego Squirea. Po skończonej rozmowie Carl odprowadził Myrona do samochodu.

– Porąbana sprawa – ocenił.

– Owszem.

– Zadzwonisz, jak czegoś się dowiesz?

– Tak. – Myron nie wspomniał mu o śmierci Tita. Nie było powodu. – Przy okazji, świetnie rozegrałeś ten cios w brzuch Esperanzy.

Carl uśmiechnął się.

– Jesteśmy zawodowcami. Czuję się zawiedziony, żeś to zauważył.

– Nie zauważyłbym, gdybym jej nie widział na ringu. Znakomita robota. Możesz być z siebie dumny.

– Dzięki.

Carl wyciągnął rękę, Myron ją uściśnął. Wsiadł do samochodu i ruszył. Dokąd teraz?

W głowie wciąż mu się kręciło od najnowszej rewelacji: Jack Coldren był w Zajeździe Dworskim. Widział samochód syna. Jak to miało się do całości? Czyżby śledził Chada? Może. Znalazł się tam przypadkiem? Wątpliwe. Jakie rozwiązania wchodziły jeszcze w grę? Po co Jack Coldren śledziłby własnego syna? I od jakiego miejsca – od domu Matthew Squirea? Czy to miało sens? Gość startuje w Otwartych Mistrzostwach Stanów, ma świetną pierwszą rundę, a potem jedzie pod rezydencję Squiresów i czeka, aż chłopak ją opuści?

Nie.

Zaraz.

Przypuśćmy, że Jack Coldren nie śledził syna. Przypuśćmy, że śledził Esme Fong.

Zaraz, zaraz...

A może Jack też miał z nią romans? Jego małżeństwo rozsypało się. Esme jest trochę perwersyjna. Uwiodła nastolatka. Co ją mogło powstrzymać od uwiedzenia jego ojca? Tylko gdzie tu sens? Czy Jack Coldren ją śledził? Dowiedział się o jej schadzce z synem? Jak było?

I największy znak zapytania: co to wszystko ma wspólnego z porwaniem Chada i śmiercią Jacka?

Myron podjechał pod dom Coldrenów. Media odsunięto, lecz kręciło się tam co najmniej tuzin policjantów. Wyciągali kartonowe pudła. Tak jak się obawiała Victoria, policja dostała nakaz rewizji.

Zaparkował za rogiem i poszedł do domu. Na krawężniku po drugiej stronie ulicy siedziała Dianę Hoffman. Poprzednio widział ją tutaj, na dziedzińcu za domem Coldrenów, gdy klóciła się z Jackiem. Uświadomił też sobie, że jest jedną z niewielu osób, które wiedziały o porwaniu. Czyż nie stała tuż przy nich na polu golfowym, kiedy po raz pierwszy rozmawiał o tym z Jackiem?

Warto było zamienić z nią słowo.

Dianę Hoffman paliła papierosa. Niedopałki u jej stóp świadczyły, że siedzi tu dłużej niż kilka minut. Podszedł do niej.

– Cześć – przywitał się. – Niedawno się poznaliśmy. Spojrzała na niego, zaciągnęła się głęboko dymem i wydmuchnęła go w stojące powietrze.

– Pamiętam – odparła głosem brzmiącym jak stare opony na nierównym bruku.

– Moje kondolencje. Pani i Jack z pewnością byliście sobie bliscy.

Znów zaciągnęła się papierosem.

– Tak.

– Golfista i asystentka to na pewno mocny związek.

Podejrzliwie zmrużyła oczy.

– Tak.

– Niemal taki jak męża z żoną. Albo partnerów w interesach.

– Mhm. Podobny.

– Kłóciliście się?

Spiorunowała go wzrokiem, lecz po chwili się roześmiała, co skończyło się suchym kaszlem.

– A co panu do tego? – spytała, odzyskawszy głos.

– Widziałem, jak się kłócicie.

– Słucham?

– W piątek w nocy. Staliście na dziedzińcu za domem. Skłęła go pani. W złości cisnęła papierosa.

Dianę Hoffman zgasiła niedopałek. Na jej twarzy pojawił się uśmieszek.

– Bawi się pan w Sherlocka Holmesa, panie Bolitar?

– Nie. Ja tylko pytam.

– A ja radzę pilnować własnego nosa, rozumiemy się?

– Rozumiemy.

– To niech pan go pilnuje. – Uśmiechnęła się szerzej, ale nie była zbyt miła. – Niemniej zaoszczędzę panu czasu i powiem, kto zabił Jacka. Zdradzę też, kto porwał chłopca. Chce pan?

– Zamieniam się w słuch.

– Ta suka. – Dianę Hoffman wskazała kciukiem dom za plecami. – Na którą się pan napalił.

– Nie napaliłem się na nią.

– Jasne – zakpiła.

– Skąd pani wie, że to ona?

– Bo ją znam.

– To nie jest argument.

– A to pech, kowboju. Zrobiła to pańska flama. Chce pan wiedzieć, dlaczego pokłóciłam się z Jackiem? Nazwałam go kretynem, bo nie zawiadomił policji o porwaniu. Odparł, że on i Linda uznali, że tak będzie najlepiej. – Dianę uśmiechnęła się szyderczo. – On i Linda, nie wiesz czasem.

Myron przyjrzał się jej. Znów coś się nie zgadzało.

– Pani zdaniem to Linda zdecydowałaby nie wzywać policji.

– Jasne, że ona. Porwała chłopca. Ta sprawa to jeden wielki pic.

– Po co by to zrobiła?

– Pan ją spyta. – Dianę uśmiechnęła się szpetnie. – Może powie.

– Pytam panią.

Pokręciła głową.

– Hola, kowboju. Wskazałam winną i wystarczy, nie? Myron uznał, że czas spróbować z innej beczki.

– Długo pani asystowała Jackowi?

– Rok.

– Wolno spytać o pani kwalifikacje? Co sprawiło, że Jack wybrał panią?

Zachichotała.

– Co za różnica. Od czasów Lloyda Rennarta Jack i tak nie słuchał asystentów.

– Znała pani Lloyda Rennarta?

– Nie.

– Więc dlaczego Jack panią zatrudnił? Nie odpowiedziała.

– Sypialiście z sobą?

Dianę Hoffman zaniósł ją głośnym śmiechokaszlem.

– Jeszcze czego! – Znów sucho się zaśmiała. – Z Jackiem? Jeszcze czego!

Ktoś zawołał go po imieniu. Myron obrócił się i zobaczył Victorię Wilson. Choć twarz miała zasnęłą jak zwykle, przyzywała go niecierpliwie ręką. Obok niej stał Bucky. Starszy pan wyglądał tak, jakby zdmuchnąć mógł go lada powiew.

– Cwałuj tam, kowboju – zakpiła Dianę Hoffman. – Pańska luba jest chyba w potrzebie.

Myron spojrział na nią po raz ostatni i ruszył w, stronę domu. Trzy kroki dalej dopadł go detektyw Corbett.

– Muszę z panem zamienić słowo, panie Bolitar.

– Za chwilę – zbył go i dołączył do Victorii.

– Żadnych rozmów z policją – przestrzegła. – Pojedzie pan do Wina i tam zostanie.

– Nie przepadam za rozkazami.

– Pan wybaczy, że ranie pańskie męskie ego – powiedziała tonem całkowicie przeczącym słowom. – Ale wiem, co robię.

– Czy policja znalazła palec? Victoria Wilson skrzyżowała ręce.

– Tak.

– I?

– I nic.

Myron spojrział na Bucky'ego. Starszy pan odwrócił wzrok.

– Nie pytali o niego? – zdziwił się Myron.

– Spytali. Odmówiliśmy odpowiedzi.

– Przecież palec mógł oczyścić Lindę z zarzutów. Victoria Wilson westchnęła.

– Niech pan jedzie do domu, Myron. Gdyby wynikło coś nowego, zadzwonię.

Rozdział 33

Nadszedł czas na rozmowę z Winem.

W samochodzie Myron przeciwczył kilka jej wariantów. Wszystkie miały wady, ale trudno. Win był przyjacielem. Musiał mu przekazać wiadomość o matce, żeby sam rozstrzygnął, co począć z tym fantem.

Najtrudniej było podjąć decyzję, czy w ogóle mu o tym mówić. Z jednej strony niedobrze byłoby zachować wszystko dla siebie, z drugiej – kto chciałby się narazić na wybuch stłumionej wściekłości Wina?

Zadzwoniła komórka.

– Potrzebuję pańskiej rady – usłyszał w słuchawce głos Tada Crispina.

– Co się stało?

– Polują na mnie media, chcą uzyskać wypowiedź. A ja nie bardzo wiem, co mam im powiedzieć.

– Nic. Niech pan im nic nie mówi.

– No tak, owszem, ale to nie takie łatwe. Dwa razy dzwonił do mnie pełnomocnik Amerykańskiego Związku Golfa Learner Shelton. Na jutro zaplanował ceremonię wręczenia trofeów. Chce mnie ogłosić mistrzem Stanów. Nie wiem, co robić.

Mądry chłopak, pomyślał Myron. Rozumie, że jeżeli źle rozegra sprawę, może go to drogo kosztować.

– Tad?

– Tak?

– Wynajmuje mnie pan?

Interesy to interesy. Prowadzenie agencji to nie filantropia.

– Tak, Myron, wynajmuję pana.

– Wobec tego musimy uzgodnić szczegóły. Procenty i podobne sprawy. W większości standardowe. – Porwania, odcinanie członków, morderstwa... Dla wszechwładnego agenta sportowego nic nie było straszne, co pachniało forszą. – Na razie ani słowa nikomu. Za parę godzin przyślę po pana wóz. Przed przyjazdem kierowca zadzwoni do pana w hotelu. Zjedzie pan prosto do samochodu. Niech pan nie reaguje na okrzyki dziennikarzy i milczy. Nie uśmiecha się, nie macha ręką. Żadnych uśmiechów, żadnych pozdrowień. Powaga. Zamordowano człowieka. Kierowca przywiezie pana do rezydencji Wina i omówimy strategię.

– Dzięki, Myron.

– O nie, Tad, to ja dziękuję.

Profity z morderstwa? Myron wreszcie poczuł się agentem pełną gębą.

Pod rezydencją Wina rozbiły obóz media.

– Na wieczór wynajęłam dodatkowych strażników – wyjaśnił Win z opróżnionym kieliszkiem w rękę. – Mają strzelać bez pardonu do każdego, kto zbliży się do bramy.

– To mi się podoba.

Win skinął głową i nalał sobie likieru Grand Marnier. Myton wziął z lodówki yoo–hoo. Usiedli.

– Dzwoniła Jessica – rzekł Win.

– Tutaj?

– Tak.

– Dlaczego nie na komórkę?

– Chciała mówić ze mną.

– Aha. – Myron potrząsnął yoo–hoo zgodnie z poradą na puszcze: **POTRZAŚNIJ! TO JEST ŚWIETNE!** Życie to poezja. – O czym?

- Martwi się o ciebie.
- Dlaczego?
- Podobno zostawiłeś jej na sekretarce zagadkową wiadomość.
- Powtórzyła jaką?
- Nie. Ale wspomniała o twoim napiętym głosie.
- Powiedziałem, że ją kocham. I że zawsze będę ją kochał. Win łyknął likieru i skinął głową, jakby to wyjaśniało wszystko.
- O co chodzi? – spytał Myron.
- O nic.
- No nie. Powiesz mi wreszcie o co?
- Win odstawił kieliszek i złożył dłonie palcami.
- Kogo próbowałeś przekonać? Ją czy siebie? – spytał.
- O co ci chodzi, do diabła?
- O nic.
- Win postukał palcami o palce.
- Wiesz przecież, jak bardzo kocham Jessicę.
- O tak.
- Wiesz, przez co przeszedłem, żeby ją odzyskać.
- O tak.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego do ciebie zadzwoniła. Bo miałem napięty głos?
- Niezupełnie. Usłyszała o śmierci Jacka Coldrena. Więc się zaniepokoiła. Poprosiła, żebym cię pilnował.
- Co odpowiedziałeś?
- Odmówiłem.
- Zamilkli.
- Win podniósł kieliszek. Zakręcił płynem i wciągnął w nos aromat.
- O czym chciałeś ze mną porozmawiać? – spytał.
- Spotkałem dziś twoją matkę.
- Win pociągnął łyk i wpatrując się w dno kieliszka, pozwolił trunkowi spłynąć po języku.
- Udajmy, że zaparło mi dech ze zdziwienia – rzekł, gdy przełknął likier.
- Pragnie przekazać ci wiadomość.
- Na ustach Wina pojawił się leciutki uśmiech.
- Domyślam się, że droga mama opowiedziała ci, co zaszło.
- Tak. Win uśmiechnął się szerzej.
- A zatem wiesz już wszystko, Myron, hmm?
- Nie.
- Oho, tak łatwo się nie wykpisz. A gdzie wykład z ulubionej psychologii popularnej? Ośmioletni chłopczyk przyłapuje mamusię, gdy ta na czworakach kopuluje z mężczyzną. To z pewnością go przeraża. Czy to nikczemne przeżycie nie decyduje o tym, na kogo wyrósł? Czy epizod ten nie przesądza o jego stosunku do kobiet, odgroźeniu się warownym murem od uczuć, o puszczeniu pięści w ruch tam, gdzie inni używają słów? Na pewno wszystko to sobie przemyślałeś, Myron. Niczego nie ukrywaj. Na pewno będzie to szalenie odkrywcze i przenikliwe.
- Myron odczekał chwilę.
- Nie mnie analizować twoją psychę, Win – odparł.
- Nie?
- Nie.
- Spojrzenie Wina stwardniało.
- W takim razie skończ z tą współczującą miną.
- Ja ci nie współczuję. Martwię się o ciebie.

– No nie, daruj sobie.

– Nawet jeśli zdarzyło się to ćwierć wieku temu, z pewnością bolało. Nawet jeśli nie wpłynęło na twój charakter, nawet jeśli mimo to wyrósłbyś na taką samą osobę, to bolało na pewno.

Win rozluźnił mięśnie szczęki. Podniósł kieliszek. Dolał sobie likieru.

– Nie chcę dłużej o tym mówić – oświadczył. – Już wiesz, dlaczego nie chcę mieć nic wspólnego z Jackiem Coldrenem i matką. Pomówmy o czym innym.

– Nie przekazałem ci wiadomości od niej.

– Ach tak, wiadomości. Wiesz, że droga mama wciąż przysyła mi prezenty z okazji urodzin i różnych świąt.

Myron skinął głową. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale wiedział.

– Zwracam je nierozpakowane. – Win łyknął likieru. – Z tą wiadomością postąpię chyba podobnie.

– Ona umiera, Win. Na raka. Został jej może tydzień, dwa.

– Wiem.

Myrona wcisnęło w fotel. Poczł suchość w gardle.

– To cała wiadomość? – spytał Win.

– Chciałabyś wiedział, że to twoja ostatnia szansa, żeby z nią porozmawiać.

– No cóż, to prawda. Trudno byłoby o to po jej śmierci.

– Nie oczekuje od ciebie pojednania – zapewnił rozpaczliwie Myron. – Lecz jeśli są jakieś sprawy, które chciałbyś...

Urwał. Win nie znosił zbyt oczywistych, zbędnych słów.

– To wszystko? Cała ważna wiadomość?

Myron skinął głową.

– W takim razie zamówię coś chińskiego. Chyba nie masz nic przeciwko.

Win wstał z fotela i ruszył do kuchni.

– Twierdzisz, że to cię nie zmieniło – rzekł Myron. – Ale czy przed tamtym dniem ją kochałeś?

– A kto mówi, że jej nie kocham? – odparł z kamienną twarzą Win.

Rozdział 34

Szofer wwiózł Tada Crispina przez tylną bramę.

Win i Myron oglądali telewizję. Na ekranie pojawiła się reklama płynu do płukania ust. Para małżonków budziła się rano i z niesmakiem odwracała się od siebie. Poranny oddech, informował głos zza kadru. Potrzebujesz Scope. Scope usuwa poranny oddech.

– Umycie zębów również – skomentował Myron.

Win skinął głową.

Myron otworzył drzwi i wpuścił gościa do salonu. Tad usiadł na kanapie naprzeciwko nich. Rozejrzał się, lecz nie znalazł nic odpowiedniego, na czym mógłby zatrzymać wzrok, i uśmiechnął się lekko.

– Napije się pan czegoś? – spytał Win, gospodarz pełną gębą. – Może rogalika, chrupkie ciasteczko?

– Nie, dziękuję.

Tad Crispin znów lekko się uśmiechnął.

– Niech pan opowie o telefonie od Learnera Sheltona – zaproponował Myron, pochylając się do przodu.

Młody golfista skwapliwie skorzystał z zachęty.

– Pogratulował mi zwycięstwa. Oświadczył, że Amerykański Związek Golfa uznał mnie za zwycięzcę Otwartych Mistrzostw Stanów.

Tad urwał. Po wypowiedzeniu tych słów oczy zaszyły mu mgłą. Tad Crispin, mistrz Stanów Zjednoczonych. Wyśniony tytuł.

– Co jeszcze powiedział? Oczy Tada znów nabrały wyrazu.

– Na jutrzejsze popołudnie zwołał konferencję prasową. W Merion. Wręczą mi nagrodę i czek na trzysta sześćdziesiąt tysięcy.

Myron nie tracił czasu.

– Przede wszystkim powiemy mediom, że nie uważa się pan za mistrza Stanów. Jeżeli chcą tak pana tytułować, proszę bardzo. Jeżeli chce tak pana tytułować Amerykański Związek Golfa, niech tytułuje. Lecz pańskim zdaniem turniej nie został rozstrzygnięty. Śmierć nie powinna przekreślić wspaniałego wyczynu Jacka Coldrena i jego prawa do tytułu. Turniej zakończył się remisem. Remisem. I z pańskiego punktu widzenia jesteście zwycięzcami ex aequo. Rozumie pan?

Tad zawahał się.

– Chyba tak.

– A teraz sprawa czeku. – Myron zabębnił palcami w skraj stolika. – Jeżeli uprą się i wręczą panu całą wygraną, połowę Jacka musi pan przeznaczyć na cel dobroczynny.

– Ośrodek Praw Ofiar – odpowiedział Win.

Myron skinął głową.

– Dobry pomysł. Na jakąś organizację walczącą z przemocą...

– Chwileczkę – przerwał mu Tad. Potarł dłońmi uda. – Pan chce, żebym oddał sto osiemdziesiąt tysięcy?

– Zostaną odpisane od podatku – rzekł Win. – Odda więc pan tylko połowę tej sumy.

– To betka w porównaniu z pozytywną reakcją mediów na taki gest – dodał Myron.

– Ale ja odrobiłem straty. Byłem w sztosie. Wygrałbym z nim.

Myron pochylił się jeszcze bardziej w jego stronę.

– Jest pan sportowcem, Tad. Jest pan ambitny i wierzy w siebie. To dobrze. Co ja mówię, to wspaniale! Ale nie w tej sytuacji. Morderstwo Jacka to poważna sprawa. Wykracza poza sport. Dla większości ludzi będzie to pierwsze spotkanie z Tadem Crispinem. Muszą zobaczyć kogoś, kto da się lubić.

Przyzwoitego, godnego zaufania i skromnego. Jeśli zaczniemy wychwalać pana za wspaniałą grę w golfa, jeśli zamiast tragedią zajmiemy się pańskim sukcesem, zostanie pan uznany za osobę bez serca, za jeszcze jednego bezwzględnego sportowca. Rozumie pan? Tad Crispin skinął głową.

– Chyba tak.

– Musimy przedstawić pana w odpowiednim świetle. Maksymalnie panować nad tematem.

– Udzielimy wywiadów?

– Bardzo mało.

– A czy nie chcemy rozgłosu?...

– Chcemy. Starannie wyreżyserowanego – podkreślił Myron. – To wystarczająco głośna historia, nie wolno jej rozdmuchiwać. Lepiej stronić od mediów, Tad. Okazać zatroskanie. Trzeba zachować umiar. Jeśli zadmiemy w trąby, wyjdzie na to, że szukamy poklasku. Jeśli udzielimy za dużo wywiadów, wyjdzie na to, że żerujemy na cudzej śmierci.

– Katastrofa – poparł go Win.

– Tak jest. Musimy kontrolować przepływ informacji. Podkarmiać prasę małutkimi kęskami. Wyłącznie.

– Może pan udzielić jednego wywiadu – rzekł Win.

– Na przykład Bobowi Costasowi.

– Albo nawet Barbarze Walters. I okazać wielki żal.

– Nie wspomnimy o pańskiej szczodrej darowiźnie.

– Słusznie. I żadnych konferencji prasowych. Jest pan zbyt wielkoduszny jak na taki popis próżności – powiedział Win.

Tad się stropił.

– W jaki sposób zdobędziemy dobrą prasę, jeśli to zataimy? – spytał.

– Posłużymy się przeciekami – wyjaśnił Myron. – Na przykład ktoś z organizacji dobroczynnej wygada się wścibskiemu reporterowi. Najważniejsze, żeby Tad Crispin pozostał osobą skromną, która nie afiszuje się dobrymi uczynkami. Rozumie pan, o co chodzi?

Tad skinął głową z większym zapałem. Rozkręcał się. Myron czuł się jak szmata. Przedstawiaj wszystko w jak najlepszym świetle – jeszcze jedna rola współczesnego agenta sportowego. To zawód nie dla czyściochów. Czasem człowiek się ubrudzi. Nie przepadał za tym, ale robił to bez przymusu. Media przedstawiały wypadki na swój sposób, on na swój. Lecz i tak czuł się jak wyszczerzony w fałszywym uśmiechu strateg polityczny po telewizyjnej debacie, świadom, że spadł prawie na samo dno.

Jeszcze przez kilka minut omawiali szczegóły. Tad ponownie odbiegł myślami gdzie indziej. Sławnymi dłońmi znów zaczął pocierać spodnie.

– W wiadomościach podali, że jest pan adwokatem Lindy Coldren – szepnęła do Myrona, kiedy Win wyszedł z salonu.

– Jednym z adwokatów.

– Jest pan jej agentem?

– Może nim zostanę. A czemu pan pyta?

– A więc jest pan również prawnikiem, czy tak? Studiował pan prawo et cetera?

Myronowi niezbyt spodobały się te pytania.

– Tak – odparł.

– Mogę więc pana wynająć jako swego adwokata? Nie tylko jako agenta?

Rozmowa zdążyła w zdecydowanie niepożądanym kierunku.

– A po co panu adwokat, Tad?

– Nie mówię, że go potrzebuję. Ale gdybym potrzebował...

– Wszystko, co pan powie, zostanie między nami – zapewnił Myron.

Tad Crispin wstał. Wyciągnął ręce, zacisnął dłonie na wymaginowanym kiju golfowym i zamachnął się. Golf na niby. Win grał w niego bez przerwy. Jak wszyscy golfiści. Koszykarze tego nie robili. Myron nie przystawał przed każdą mijaną szybą wystawową i nie sprawdzał przed lustrem, czy dobrze uderza. Golfiści.

– Dziwne, że pan o tym nie wie – rzekł wolno Tad. Mrowienie w żołądku podpowiedziało Myronowi, że być może wie.

– O czym nie wiem, Tad? – spytał.

Tad znów zrobił zamach, zamarł na chwilę, żeby sprawdzić jego pierwszą fazę, a potem ze spłoszoną miną upuścił wymaginowany kij na ziemię.

– Zdarzyło się to raptem dwa razy – wyrzucił z siebie słowa jak srebrne paciorki. – Doprawdy nic wielkiego. Spotkaliśmy się przy kręceniu reklam dla Zoomu. – Spojrzał błagalnie na Myrona. – Widział ją pan. Wiem, jest dwadzieścia lat starsza ode mnie, ale świetnie wygląda. Powiedziała, że z jej małżeństwem koniec...

Myron nie usłyszał reszty, w uszach huczał mu ocean. Tad Crispin i Linda Coldren! Niewiarogodne, choć całkiem zrozumiałe. Młodzieniec oczarowany zapierającą dech w piersiach starszą kobietą. Dojrzała piękność w okowach małżeństwa bez miłości znajduje pociechę w ramionach młodego przystojniaka. Co w tym złego?

A jednak poczuł, że czerwieni się jak burak. Zapienił się w środku.

Tad wciąż mówił.

– Czy Jack się o was dowiedział? – przerwał mu. Tad zamilkł.

– Nie wiem. Być może.

– Skąd to przypuszczenie?

– Graliśmy z sobą dwie rundy. Owszem, byliśmy rywalami i chciał mnie speszyć, ale odniosłem wrażenie, że wiedział.

Myron podparł głowę rękami. Mdlilo go.

– Czy to wyjdzie na jaw? – zaniepokoił się Tad. Myron powstrzymał śmiech. Byłaby to jedna z największych sensacji roku. Media rzuciłyby się na temat jak starsze panie na wyprzedzą szmatek w domu towarowym Lehmana.

– Nie wiem.

– Co robimy?

– Miejmy nadzieję, że to się nie wyda.

– A jeśli się wyda? – spytał wystraszony Tad.

Myron spojrzał mu w oczy. Tad Crispin wyglądał tak młodo – poprawka, on był młody. Większość chłopców w jego wieku dokazywała beztrąsko. Na dobrą sprawę nie zrobił nic złego. Przespał się ze starszą kobietą, która nie wiadomo dlaczego podtrzymywała obumarłe małżeństwo. Nie zrobił nic wbrew naturze. Myron spróbował wyobrazić sobie siebie w wieku Tada. Gdyby awanse czyniła mu piękna starsza kobieta, taka jak Linda Coldren, czy nie skorzystałby z okazji?

Ba! W tej chwili już chyba nie.

A co z Lindą? Dlaczego się nie rozwiodła? Z powodu przekonań religijnych? Wątpliwe. Ze względu na syna? Chłopak miał szesnaście lat. Mógł to mocno przeżyć, ale by wytrzymał.

– Myron, co będzie, jak dowiedzą się o tym media? – spytał Tad.

Lecz Myron przestał myśleć o mediach. Myślał o policji. Myślał o Victorii Wilson i o uzasadnionych wątpliwościach w związku ze sprawą. Linda przypuszczalnie powiedziała swojej świetnej adwokatce o Tadzie Crispinie. Victoria na pewno dostrzegła, co z tego wynika.

Kogo uznano za mistrza Stanów w golfie po śmierci Jacka Coldrena?

Kto nie musiał się dłużej martwić, że na oczach ogromnej widowni przegra z wielkim nieudacznikiem?

Kto miał wszelkie, przypisane wcześniej Esme Fong, powody, żeby zabić rywala?

Kogo czysty jak łąza wizerunek zostałby zbrukany przez rozwód Coldrenów, zwłaszcza gdyby Jack zarzucił żonie niewierność?

Kto miał romans z żoną zabitego?

Osoba, o której mowa w tych wszystkich pytaniach, siedziała przed nim.

Rozdział 35

Tad Crispin odjechał niedługo potem.

Usadowiwszy się na kanapie, Myron i Win puścili sobie Danny Rosę z Broadwayu, jedno z najbardziej niedocenionych arcydzieł Woody’ego Allena. Co za film! Wypożyczcie go sobie.

W trakcie sceny, w której Mia zaciąga Woody’ego do wróżki, przyjechała Esperanza.

Kaszlnęła w kułak.

– Nie chcę was, ehm, pouczać ani się narzucać – zaczęła, świetnie naśladowując tempo, opóźnianie mowy, manieryczne gesty i nowojorski akcent Woody’ego. Nikogo nie parodiowała lepiej. – Ale być może mam do przekazania ważną informację.

Myron spojrzał na nią. Win dalej wpatrywał się w ekran.

– Odszukałam człowieka, od którego Lloyd Rennart dwadzieścia lat temu kupił bar – powiedziała już swoim głosem. – Rennart zapłacił gotówką. Siedem tysięcy. Sprawdziłam też, co z domem w Spring Lake Heights. Kupił go w tym samym czasie za dwadzieścia jeden tysięcy dolarów. Żadnej hipoteki.

– Pokażny wydatek jak na splukanego workowego.

– Si, senor. Co ciekawsze, nie ma śladu, żeby od chwili wylania go przez Jacka Coldrena do czasu nabycia baru Zardzewiały Ćwiek gdziekolwiek pracował i płacił podatki.

– Może dostał spadek.

– Wątpię – odparła. – Sprawdziłam wstecz aż do roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego. Ani śladu, by płacił podatek spadkowy.

Myron spojrzał na Wina.

– Co o tym myślisz? – spytał.

– Nie słucham – odparł Win z oczami utkwionymi w ekran.

– No tak, zapomniałem. Coś jeszcze? – spytał Myron Esperanzę.

– Esme Fong ma alibi. Rozmawiałam z Miguelem. Nie wychodziła z hotelu.

– Można mu wierzyć?

– Tak sędzę.

Jedna podejrzana odpadła.

– Coś więcej?

– Na razie tyle. Aha, odszukałam redakcję lokalnej gazety w Narberth. W archiwum trzymają stare numery. Przejrzę je jutro, może znajdę coś o tym wypadku samochodowym.

Wzięła z kuchni pudełko z chińszczyzną, pałeczki i klapnęła na kanapę. Cyngiel mafii nazywał Woody’ego fajfusem. Woody odparł, że nie wie, co to znaczy, ale z całą pewnością nic dobrego. Ach, ten Woodman.

Dziesięć minut po rozpoczęciu Miłości i śmierci, wkrótce po scenie, w której Woody głowi się, jak to możliwe, żeby stary Nahampkin był młodszy od młodego Nahampkina, Myrona pokonało zmęczenie. Zasnął na kanapie. Mocno. Nic mu się nie śniło. Ani drgnął. Po prostu zapadł się w głęboką studnię.

Obudził się o wpół do dziewiątej. Kiedy spał, ktoś nakrył go narzutą i zgasił telewizor. Pewnie Win. Tykający zegar zadzwonił. Myron sprawdził sypialnię. Wina i Esperanzę nie było.

Wziął prysznic, ubrał się, zrobił sobie kawy. Na sygnał telefonu podniósł słuchawkę.

– Halo! – powiedział. Dzwoniła Victoria Wilson.

– Aresztowali Lindę – poinformowała swoim zwykłym znudzonym głosem.

Znalazł Victorię w poczekalni prokuratury okręgowej. – Co z nią? – spytał.

– W porządku. Wieczorem przywiozłam jej Chada. Uradowała się.

– Gdzie jest teraz?

– W celi, czeka na postawienie zarzutów. Spotkamy się z nią za kilka minut.

– Co na nią mają?

– Prawdę mówiąc, sporo – odparła Victoria, jakby zarzuty policji zrobiły na niej pewne wrażenie. – Po pierwsze, zeznanie klubowego dozorca, który widział, jak Linda wchodzi i opuszcza pole golfowe, w czasie gdy dokonano morderstwa. Prócz niej zauważył tej nocy tylko Jacka.

– Mimo to ktoś mógł tam wejść. To rozległy teren.

– Racja. Lecz z ich punktu widzenia to Linda miała dogodną sposobność, żeby go zabić. Po drugie, na podstawie wstępnych badań ustalili, że należą do niej włosy i włókna znalezione na ciele Jacka i w miejscu morderstwa. Oczywiście ten dowód nietrudno będzie podważyć. Jack był jej mężem. Siłą rzeczy musiał mieć na sobie jej włosy, i włókna z odzieży. Mógł rozsiać je wokół siebie na miejscu zbrodni.

– Poza tym wiemy od niej, że poszła na pole szukać Jacka – dodał Myron.

– Ale o tym im nie powiemy.

– Dlaczego?

– Bo na razie milczymy i niczego nie potwierdzamy. Myron wzruszył ramionami. Nie było to ważne.

– Co jeszcze?

– Jack miał pistolet, dwudziestkędwójkę. Policja znalazła go wczoraj wieczorem na zalesionym terenie pomiędzy domem Coldrenów a Merion.

– Po prostu tam leżał?

– Nie. Odnaleźli go wykrywaczem metali. Był zakopany w świeżej ziemi.

– Są pewni, że to pistolet Jacka?

Skineęła głową.

– Zgadzą się numery seryjne. Przeprowadzili test balistyczny. To narzędzie zbrodni.

Myrona zmroziło.

– A odciski palców? – spytał.

Victoria Wilson pokręciła głową.

– Wytarte.

– Przeprowadzili próbę prochową?

Policja zawsze badała dłonie podejrzanych, szukając śladów oparzeń od prochu.

– Potrwa to kilka dni, i prawdopodobnie wynik będzie negatywny.

– Kazała jej pani wyszorować ręce?

– I nasmarować.

– Pani myśli, że ona to zrobiła.

– Niech pan tak nie mówi – odparła niespeszona. Miała rację. Ale sprawa zaczęła źle wyglądać.

– Co poza tym? – spytał.

– Znaleźli pański magnetofon podłączony do telefonu. Zainteresowało ich, dlaczego Coldrenowie uznali za konieczne nagrywać dzwoniących.

– Znaleźli taśmy z rozmowami z porywaczem?

– Tylko tę, na której porywacz nazywa Fong „żółtą dziwką” i żąda stu tysięcy. Uprzedzając pańskie dwa następne pytania: nie, nie wyjaśniłyśmy im sprawy porwania; tak, to ich wkurzyło.

Myron rozważył informacje. Coś się nie zgadzało.

– Znaleźli tylko jedną taśmę? Tak.

Zmarszczył brwi.

– Jeśli magnetofon był podłączony, to powinien nagrać ostatnią rozmowę porywacza z Jackiem. Tę, po której Jack wypadł z domu i poszedł do Merion.

Victoria Wilson nie spuściła wzroku.

– Policja nie znalazła innych taśm – odparła. – Ani w domu, ani przy zwłokach.

Myrona znów zmroziło. Wniosek narzucał się sam: nie było taśmy, bo nikt nie dzwonił. Linda Coldren to wymyśliła. Policja uznałaby brak taśmy za poważną sprzeczność. Na szczęście Victoria nie dopuściła do zeznań.

Rzeczywiście była dobrą adwokatką.

– Skopiuj mi pani taśmę, którą znalazła policja? – spytał.

Victoria skinęła głową.

– To nie wszystko – powiedziała. Myron aż bał się to usłyszeć.

– Wróćmy na chwilę do palca Chada – ciągnęła tonem, jakim zamawia się przystawkę. – Znaleźliście go w brązowej kopercie w wozie Lindy.

Myron potwierdził, kiwając głową.

– Takie markowe koperty rozmiar dziesięć sprzedają tylko w sklepach Staples. Ostrzeżenie sporządzono czerwonym długopisem średniej grubości. Trzy tygodnie temu Linda robiła zakupy w Staples. Z paragonu znalezionego wczoraj u Coldrenów wynika, że kupiła sporo materiałów biurowych, w tym paczkę kopert numer dziesięć i czerwony długopis średniej grubości.

Myron nie wierzył własnym uszom.

– Pocieszające, że grafolog nie potrafił orzec, czy to jej charakter pisma jest na kopercie.

W tym momencie zaświtała mu w głowie inna myśl. Linda czekała na niego w Merion. Razem poszli do jej samochodu i znaleźli palec. Prokurator z pewnością rzuci się na ten fakt, zada sobie pytanie: „Dlaczego na niego czekała”? – i odpowie: „To proste: potrzebowała świadka”. Po podłożeniu palca w samochodzie – co mogła zrobić, nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń – musiała znaleźć frajera, z którym „znajdzie” kopertę.

Na scenę wkroczył Myron Bolitar, dudek dnia.

Oczywiście dzięki manipulacjom Victorii Wilson prokurator o niczym nie wiedział, a dudek dnia, jako adwokat podejrzanej, musiał milczeć. Wychodziło na to, że nikt się o tym nie dowie.

Tak, Victoria była dobra... lecz jedno przeoczyła.

– Ten palec to przecież atut, Victorio – podkreślił. – Kto uwierzy, że matka odcięła palec własnemu synowi?

Victoria spojrzała na zegarek.

– Chodźmy porozmawiać z Lindą.

– Chwileczkę. Drugi raz pani mnie zbywa. Dowiem się wreszcie, co jest grane?

Przewiesiła torebkę przez ramię.

– Idziemy.

– Zaczynam mieć dość wodzenia za nos.

Victoria w milczeniu skinęła powoli głową, ale się nie zatrzymała. Myron wszedł za nią do aresztu. W środku czekała na nich Linda Coldren. Przebrana w jasno-pomarańczowy aresztancki kombinezon, ręce miała skute kajdankami

Spojrzała pustymi oczami na Myrona. Nie było powitań, uścisków, uprzejmości.

– Myron chce wiedzieć, dlaczego wątpię, czy odcięty palec Chada nam pomoże – oznajmiła bez wstępów Victoria.

Linda uśmiechnęła się smutno i spojrzała mu w oczy.

– To zrozumiałe pytanie.

– O co tu chodzi, do diabła?! – zirytował się. – Przecież wiem, że nie odcięłaś palca własnemu synowi.

– Nie odcięłam – odparła ze smutnym uśmiechem. – Ta część historii się zgadza.

– Jak to część?

– Powiedziałeś, że nie odciąłam palca własnemu synowi. Chad nie jest moim synem.

Rozdział 36

Znów coś sobie skojarzył.

– Jestem bezpłodna – wyjaśniła Linda pozornie swobodnym tonem, lecz cierpienie wyzierało z jej oczu tak jawnie i dojmująco, że o mały włos się nie wzdrygnął. – Moje jajniki nie produkują jajeczek, a Jack koniecznie chciał mieć potomka.

– Wynajęliście matkę zastępczą?

Linda spojrzała na Victorię.

– Tak – odparła. – Choć niezupełnie legalnie.

– Wszystko odbyło się zgodnie z literą prawa – wtrąciła Victoria.

– Pani to załatwiła?

– Wypełniłam potrzebne dokumenty. Adopcja była całkowicie legalna.

– Chcieliśmy to zachować w tajemnicy – powiedziała Linda. – Właśnie dlatego tak wcześnie zrezygnowałam ze startu w turniejach. Zaszłam się w ustroniu. Zakładaliśmy, że matka biologiczna nie dowie się, kim jesteśmy.

Myron ponownie coś sobie skojarzył.

– A jednak się dowiedziała.

– Tak. Następne skojarzenie.

– To Dianę Hoffman, tak?

Linda była zbyt wyczerpana, by zrobić zaskoczoną minę.

– Skąd wiesz?

– Domysł płynący z doświadczenia.

No bo z jakiej racji Jack zatrudniłby Dianę Hoffman jako asystentkę? Z jakiego innego powodu zareagowałaby ona tak ostro na stosunek Coldrenów do porwania syna?

– Jak na was trafiła? – spytał.

– Wszystko załatwiliśmy legalnie – powtórzyła Victoria. – Ale po wprowadzeniu nowego prawa regulującego dostęp do dokumentów, Dianę nie miała z tym większych trudności.

Następne skojarzenie.

– Dlatego nie mogłaś rozwieść się z Jackiem – domyślił się Myron. – Jako biologicznemu ojcu przyznano by mu opiekę nad synem.

Linda przygarbiła się. Skinęła głową.

– Czy Chad o tym wie?

– Nie.

– Tak myślisz.

– Słucham?

– Nie wiesz tego na pewno. Może się dowiedział. Na przykład od Jacka albo od Dianę. Może od tego wszystko się zaczęło.

Victoria splótła ręce.

– Nie rozumiem, Myron. Przypuśćmy, że Chad poznał prawdę. Ale jak mogło to doprowadzić do samoporwania i śmierci jego ojca?

Dobre pytanie. Myron pokręcił głową.

– Jeszcze nie wiem – odparł. – Muszę to przemyśleć. Czy policja wie o tej sprawie?

– O adopcji?

– Tak.

Wreszcie wszystko zaczęło nabierać sensu.

– To podsuwa prokuratorze okręgowej motyw. Powiedzą, że Jack, składając pozew o rozwód, sprowokował Lindę. Zabiła go, żeby zachować syna.

Victoria Wilson ze zrozumieniem pokiwała głową.

– A ponieważ nie jest biologiczną matką, są dwa wyjścia: albo kochała syna tak bardzo, że chcąc go ocalić, zamordowała męża, albo przeciwnie! Chad nie był jej dzieckiem, i dlatego posunęła się do odcięcia mu palca – podsumowała Victoria.

– Tak czy owak znalezienie palca w niczym nie pomoże. Victoria potaknęła. Nie wypomniała mu, choć mogła: „Przecież panu mówiłam”.

– Mogę coś dodać? – wtrąciła Linda.

Obrócili się w jej stronę.

– Przestałam kochać Jacka. Powiedziałam ci to od razu, Myron. Nie przyznałabym się do tego, gdybym chciała go zabić.

Myron skinął głową. Argument brzmiał sensownie.

– Ale kocham syna. Mojego syna! Bardziej niż własne życie. To skrajnie chory, niedorzeczny pomysł podejrzewać, że go okaleczyłam, bo jestem jego przybraną, a nie biologiczną matką. Kocham Chada najprawdziwszą matczyną miłością.

Zamilkła, pierś jej falowała.

– Chcę, żebyście oboje to wiedzieli.

– Wiemy – odparła Victoria. – Usiądźmy. Kiedy usiedli, znów przejęła inicjatywę.

– Wprawdzie to dopiero początek, jednak czas pomyśleć o uzasadnionych wątpliwościach. W ich oskarżeniu są luki. Wykorzystam je. Wpierw jednak chciałabym poznać inne hipotezy.

– Inaczej mówiąc, innych podejrzanych – dopowiedział Myron.

– Otóż to – podchwyciła.

– Już teraz chowa pani jednego asa w rękawie, prawda?

Spokojnie skinęła głową.

– Tak.

– Tada Crispina, zgadza się? Na Victorii nie zrobiło to wrażenia, ale Lindę zaskoczyło.

– Owszem, jest podejrzany.

– Wczoraj wieczorem zostałem jego agentem – rzekł Myron. – Rozmowa o nim spowodowałaby sprzeczność interesów.

– Wobec tego nie będziemy o nim mówić.

– Nie jestem pewien, czy to wystarczy.

– W takim razie zrezygnuje pan z niego – oświadczyła Victoria. – Linda wynajęła pana pierwsza. Ma pan wobec niej zobowiązania. Jeśli widzi pan tu jakąś sprzeczność, zadzwoni pan do Tada Crispina i mu powie, że nie może go pan reprezentować.

Wiedziała, że wpadł w pułapkę.

– Porozmawiajmy o innych podejrzanych – zaproponował.

Kiwnęła aprobująco głową. Wygrała bitwę.

– Niech pan mówi – zachęciła.

– Po pierwsze, Esme Fong.

Myron przedstawił im wszystkie argumenty wskazujące na uzasadnione podejrzenia wobec Esme. Victoria, jak zwykle, miała senną minę, a Linda taką, jakby chciała zamordować.

– Uwiodła mojego syna?! – krzyknęła. – Ta zmija weszła pod mój dach i uwiodła mi syna?!

– Najwyraźniej.

– Nie wierzę! To dlatego Chad trafił do tego obscurnego motelu?

– Tak...

– Dobra nasza – wtrąciła Victoria. – Esme Fong miała motyw, możliwość i jako jedna z wielu wiedziała, gdzie jest Chad.

– Niestety, ma też alibi – dodał Myron.

– Niezbyt mocne. Z tego hotelu są na pewno inne wyjścia. Mogła się przebrać. Mogła się wymknąć, kiedy Miguel był w łazience. To dobra kandydatka. Kto jeszcze?

– Lloyd Rennart.

– Kto?

– Były workowy Jacka – wyjaśnił Myron. – To ten, który pomógł mu zawalić mistrzostwa.

– Dlaczego on? Victoria zmarszczyła brwi.

– Zwróćcie uwagę na zbieżność w czasie. Jack wraca na miejsce swojej największej klęski i nagle dzieje się to wszystko. To nie może być przypadek. Wyrzucając Rennarta, Jack zrujnował mu życie. Rennart rozpił się. Zabił żonę w katastrofie.

– Co takiego? – spytała Linda.

– Niedługo po tamtych mistrzostwach pijany Lloyd skasował samochód. W kraksie zginęła jego żona.

– Znałaś ją? – spytała Victoria.

Linda pokręciła głową.

– Nie poznaliśmy jego rodziny – odparła. – Spotykałam go, o ile pamiętam, tylko na polu golfowym i u nas w domu.

Victoria splótła ręce i usiadła wygodniej.

– Dla mnie nie jest podejrzany.

– Rennart pragnął się zemścić. Czekał na to dwadzieścia trzy lata.

Victoria ponownie zmarszczyła brwi.

– Przyznaję, to teza trochę naciągana – dodał Myron.

– Trochę? Niedorzeczna. Czy pan wie, gdzie podziewa się Lloyd Rennart?

– To trochę skomplikowane.

– Ach tak.

– Być może popełnił samobójstwo.

Victoria spojrzała na Lindę i znów na Myrona.

– Zechce pan to rozwinąć?

– Nie znaleziono ciała. Lecz w powszechnej, opinii skoczył w przepaść w Peru.

– No nie... – jęknęła Linda.

– Co się stało? – spytała Victoria.

– Dostaliśmy stamtąd pocztówkę.

– Kto?

– Jack. Zeszłej jesieni albo w zimie. Ale bez podpisu. Myronowi przyśpieszył puls. Zeszłej jesieni albo w zimie!

Mniej więcej właśnie wtedy Lloyd Rennart podobno skoczył w przepaść.

– Co na niej było?

– Tylko dwa słowa: „Wybacz mi”.

Zapadła cisza.

– Nie wygląda mi to na słowa mściciela – odezwała się Victoria.

– Fakt – przyznał Myron. Przypomniawszy sobie o pieniądzach, za które Rennart kupił dom i bar. Ta kartka potwierdzała jego podejrzenia: Jackowi podstawiono nogę. – Ale dowodzi, że wydarzenia sprzed dwudziestu trzech lat nie były przypadkowe.

– I co nam z tego? – spytała Victoria.

– Ktoś zapłacił Rennartowi za przegraną Jacka w mistrzostwach. Ten ktoś miałby motyw.

– Żeby zabić Rennarta, nie Jacka – odparowała. Celny argument. Czy aby na pewno? Dwadzieścia trzy lata temu ktoś nienawidził Jacka na tyle mocno, by pogrzebać jego szanse na wygranie mistrzostw. A jeżeli ta nienawiść nie osłabła? A może Jack Coldren poznał prawdę i trzeba było zamknąć mu usta. Tak czy owak należało zbadać ów trop.

– Nie chcę drażnić przeszłości – oświadczyła Victoria. – Można narobić bałaganu.

– Sądziłem, że pani lubi bałagan. Bałagan to żyzny grunt dla uzasadnionych wątpliwości.

– Lubię uzasadnione wątpliwości. Nie lubię nieznanego. Niech pan się zajmie Esme Fong. Niech pan się zajmie Squiresami. Niech pan się zajmie czymkolwiek. Ale niech pan nie rusza przeszłości, Myron. Nigdy nie wiadomo, co się tam znajdzie.

Rozdział 37

– Pani Rennart? Tu Myron Bolitar – przedstawił się przez telefon w samochodzie.

– Tak, panie Bolitar?

– Przyrzekłem dzwonić raz na jakiś czas. Informować panią na bieżąco.

– Dowiedział się pan czegoś nowego? Jak to rozegrać?

– Nie o Lloydzie. Jak dotąd nie ma żadnych dowodów na to, że śmierć pani męża nie była samobójstwem.

– Rozumiem... – Francine Rennart zamilkła. – W jakiej sprawie pan dzwoni?

– Słyszała pani o zabójstwie Jacka Coldrena?

– Oczywiście. Mówią o tym wszystkie stacje... Chyba nie podejrzewa pan, że Lloyd...

– Nie – zaprzeczył szybko. – Ale żona Jacka twierdzi, że Lloyd przysłał mu z Peru kartkę.

Tuż przed śmiercią.

– Rozumiem – powtórzyła. – Co napisał?

– Tylko dwa słowa: „Wybacz mi”. Bez podpisu.

– Lloyd nie żyje, panie Bolitar – odparła po krótkiej pauzie. – Jack Coldren również. Zostawmy to.

– Nie chcę szkodzić reputacji pani męża, jednak staje się jasne, że ktoś zmusił go do przekreślenia szans Jacka w turnieju albo mu za to zapłacił.

– I ja mam panu pomóc w zdobyciu dowodów?

– Kimkolwiek jest ten człowiek, nie można wykluczyć, że zabił Jacka Coldrena i okaleczył jego syna. Pani mąż przysłał Jackowi kartkę, prosząc o wybaczenie. Z całym szacunkiem, pani Rennart, ale czy mąż nie życzyłby sobie, żeby pani mi pomogła?

Znów zapadło milczenie.

– Czego pan ode mnie chce, panie Bolitar? – spytała Francine Rennart. – Ja nic nie wiem o tych wydarzeniach.

– Oczywiście. A czy po Lloydzie nie zostały jakieś zapiski? Prowadził dziennik albo pamiętnik? Cokolwiek, co mogłoby naprowadzić nas na jakiś trop?

– Nie prowadził dziennika ani pamiętnika.

– Może znajdzie się coś innego. – Tylko ostrożnie, Myronie. Stąpaj ostrożnie, upomniał siebie. – Jeśli Lloyd otrzymał rekompensatę (cóż za rozkoszne określenie łapówki), mogły się zachować kwity z banku, listy...

– W piwnicy stoją pudła – odparła. – Ze starymi zdjęciami, być może z dokumentami. Wątpię jednak, czy są tam jakieś wyciągi bankowe.

Francine Rennart na chwilę zamilkła. Myron wciąż przyciskał słuchawkę do ucha.

– Lloyd zawsze miał dużo gotówki – dodała cicho. – Nie pytałam skąd.

Myron oblizał usta.

– Pani Rennart, mogę zajrzeć do tych pudeł?

– Wieczorem – odparła. – Niech pan wpadnie wieczorem.

Esperanza jeszcze nie wróciła. Ale ledwie usiadł, zadzwonił domofon.

– Tak?

– Chcą się z panem widzieć jakiś dżentelmen i młoda dama – poinformował z nienaganną dykcją strażnik przy bramie wjazdowej. – Twierdzą, że nie są z prasy.

– Podali nazwiska?

– Dżentelmen przedstawił się jako Carl.

– Proszę ich wpuścić.

Myron wyszedł przed dom. Podjazdem wspinało się kanarkowe audi. Carl zatrzymał samochód i wysiadł. Włosy miał proste, świeżo „spod prasy”. Z drzwiczek po stronie pasażera wyłoniła

się młoda, niespełna dwudziestoletnia Murzynka i rozejrzała się dokoła oczami wielkimi jak anteny satelitarne.

Carl obrócił się w stronę stajni i osłonił oczy wielką dłonią. Amazonka w pełnym rynsztunku pokonywała właśnie tor przeszkód.

– To się nazywa steeplechase? – zagadnął Carl.

– Żeby to ja wiedział – odparł Myron.

Carl wciąż patrzył na amazonkę. Zsiadła z konia, zdjęła Czarny toczek i poklepała zwierzę.

– Czarni bracia rzadko się tak ubierają – rzekł Carl.

– Disc jockeye również. Carl zaśmiał się.

– Nieźle – pochwalił. – Nie powiem: dobre, ale nieźle. Trudno zaprzeczyć.

– Wpadłeś tu na lekcję jazdy konnej? – spytał Myron.

– Jeszcze czego. To jest Kiana. Chyba nam pomoże.

– Nam?

– Tobie i mnie, brachu. Zagram twojego sympatycznego Czarnego partnera.

– Mowy nie ma.

Myron pokręcił głową.

– Jak to?

– Czarny sympatyczny partner zawsze ginie. I to zwykle szybko.

Carl zawahał się.

– Cholerka, całkiem zapomniałem.

Myron skwitował to wzruszeniem ramion, mówiącym „cóż poradzić”.

– Kim jest ta dziewczyna? – spytał.

– Kiana pracuje jako pokojówka w Zajeździe Dworskim. Myron spojrział na nią. Stała na tyle daleko, że ich nie słyszała.

– Ile ma lat?

– A bo co?

Myron wzruszył ramionami.

– Tak tylko pytam. Młodo wygląda.

– Szesnaście. I wiesz co? Nie jest panną z dzieckiem, nie bierze zasiłku i nie ćpa.

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Jasne. A twoja ślepa na kolory mózgowica jest impregnowana na rasistowski szajs.

– Zrób coś dla mnie, Carl. Wykłady na temat wrażliwości rasowej przełoż na spokojniejszy dzień. Co ona wie?

Carl przywołał dziewczynę krótkim skinieniem głowy. Podeszła, długonoga, długoręka, wielkooka.

– Kiedy pokazałem jej tę fotkę – Carl wręczył Myronowi zdjęcie Jacka Coldrena – przypomniała sobie, że widziała go w Zajeździe Dworskim.

Myron zerknął na zdjęcie, a potem na Kianę.

– Widziałaś tego mężczyznę w motelu? – spytał.

– Tak.

Pewny, mocny głos maskował jej wiek. Szesnastolatka. Rówieśniczka Chada. Trudno uwierzyć.

– Pamiętasz kiedy?

– W zeszłym tygodniu. Widziałam go dwa razy.

– Dwa?

– Tak.

– W czwartek albo piątek?

– Nie – odparła z przekonaniem. Żadnego kręcenia rękami, przebierania nogami, strzelania spojrzzeniami na boki. – W poniedziałek albo wtorek. Najpóźniej w środę.

Myron spróbował przetrwać ten szczegół. Jack odwiedził Zajazd Dworski dwukrotnie przed swoim synem. Dlaczego? Powód wydawał się prosty: skoro ich małżeństwo umarło dla Lindy, najpewniej umarło i dla niego. On również miał pozamałżeńskie przygody. Może świadkiem jednej z nich był Matthew Squires. Jack przyjechał tam w swojej sprawie i natknął się na samochód syna. Domysł niepozbawiony sensu...

Z tym że byłby to niebywały zbieg okoliczności. Ojciec i syn trafiający jednocześnie do tego samego taniego motelu schadzek? Oczywiście zdarzają się przeróżne zbiegi okoliczności, ale nie aż takie.

– Był sam?

Myron wskazał na zdjęcie Jacka.

– W Zajeździe Dworskim rzadko wynajmuje się jedyńki – odparła z uśmiechem Kiana.

– Widziałaś, z kim był?

– Przez moment. Zameldował ich ten ze zdjęcia. Druga osoba została w samochodzie.

– Ale widziałaś ją? Choćby krótko.

Kiana zerknęła na Carla i spojrzała na Myrona.

– To nie była ona.

– Słucham?

– Ten ze zdjęcia nie był z kobietą – wyjaśniła. Myron, któremu z nieba na głowę spadł nagle wielki głaz, zerknął na Carla. Carl pokiwał głową. Następne skojarzenie. I to jakie. Małżeństwo bez miłości. Wiedział już, dlaczego Linda Coldren je podtrzymywała – bała się, że po rozwodzie straci syna. Lecz co z Jackiem? Dlaczego nie odszedł? Odpowiedź nasuwała się sama: małżeństwo z piękną, wciąż podróżującą po świecie żoną stanowiło idealny kamuflaż. Przypomniał sobie reakcję Dianę Hoffman na pytanie, czy sypia z Jackiem Coldrenem. Zaśmiała się i odparła: „Z Jackiem? Jeszcze czego”. Jack był gejem.

– Możesz opisać mężczyznę, który mu towarzyszył? – poprosił Myron Kianę.

– Starszy... pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat. Biały. Długie ciemne włosy, gęsta broda. Tyle mogę powiedzieć.

To mu wystarczyło.

Sprawa zaczęła nabierać kształtów. Na razie nie całkiem wyraźnych, niemniej bardzo zbliżył się do jej rozwiązania.

Rozdział 38

Carl odjechał, przyjechała Esperanza.

– Znalazłaś coś? – spytał Myron.

Wręczyła mu fotokopię z wycinkiem z gazety sprzed lat.

– Przeczytaj.

FATALNA KRAKSA, głosił oszczędny nagłówek.

Pan Lloyd Rennart, zamieszkały przy Darby Place 27, wpadł autem na samochód zaparkowany na South Dean Street, blisko skrzyżowania z Coddington Terrace. Kierowca, podejrzany o jazdę w stanie nietrzeźwym, trafił do aresztu policyjnego. W szpitalu św. Elżbiety, dokąd przewieziono rannych, stwierdzono zgon jego żony, Lucille Rennart. Przygotowania do nabożeństwa żałobnego w toku.

Myron przeczytał notatkę dwa razy.

– „Przewieziono rannych” – zacytował. – A więc było ich więcej.

Esperanza skinęła głową.

– Kto jeszcze został ranny?

– Nie wiem. Więcej o tym nie pisano.

– Nic o aresztowaniu, akcie oskarżenia, sprawie sądowej?

– Nic. W każdym razie niczego nie znalazłam. Żadnych więcej wzmianek o Rennartach.

Próbowałam wydobyć informacje ze szpitala Świętej Elżbiety, ale odmówili pomocy.

Zasłonili się tajemnicą szpitalną. Zresztą wątpię, czy mają w komputerach dane z lat siedemdziesiątych.

Myron pokręcił głową.

– Strasznie to wszystko dziwne.

– Widziałam, że wyjeżdża stąd Carl. Czego chciał?

– Przywiózł pokojówkę z Zajazdu Dworskiego. Zgadnij z kim Jack Coldren spotkał się tam na popołudniowej rozkosznej randce?

– Z Tonyą Harding?

– Blisko. Z Normem Zuckermanem.

Esperanza przekrzywiła głowę kilka razy, jakby oceniała abstrakcyjny obraz w nowojorskim Muzeum Sztuki.

– Nie jestem zdziwiona. W każdym razie nie Normem. Nigdy się nie ożenił. Nie ma rodziny. Zawsze otacza się młodymi, pięknymi kobietami.

– Na pokaz.

– Właśnie. Są jak sztuczne brody. Jak kamuflaż. Norm reprezentuje wielką firmę odzieży sportowej. Ujawnienie, że jest gejem, mogłoby go zrujnować.

– Gdyby się to wydało...

– Bardzo by mu zaszkodziło – dopowiedziała Esperanza.

– Można z tego powodu zamordować?

– Oczywiście. W grę wchodzi miliony dolarów i reputacja. Ludzie zabijają ze znacznie bliższych powodów.

– Pytanie, jak do tego doszło. Przypuśćmy, że Chad i Jack przypadkiem wpadają na siebie w Zajeździe Dworskim. Chad domyśla się, co łączy jego tatę z Normem. Może wspomina o tym Esme, którą Norm zatrudnia. Może ona i Norm...

– Robią co? Porywają chłopca, ucinają mu palec, a potem wypuszczają?

– Tak, to się kupy nie trzyma – przyznał Myron. – Na razie. Ale jesteśmy blisko.

– Pewnie, zawężamy pole poszukiwań. Rozważmy. Mogła to zrobić Esme Fong. Mógł to zrobić Norm Zuckerman. Mógł to zrobić Tad Crispin. Mógł to zrobić nadal żyjący Lloyd Rennart.

Mogła to zrobić jego żona albo syn. Mógł to zrobić Matthew Squires, jego ojciec albo obaj. Mógł to być również wspólny plan każdego z wymienionych, na przykład, rodziny Rennartów albo Norma z Esme. Mogła to zrobić Linda Coldren. Jak wyjaśni, że za narzędzie zbrodni posłużył pistolet z jej domu? Albo sprawę koperty i długopisu, które kupiła?

– Nie wiem – odparł wolno Myron. – Ale może jesteś na właściwym tropie.

– Jakim?

– Dostęp. Ten, kto zabił Jacka i odciął palec Chadowi, miał dostęp do domu Coldrenów. Jeśli wykluczyć włamanie, kto mógłby zabrać stamtąd pistolet i materiały piśmienne?

Esperanza nie miała wątpliwości.

– Linda Coldren, Jack Coldren, być może młody Squires, skoro lubi wlaźić przez okno. – Urwała. – To chyba wszyscy.

– No dobrze. Idźmy dalej. Kto wiedział, że Chad przebywa w Zajeździe Dworskim? No bo porywacz musiał przecież wiedzieć, gdzie on jest, prawda?

– Tak. Dobrze, a więc znowu Jack, Matthew Squires, Esme Fong i Norm Zuckerman. Kurczę, Myron, to naprawdę pomaga.

– Kto występuje na obu listach?

– Jack i Matthew. Jacka możemy wykluczyć, w końcu jest ofiarą.

Myron przypomniał sobie rozmowę z Winem. Tę o jawnej żądzy zwycięstwa. Jak daleko posunąłby się Jack, żeby je sobie zapewnić? Zdaniem Wina, nie cofnąłby się przed niczym. Czy na pewno?

– Hej, Myron!

Esperanza strzeliła mu przed nosem palcami.

– Słucham?

– Powiedziała, że możemy wykluczyć Jacka. Martwi rzadko zakopują w lesie narzędzia zbrodni.

Słusznie.

– Pozostaje Matthew Squires, wątpię jednak, czy to on – odparł.

– Ja też – przyznała. – Niemniej o kimś zapominamy, o kimś, kto wiedział, gdzie jest Chad, i miał dostęp do pistoletu i materiałów piśmiennych.

– O kim?

– O Chadzie Coldrenie.

– Myślisz, że sam sobie uciął palec?

Esperanza wzruszyła ramionami.

– A co z twoją starą teorią o mistyfikacji? O porwaniu, które wymknęło się spod kontroli? Pomyśl. Może Chad posprzeczał się z Titem. Może to on go zabił.

Myron rozważył tę możliwość. Pomyślał o Jacku... Esme... Lloydzie Rennarcie... i pokręcił głową.

– To prowadzi donikąd. Sherlock Holmes przestrzegwał, żeby nie snuć teorii bez znajomości wszystkich faktów, bo wówczas nagina się fakty do teorii, zamiast budować teorię na faktach.

– Dotąd nas to nie powstrzymywało.

– Słusznie. – Myron sprawdził godzinę. – Muszę jechać do Francine Rennart.

– Żony workowego Jacka Coldrena?

– Tak.

Esperanza kilka razy wciągnęła nosem powietrze.

– Co z tobą? – spytał.

Wciągnęła powietrze mocno jeszcze raz.

– Czuję, że to całkowita strata czasu – odparła.

Węch ją zawiódł.

Rozdział 39

Victoria Wilson zadzwoniła na telefon w jego taurusie. Zastanawiał się, co robili ludzie przed epoką telefonów w samochodach, komórek i pagerów.

Pewnie znacznie lepiej się bawili.

– Policja znalazła zwłoki pańskiego neofaszysty – poinformowała. – Nazywał się Marshall.

– Tito Marshall? – Myron zmarszczył brwi. – Błagam, niech pani powie, że żartuje.

– Nie żartuję.

W to łatwo mógł uwierzyć.

– Czy policja kojarzy go z naszą sprawą?

– Ani trochę.

– Przyjmuje, że zginął od strzału?

– Tak wynika ze wstępnych oględzin. Strzelono mu dwa razy w głowę z bliska z trzydziestkiósemki.

– Z trzydziestkiósemki? Ale Jacka zabito z dwudziestkidwójki.

– Wiem o tym.

– A więc Jacka Coldrena i Tita Marshalla zabito z różnych pistoletów.

– Aż dziw, że nie para się pan zawodowo balistyką – Victoria ponownie dała mu odczuć swoje znudzenie.

Świat roi się od prześmiewców. Tak czy siak nowy zwrot wydarzeń obalił cały pęk hipotez. Skoro Coldrena i Marshalla zabito z innych pistoletów, to czy zabójców było dwóch? A może jeden, na tyle przebiegły, by użyć różnych broni? Chyba że po pozbyciu się trzydziestkiósemki, z której zabił Tita, musiał zastrzelić Jacka z dwudziestkidwójki, bo nie miał wyjścia. Notabene, co za kretyn nadaje chłopcu o nazwisku Marshall imię Tito? Nosić przez całe życie imię Myron było wystarczająco ciężkim krzyżem. Ale Marszałek Tito? Nic dziwnego, że młodzian został neofaszystą. Pewnie zaczął od wściekłego anty komunizmu.

– Dzwonię jednak w innej sprawie – przerwała mu te myśli Victoria.

– Tak?

– Przekazał pan wiadomość Winowi?

– A więc to pani sprawka. Zdradziła pani jego matce, gdzie będę.

– Niech pan odpowie na pytanie.

– Przekazałem.

– Co powiedział?

– Przekazałem, lecz nie zamierzam mówić o reakcji mojego przyjaciela.

– Cissy poczuła się gorzej.

– Przykro mi.

– Gdzie pan jest? – spytała po chwili.

– Wjechałem na autostradę New Jersey. Jestem w drodze do domu Lloyda Rennarta.

– Odradziłam panu ten wątek.

– Zgadza się.

– Do widzenia, Myron – pożegnała się po krótkiej chwili i rozłączyła.

Myron westchnął. Raptem zapragnął wrócić do czasów sprzed telefonów w samochodach, bez komórek i pagerów. Człowiek nie miał chwili spokoju. Wszędzie go dopadli.

Godzinę później zaparkował przed skromnym domem Rennartów i zapukał do drzwi. Pani Rennart otworzyła mu natychmiast. Przez kilka długich sekund przyglądał się jej twarzy. Milczeli. Nie przywitali się, nie pozdrowili uniesionymi rękami.

– Zmęczony pan – powiedziała wreszcie.

– Tak.

– Czy Lloyd naprawdę wysłał tę kartkę?

– Tak – odparł odruchowo.

Ale zaraz zadał sobie pytanie, czy tę kartkę naprawdę wysłał jej mąż. A jeśli Linda szykowała go do odegrania głównej roli w musicalu Wielki Frajer? Weźmy na przykład brak taśmy z nagraniem rozmową. Jeżeli porywacz faktycznie zadzwonił do Jacka przed jego śmiercią, gdzie się podziało nagranie? Może żadnej rozmowy nie było. Może Linda skłamała. Również w sprawie pocztówki. Może wszystko było jednym wielkim kłamstwem. Może dał się zwieść jak napędzany hormonami samiec w którejś z dennych, tandetnych, przeznaczonych na rynek wideo podróbek Żaru ciała z „aktorkami” o imionach w rodzaju Shannon i Tawny.

Nieprzyjemna myśl.

Francine Rennart w milczeniu wprowadziła go do ciemnej piwnicy. Kiedy zeszli na dół, sięgnęła ręką w górę i zapaliła nagą, rozkołysaną żarówkę przywodzącą na myśl Psychozę Hitchcocka. W wybetonowanym pomieszczeniu stał bojler, piec gazowy, pralka, suszarka oraz pojemniki z różnych materiałów, rozmaitej wielkości i kształtów. Na wprost leżały cztery pudła.

– To jego stare rzeczy – wyjaśniła Francine Rennart, nie patrząc w dół.

– Dziękuję.

Próbowała, lecz nie mogła na nie spojrzeć.

– Będę na górze – powiedziała.

Odprowadził wzrokiem jej znikające stopy, obrócił się do pudełek i kucnął. Były zaklejone taśmą. Wyjął mały scyzoryk i rozciął ją.

W pierwszym pudle znajdowały się pamiątki golfowe. Certyfikaty, nagrody, stare kołeczki do piłek. Także piłka do golfa na drewnianej podstawie z zardzewiałą plakietką z tekstem:

AS – DOŁEK PIĘTNASTY W HICKORY PARK – 17 STYCZNIA 1972

Ciekawe, co czuł Lloyd tamtego pogodnego, rześkiego popołudnia. Jak często wracał potem pamięcią do owego strzału, ile razy, siedząc w swoim fotelu wypoczynkowym, próbował odtworzyć tamtą czystą frajdę? Czy pamiętał dotyk rączki kija, napięcie w ramionach, kiedy robił zamach, mocne, czyste uderzenie w piłkę i jej lot w powietrzu?

W drugim pudle Myron znalazł świadectwo ukończenia szkoły średniej oraz rocznik Uniwersytetu Stanowego Pensylwanii, a w nim zdjęcie drużyny golfowej. Lloyd Rennart był jej kapitanem. Myron dotknął palcem dużego P z filcu, oznaczającego uniwersytet. Był też list pochwalny od trenera uczelnianej drużyny. Myronowi rzuciły się w oczy słowa „wspaniała przyszłość”. Wspaniała przyszłość? Trener może potrafił dopingować graczy, ale okazał się kiepskim prorokiem.

W trzecim pudle na wierzchu leżało amatorskie zdjęcie z Korei. Przedstawiało grupę kilkunastu chłopaków i mężczyzn w rozpiętych mundurach polowych, z bronią zawieszoną na szyi. Mnóstwo zadowolonych uśmiechów. Lloyd zdawał się chudszy, lecz nie mizerny ani zabiedzony.

Myron odłożył zdjęcie. W tle Betty Buckley nie śpiewała Memory, choć może powinna. Te pudła żyły życiem, które na przekór wszystkim doświadczeniom, marzeniom, pragnieniom i nadziejom postanowiło dobiec kresu.

Z dna pudła Myron wydobyl album ślubny. Na spłowiałej złotej kartce widniały słowa: Lloyd i Lucille, 17 listopada 1968, teraz i na zawsze. Jeszcze więcej ironii. Okładkę ze sztucznej skóry pokrywały zaschnięte pierścienie po drinkach. Pierwsze małżeństwo Lloyda, starannie zapakowane i odłożone na dno kartonu.

Już miał odłożyć album na bok, kiedy górę wzięła w nim ciekawość. Usiadł w szerokim rozkroku, jak chłopak z nową paczką kart z baseballistami. Położył album na betonowej podłodze i otworzył go. Niedotykana od lat oprawa trzasnęła.

Na widok pierwszego zdjęcia o mało nie krzyknął.

Rozdział 40

Myron nie zdejmował nogi z gazu.

Na Chestnut Street w pobliżu Czwartej Ulicy nie wolno parkować, mimo to się nie zawahał. Nie zwracając uwagi na chór klaksonów, wyskoczył z auta, zanim jeszcze na dobre stanęło, przebiegł przez recepcję hotelu Omni i wpadł do otwartej windy. Wysiadł na ostatnim piętrze, odnalazł właściwy numer i mocno zapukał. Drzwi otworzył Norm Zuckerman.

– Bube – powitał go z szerokim uśmiechem. – Co za miła niespodzianka.

– Mogę wejść?

– Ty? Oczywiście, kochany, zawsze.

Myron szybko go wyminął. Pierwszy pokój był – używając żargonu z hotelowego folderu – przestronny i elegancko umeblowany. Siedząca na kanapie Esme Fong spojrzała na Myrona z miną osaczonego królika. Ze stolika do kawy spadały kaskadą, zaścielając podłogę, plakaty, plany, reklamy i inne akcesoria. Wśród nich powiększone zdjęcia Tada Crispina i Lindy Coldren. Wszędzie oko trafiało na znaki firmowe Zoomu, natarczywe jak mściwe duchy i sprzedawcy oferujący towary przez telefon.

– Opracowujemy strategię – wyjaśnił Norm. – Ale zawsze możemy zrobić sobie przerwę, co, Esme?

Esme Fong skinęła głową.

Norm przeszedł za barek.

– Czego się napijesz, Myron? – spytał. – Wątpię, czy mają tu yoo-hoo, ale na pewno...

– Niczego – przerwał mu Myron.

Norm uniósł ręce w żartobliwym geście poddania.

– Matko, tylko bez nerwów. Co cię ugryzło?

– Chciałem cię ostrzec, Norm.

– Ostrzec? Przed czym?

– Robię to z przykrością. Twoje życie miłosne to sprawa osobista. Niestety, nic nie poradzę, Norm. Za późno. To się wyda. Przykro mi.

Norm Zuckerman ani drgnął. Dopiero po chwili otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale zrezygnował.

– Jak się dowiedziałeś? – spytał.

– Byłeś z Jackiem. W Zajeździe Dworskim. Widziała cię pokojówka.

Zuckerman spojrzał na Esme. Trzymała głowę wysoko.

– Czy wiesz, co się stanie, jeśli się rozejdzie, że jestem fajgele?

– Nic na to nie poradzę, Norm.

– Ta firma to ja, Myron. Zoom to moda, to symbol, to sport. A świat sportu, tak się niestety składa, jest najbardziej homofobicznym środowiskiem na świecie. W tym biznesie liczy się tylko wizerunek. Jeżeli odkryją, że jestem starą ciotą, wiesz, co się stanie? Spuszczą Zoom do szamba!

– Nie byłbym tego pewien. Tak czy siak nie da się tego ukryć.

– Czy policja już wie?

– Jeszcze nie.

Norm uniósł ręce w górę.

– Dlaczego to się musi wydać? Taki przelotny romans?! Owszem, poznałem Jacka. Wpadliśmy sobie w oko. Gdyby któryś z nas się z tym wygadał, obaj byśmy mnóstwo stracili. To nie było niewielkiego. I nie ma żadnego związku z jego śmiercią.

Myron zerknął na Esme. Spojrzeniem chciała na nim wymóc milczenie.

– Obawiam się, że ma – odparł.

– Obawiasz? Chcesz mnie zniszczyć, bo „się obawiasz”?

– Przykro mi.

– I nie odwiode cię od tego?

– Niestety.

Norm odszedł od barku i opadł na fotel. Schował twarz w dłonie, sunąc palcami do tyłu, aż wplątały się we włosy.

– Całe życie kłamałem, Myron – zaczął. – Dzieciństwo w Polsce spędziłem na udawaniu, że nie jestem Żydem. Dasz wiarę? Ja, Norm Zuckerman, udawałem, że jestem gamoniowatym gojem. Ale przeżyłem. Przyjechałem tutaj. I resztę dorosłego życia spędziłem, udając, że jestem prawdziwym mężczyzną, casanową, facetem, który u swojego boku ma zawsze piękną dziewczynę. Do kłamstw się przywyka, Myron. Kłamie się coraz łatwiej, wiesz? Kłamstwa stają się drugą rzeczywistością.

– Przykro mi, Norm.

Norm Zuckerman westchnął głęboko i zmusił się do uśmiechu.

– A może to i lepiej – powiedział. – Taki Dennis Rodman. Ubiera się jak transwestyta. I nic mu to nie szkodzi, prawda?

– Nic.

Zuckerman podniósł wzrok na Myrona.

– Zaraz po przyjeździe do tego kraju stałem się tak bezczelnie żydowski, jak tylko można. Powiedz prawdę. Widziałeś na oczy bardziej bezczelnego Żyda?

– Na oczy nie.

– Załóż się o swój tyłeczek jak malina, że tak. A kiedy już zacząłem, każdy radził mi, że bym stonował. Przestań być taki żydowski, mówili. Taki etniczny. Nigdy cię nie zaakceptują. – Twarz Norma rozjaśniła się nadzieją. – Może wywalczę to samo dla nas, ukrytych fajgeles, Myron. Ujawnię się, rozumiesz?

– Tak – odparł cicho Myron. – Kto jeszcze wiedział o tobie i Jacku?

– Wiedział?

– Wspomniałeś komuś o tym?

– Nie, skąd.

– A co z piękną dziewczyną u twojego boku? – Myron wskazał na Esme. – Z kimś, kto właściwie z tobą mieszka? Łatwo by to odkryła? Norm wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Gdy jesteś z kimś tak blisko, to mu ufasz. Przestajesz się pilnować. Więc pewnie wie. I co z tego?

– Powie mu pani? – spytał Myron Esme.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparła ze spokojem.

– O czym ma mi powiedzieć?

Myron wciąż patrzył jej w oczy.

– Zadawałem sobie pytanie, dlaczego uwiodła pani szesnastolatka. Żeby nie było nieporozumień: świetnie to pani zagrała. Te słowa o samotności, o tym, że Chad to taki miły, zdrowy chłopiec. Elokwencja podziwu godna, choć bez pokrycia.

– O czym ty mówisz, Myron?! – spytał Norm.

Myron nie odpowiedział.

– A do tego ten dziwny zbieg okoliczności: pani i Chad zjawiacie się w tym motelu o tej samej godzinie, co Norm i Jack. Niesamowite. Nie mogłem tego kupić, ponieważ, jak oboje wiemy, to wcale nie był przypadek. Pani to zaplanowała, Esme.

– Co zaplanowała? – wtrącił Norm. – Myron, wyjaśnisz mi wreszcie, o co, do diabła, chodzi?

– Norm, wspomniałeś mi, że wcześniej Esme zajmowała się kampanią sprzętu koszykarskiego Nike. Zrezygnowała z tej pracy, żeby przyjść do ciebie.

– I co?

- Za mniejsze wynagrodzenie?
- Niewiele mniejsze. – Norm wzruszył ramionami. – Tylko trochę.
- Od kiedy u ciebie pracuje?
- Nie pamiętam.
- Od ośmiu miesięcy?
- Tak – odparł Norm po chwili. – I co z tego?

– Uwiodła Chada Coldrena. Umówiła się z nim na schadzki w Zajeździe Dworskim. Ale nie po to, żeby się z nim przespać, nie dlatego, że czuła się samotna. Zwabiła go tam zgodnie z planem.

- Jakim planem?
- Chciała, żeby Chad zobaczył ojca z innym mężczyzną.
- Ha?

– Nie, nie ma mowy o przypadku. Esme chciała zniszczyć Jacka. Znała twój porządek dnia. Gdy dowiedziała się o waszym romansie, postanowiła tak wszystko zaaranżować, żeby Chad odkrył prawdziwą naturę ojca.

Esme milczała.

- Powiedz mi, Norm, umówiłeś się z Jackiem na czwartek wieczorem?

– Tak.

– I co się stało?

– Odwołał spotkanie. Zajechał na parking i się spłoszył. Podobno zobaczył znajomy samochód.

– Znajomy to mało. To był wóz jego syna. Esme się pośpieszyła. Jack odjechał, zanim Chad mógł go zobaczyć.

Myron wstał i podszedł do niej. Siedziała bez ruchu.

– Niemal od początku czułem pismo nosem – ciągnął. – Jack objął prowadzenie w turnieju. Żeby wybić go z uderzenia, porwała mu pani syna, z którym akurat była w motelu. Podejrzywałem to. Lecz przeoczyłem prawdziwy motyw. Dlaczego porwała pani Chada? Skąd w pani taka żądza zemsty na Jacku Coldrenie? Owszem, chodziło również o pieniądze. Zależało pani na sukcesie nowej kampanii reklamowej Zoomu. Gdyby Tad Crispin wygrał Otwarte Mistrzostwa Stanów, ogłoszono by panią geniuszem światowego marketingu. Wszystko to się liczyło. Jednak nie wyjaśniało oczywiście, dlaczego zwabiła pani Chada do Zajazdu Dworskiego, zanim Jack wyszedł na prowadzenie.

Norm westchnął.

- Oświeć nas, Myron. Z jakiegoż to powodu Esme miałyby zaszkodzić Jackowi?

Myron wyjął z kieszeni ziarniste zdjęcie. Z pierwszej strony albumu weselnego Lloyd'a i Lucille Rennartów. Uśmiechniętych. Szczęśliwych. Stali obok siebie. Lloyd w smokingu. Lucille z bukietem. Oszołamiająca w długiej białej sukni. Nie to jednak wstrząsnęło nim do głębi. Nie strój, nie kwiaty w ręku panny młodej, ale to, kim była. Lucille Rennart była Azjatką.

– Lloyd Rennart to pani ojciec – powiedział Myron. – Jechała z nim pani tego dnia, kiedy wpadł na drugi wóz. Matka zginęła. Panią przewieziono do szpitala.

Esme siedziała, jakby kij połknęła, lecz oddychała nierówno.

– Nie wiem, co działo się potem. Domyślam się, że pani ojciec stoczył się na dno. Pił. Zabił żonę. Czuł się skończony, do niczego. Być może zdał sobie sprawę, że nie zdoła pani wychować. Albo że na to nie zasłużył. Nie wykluczam, że dogadał się z krewnymi żony i powierzył panią ich opiece w zamian za to, że nie wniosą oskarżenia. Nie wiem, jak było. W każdym razie wychowała panią rodzina Lucille. Po uporządkowaniu swojego życia Lloyd zapewne uznał, że nie wolno wrywać pani z korzeniami. A może bał się, że córka odrzuci ojca, który ma na sumieniu śmierć jej matki. Tak czy siak milczał. Słowem nie wspominał drugiej żonie o pani istnieniu.

Po twarzy Esme Fong ciekły łzy. Myron sam miał ochotę zapłakać.

– Jak blisko jestem prawdy, Esme?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Znajdą się akta. Świadczenie urodzenia. Prawdopodobnie dokumenty adopcyjne. Odszukanie ich nie zajmie policji wiele czasu.

Myron podniósł w górę zdjęcie.

– Jest pani wystarczająco podobna do matki – dodał cicho. Po twarzy Esme wciąż płynęły łzy. Nie łkała. Nie szlochała.

Nie drżały jej mięśnie twarzy.

– Nawet jeśli Lloyd Rennart był moim ojcem, i tak nic pan na mnie nie ma – odparła. – Reszta to zwykły zbieg okoliczności.

– Nie, Esme. Gdy tylko policja potwierdzi pani pochodzenie, reszta pójdzie jak z płatka. Chad zaświadczy, że to pani zaproponowała na miejsce schadzki Zajazd Dworski. Dokładnie zbadają okoliczności śmierci Tita. Odkryją, co was łączy. Znajdą włókna, włosy. Skojarzą wszystko z sobą. Mam do pani jedno pytanie.

Nie zareagowała.

– Dlaczego odcięła pani palec Chadowi?

Bez zapowiedzi zerwała się do biegu. Zaskoczony, przesadził kanapę, żeby zastąpić Esme drogę, ale mylnie ocenił jej zamiary. Nie popędziła do wyjścia, tylko do sypialni. Swojej sypialni. Przesadził kanapę z powrotem, lecz za późno wpadł do jej pokoju.

W rękę miała pistolet i mierzyła w jego pierś. Z jej oczu wyczytał, że nie będzie żadnych wyjaśnień, zwierzeń, słów. Była gotowa strzelić.

– Szkoda fatygi – powiedział.

– Słucham?

Myron wyjął telefon komórkowy i podał go Esme.

– Do pani.

Przez chwilę stała bez ruchu. A potem, wciąż mierząc z pistoletu, sięgnęła po komórkę. Choć przycisnęła ją do ucha, Myron wszystko słyszał.

– Tu detektyw Alan Corbett z policji filadelfijskiej. Stoimy za drzwiami. Słyszeliśmy każde słowo. Proszę odłożyć broń.

Esme spojrzała na Myrona. Nadal celowała w jego pierś. Poczuł, jak po plecach spływa mu kropelka potu. Patrząc w wylot lufy, masz wrażenie, że zaglądasz w śmiertelną czeluść. Widzisz wyłącznie jej otwór, który rozrasta się w oczach do niesamowitych rozmiarów i szykuje, żeby cię pochłonać.

– To byłoby głupie – ostrzegł.

Skinęła głową.

– I bezcelowe.

Upuściła broń na podłogę. Drzwi otworzyły się nagle i wpadła policja.

– Trzydziestkaósemka – stwierdził, patrząc na pistolet. – To z niej zabiła pani Tita?

Mina Esme to potwierdziła. Nie ulegało wątpliwości, że po testach balistycznych prokurator ją schrupie.

– Tito był obłąkany – odparła. – Musi mi pan uwierzyć. Obciął chłopcu palec. Zaczął żądać pieniędzy.

Myron skinął wymijająco głową. Jej obrona zabrzmiała prawdziwie.

Corbett założył Esme kajdanki.

– Jack Coldren zniszczył całą moją rodzinę! – wyrzuciła z siebie. – Zrujnował życie ojcu, zabił moją matkę. I za co? Ojciec nic złego mu nie zrobił.

– Owszem, zrobił.

– Według Jacka Coldrena, wyciągnął z worka niewłaściwy kij. Ojciec pomylił się. Przypadkiem. Czy powinien zapłacić za to taką cenę?!

To nie była pomyłka ani przypadek. Ale Myron nie wiedział, jaką cenę należy za to zapłacić. Milczał.

Rozdział 41

Policja wszystkim się zajęła. Corbett zadawał pytania, Myron nie miał jednak nastroju do zwierzeń. Opuścił hotel natychmiast, gdy tylko detektyw odwrócił od niego uwagę, i pojechał do aresztu w komendzie, z którego lada chwila miano zwolnić Lindę Coldren. Wbiegł po betonowych schodach susami, biorąc w pędzie po trzy, cztery stopnie naraz, w stylu trójskoczka na olimpiadzie dla niepełnosprawnych.

Victoria Wilson prawie – prawie! – się do niego uśmiechnęła.

– Linda wyjdzie za kilka minut – poinformowała.

– Ma pani taśmę, o którą prosiłem?

– Tę z rozmową Jacka z porywaczem?

– Tak.

– Mam. Ale dlaczego pan...

– Proszę mi ją dać.

Powiedział to takim tonem, że bez protestu sięgnęła do torebki i wyjęła taśmę.

– Pozwoli pani, że odwiozę Lindę do domu? – spytał. Victoria Wilson przyjrzała się mu badawczo.

– Może to dobry pomysł – odparła.

Wszedł policjant.

– Jest gotowa do wyjścia – oznajmił.

– Nie miała pani racji z tym grzebaniem w przeszłości – rzekł Myron do Victorii, widząc, że się odwraca. – Ta przeszłość uratowała naszą klientkę.

– Jak już powiedziałam: nigdy nie wiadomo, co się znajdzie – odparła, patrząc mu w oczy.

Czekali, kto pierwszy zerwie kontakt wzrokowy. Mierz yli się wzrokiem aż do otwarcia drzwi.

Przebrana z powrotem w cywilny strój, Linda wyszła tak niepewnie, jakby trzymano ją w ciemnej celi i bała się, czy jej oczy zniosą światło. Na widok Victorii uśmiechnęła się szeroko i po wymianie uścisków wtuliła twarz w ramię prawniczki, kołysząc się w jej ramionach. Gdy wypuściły się z objęć, obróciła się do Myrona i go uści snęła. Zamknął oczy, rozluźnił mięśnie. Pocz uł zapach jej włosów i cudowny dotyk policzka na szyi. Trwali w objęciach dłużej czas, niczym w jakimś wolnym tańcu, nie chcąc, a być może odrobinę lękając się rozłączyć.

Victoria kaszlnęła w pięść i ich przeprosiła. Z pomocą policjantów dotarli do samochodu bez zbytniego natręctwa dziennikarzy. W milczeniu zapięli pasy.

– Dziękuję – powiedziała Linda.

Myron nie odpowiedział. Uruchomił wóz. Przez jakiś czas milczeli. Włączył klimatyzację.

– Coś między nami zaszło – odezwała się.

– Sam nie wiem. Martwiłaś się o syna. Może to nas zbliżyło.

Z jej miny wynikało, że w to nie wierzy.

– A ty. Nic nie czułeś? – spytała.

– Może – odparł. – Ale zarazem chyba strach.

– Strach? O co?

– O Jessicę.

Uśmiechnęła się ze zniecierpliwieniem.

– Nie mów, że należysz do mężczyzn, którzy boją się zaangażować.

– Przeciwnie. Boję się, że tak bardzo ją kocham. Że tak bardzo chcę się zaangażować.

– Więc w czym problem?

– Jessica już raz mnie rzuciła. Nie chcę przeżyć tego drugi raz.

Skinęła głową.

– Sądzisz, że to strach przed porzuceniem?

– Nie wiem.

– Ja coś poczułam. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Nie zrozum mnie źle. Miałam romanse. Takie jak z Tadem. Ale tym razem to co innego. – Spojrzała na niego. – Miłe, dobre uczucie.

Myron nie podjął tematu.

– Nie ułatwiasz mi zadania.

– Musimy omówić inne sprawy.

– Jakie?

– Victoria powiedziała ci o Esmie Fong?

– Tak.

– Pamiętasz o jej solidnym alibi, jeśli chodzi o śmierć Jacka?

– Które zapewnił jej nocny portier tak wielkiego hotelu jak Omni? Wątpię, czy po bliższym zbadaniu się utrzyma.

– Nie bądź tego taka pewna.

– Dlaczego?

Myron obrócił się w jej stronę.

– Wiesz, co nie dawało mi spokoju, Lindo?

– Nie. Co?

– Telefony w sprawie okupu.

– Dlaczego?

– Pierwszy był rano w dniu porwania. Odebrałaś go. Porywacze oznajmili, że mają waszego syna. Lecz nie wysunęli żądań. Od razu mnie to zdziwiło, a ciebie?

– Mnie również – odparła po namyśle.

– Wiem już, dlaczego ich nie wysunęli. Ale wtedy nie znaleźliśmy prawdziwego motywu porwania.

– Nie rozumiem.

– Esmie Fong porwała Chada, żeby się zemścić na Jacku. Pragnęła uniemożliwić mu wygranie turnieju. Ale jak? Myślałem, że porywając Chada, chce Jacka zdenerwować, wzburzyć, zdekoncentrować. Lecz samo porwanie tego nie gwarantowało. Musiała mieć pewność, że Jack przegra. Tylko o taki okup jej chodziło od początku. Tyle że odrobinę spóźniła się z żądaniem. Jack już wyjechał na turniej. A telefon odebrałaś ty.

Linda skinęła głową.

– Rozumiem. Musiała dotrzeć do Jacka bezpośrednio.

– Otóż to, ona albo Tito. Dlatego zadzwoniła do Jacka w Merion. Pamiętasz ten drugi telefon, który Jack odebrał po zakończeniu rundy?

– Oczywiście.

– Właśnie wtedy zażądano okupu. Porywacz zagroził mu wprost: jeżeli nie zaczniesz przegrywać, twój syn zginie.

– Chwileczkę. Jack powiedział, że porywacze nie wysunęli żadnych żądań. Że kazali mu przygotować pieniądze i że się odezwą.

– Skłamał.

– Ale... – Urwała. – Dlaczego?

– Nie chciał, żebyśmy znali prawdę. A konkretnie ty.

Linda pokręciła głową.

Myron wyjął kasetę, którą otrzymał od Victorii.

– Może to nam wyjaśni sprawę.

Włożył kasetę do odtwarzacza i po kilku sekundach usłyszeli głos Jacka; brzmiał jak zza grobu.

– Halo?

– Kim jest ta żółta dziwka?

– Nie wiem, o czym...

– W chuja ze mną grasz, głupi sukinsynu? Oj, bo zacznę ci przysyłać twojego gówniarza w małych kawałkach!

– Proszę...

– Po co mi to puszczasz, Myron? – spytała z lekkim rozdrażnieniem Linda.

– Jeszcze sekundę. Zaraz będzie to, co mnie zainteresowało.

– Nazywa się Esme Fong. Pracuje w firmie odzieżowej. Przyjechała tu ustalić z moją żoną warunki kontraktu reklamowego.

– Ściemniasz.

– Naprawdę, przysięgam!

– Nie wiem, Jack...

– Panu nie skłamałbym.

– Dobra, zobaczmy. Będziemy kontrolować.

– To znaczy?

– Sto tysięcy. Nazwijmy to grzywną.

– Za co?

Myron zatrzymał taśmę.

– Słyszałaś?

– Co?

– „Nazwijmy to grzywną”. Jasno i wyraźnie.

– I co z tego?

– Nie zażądał okupu, tylko grzywny.

– Powiedział to porywacz, Myron, który nie przejmuje się znaczeniem słów.

– „Sto tysięcy. Nazwijmy to grzywną” – zacytował. – Tak jakby zażądał okupu wcześniej. A te sto tysięcy dołożył przy sposobności. I co na to Jack? Porywacz żąda stu tysięcy. Można by oczekiwać, że zgodzi się mu zapłacić. Ale on zamiast tego pyta: „Za co”?, bo to jest dodatek do tego, co kazano mu zrobić. Posłuchaj dalej.

Myron wcisnął odtwarzanie.

– „Gówno ci do tego. Chcesz, żeby chłopak żył? Będzie cię to teraz kosztować sto tysięcy.

To do...

– Zaraz, chwileczkę....

Myron zatrzymał taśmę.

– „Będzie cię to teraz kosztować sto tysięcy” – zacytował. – „Teraz”. Oto kluczowe słowo.

Jakby chodziło o coś nowego. Jakby wcześniej, przed tym telefonem, porywacz wysunął inne żądanie. Jack przerywa mu, wpada w słowo, gdy tamten mówi: „To do...”. Dlaczego? Bo nie chce, żeby dokończył zdanie. Wie, że słuchamy. Idę o zakład, że następne słowo to „dodatek”. „To dodatek do naszego pierwszego żądania” albo „To dodatek do przegranej w turnieju”.

Linda wbiła w niego wzrok.

– Nadal nie rozumiem – powiedziała. – Po co Jack miałby zataić przed nami, czego chcą?

– Ponieważ nie miał zamiaru spełnić ich żądania. Lindę zamurowało.

– Słucham?

– Za bardzo chciał wygrać. Co więcej, potrzebował zwycięstwa. Musiał zwyciężyć. Nawet gdybyś poznała prawdę, ty, która wygrywałaś tak łatwo i tak często, i tak byś jej nie pojęła. Jack miał szansę się zrehabilitować. Powrócić po dwudziestu trzech latach na szczyt i nadać sens swojemu życiu. Jak bardzo pragnął wygrać, Lindo? Powiedz. Co byłby gotów poświęcić?

– Na pewno nie syna – odparła. – Owszem, Jack pragnął zwycięstwa. Ale nie aż tak, by poświęcić życie syna.

– On jednak widział to inaczej. Patrzył przez własny różowy pryzmat żądy. Człowiek widzi to, co chce, Lindo. To, co musi zrobić. Kiedy puściłem wam taśmę z banku, zobaczyliście co innego. Ty, nie chcąc uwierzyć, że syn byłby zdolny do takiej podłości, szukałaś wyjaśnień odpierających ów dowód. Jack przeciwnie. Chętnie uznał, że porwanie to wielka mistyfikacja, że stoi za nią wasz syn. Dzięki temu mógł dalej dążyć z wszystkich sił do zwycięstwa. A gdyby się pomylił, gdyby Chada rzeczywiście porwano, kidnaperzy najprawdopodobniej blefowali. Uznał, że nie spełnią swoich gróźb. Innymi słowy zrobił to, co musiał: zbagatelizował zagrożenie.

– Sądzisz, że żądza zwycięstwa tak bardzo zmąciła mu rozum?

– A dużo do tego potrzeba? Po obejrzeniu tej taśmy wszyscy mieliśmy wątpliwości. Nawet ty. Czy tak trudno mu było posunąć się krok dalej?

Linda zagłębiła się w fotelu.

– Zgoda. W to mogłabym uwierzyć. Tylko wciąż nie bardzo rozumiem, jak to się ma do reszty.

– Okaż mi jeszcze trochę cierpliwości. Wróćmy do chwili, gdy pokazałem wam taśmę z banku. Jesteśmy w waszym domu. Oglądamy nagranie. Jack wypada z domu. Jest wprawdzie zdenerwowany, lecz nadal gra na tyle dobrze, że utrzymuje przewagę. To rozsierdzą Esme. Kiedy Jack ignoruje jej groźbę, ona uświadamia sobie, że musi podwyższyć stawkę.

– Odcinając palec Chadowi.

– Pewnie odciął go Tito, ale ważne jest co innego. Palec został ucięty, a Esme chce go użyć, żeby pokazać Jackowi, że nie żartuje.

– Podrzuca go do mojego samochodu i go znajdujemy.

– Nie.

– Jak to?

– Najpierw znajduje go Jack.

– W moim samochodzie?

Myron pokręcił głową.

– Pamiętaj, że na breloku Chada były kluczyki twoje i męża. Esme chciała ostrzec Jacka, nie ciebie. Umieściła więc palec w jego samochodzie. Znalazł go. Oczywiście przeżył wstrząs, jednak za daleko zabrnął w kłamstwo. Gdyby prawda wyszła na jaw, nigdy byś mu nie wybaczyła. Nigdy by mu nie wybaczył Chad. A poza tym byłby to koniec jego kariery. Musiał się pozbyć palca. Włożył go do koperty i napisał tamte słowa. Pamiętasz? „Ostrzegałem, nie szukajcie pomocy”. Rozumiesz? Rozegrał to idealnie. Nie tylko odwrócił uwagę od siebie, ale na dodatek pozbył się mnie.

Linda przygryzła wargę.

– To wyjaśnia sprawą koperty i długopisu – powiedziała. – Pewnie miał w teczce trochę materiałów piśmiennych, które kupiłam.

– Właśnie. I teraz robi się naprawdę ciekawie. Uniosła brew.

– A dotychczas nie było?

– Chwileczkę. Jest sobota rano. Jack lada chwila przystąpi z ogromną przewagą do rundy finałowej. Większa niż dwadzieścia trzy lata temu. Jeżeli tym razem zawali, będzie to najdotkliwsza porażka w historii golfa. Jego nazwisko stanie się na zawsze synonimem nieudacznika. Przypadnie mu najbardziej znienawidzona rola. Z drugiej strony, nie jest potworem. Kocha syna. Już wie, że Chada naprawdę porwano. Zapewne bije się z myślami, jest w rozterce. W końcu podejmuje decyzję. Przegra turniej.

Linda milczała.

– Uderzenie po uderzeniu patrzemy, jak ginie. Win, który znacznie lepiej ode mnie rozumie niszczący wymiar żądy zwycięstwa, dostrzega, że Jack odzyskał ową żądzę, pragnienie zwycięstwa. A mimo to stara się przegrać. Nie załamuje się doszczętnie, bo to mogłoby wzbudzić podej-

rzenia, ale zaczyna tracić punkty. Dochodzi do remisu. A wtedy celowo knoci w kamienistym dole i traci prowadzenie. Wyobraź sobie, co się dzieje w jego głowie. Jak zмага się z sobą. Powiadają, że człowiek nie potrafi sam się utopić. Nawet gdyby miało to ocalić życie jego dziecku, nie przymusi się do pozostania pod wodą, aż mu pękną płuca. Jack próbował zrobić coś takiego.

Dosłownie zabijał siebie. Zdrowe zmysły odrywały się kawałkami od jego psychiki niczym darń na polu golfowym. Przy dołku osiemnastym instynkt samozachowawczy zwyciężył. Może Jack znów zbagatelizował zagrożenie, lecz najpewniej nie był w stanie postąpić wbrew sobie. Oboje zauważyliśmy tę przemianę, Lindo. Nagłą determinację na jego twarzy. Jack trafił i wyrównał wynik.

– Tak, dostrzegłam ją – potwierdziła bardzo cichym głosem. Wyprostowała się w fotelu i głęboko odetchnęła. – Esme z pewnością wpadła w popłoch.

– Oczywiście.

– Jack nie zostawił jej wyboru. Musiała go zabić.

Myron pokręcił głową.

– Nie.

Linda znów się stropiła.

– Przecież to logiczne. Sam powiedziałaś, że była w desperacji. Pragnęła zemścić się za ojca, a do tego doszła obawa, co się stanie, jeśli Tad Crispin przegra. Musiała zabić.

– Jest z tym pewien problem.

– Jaki?

– Tego wieczoru zadzwoniła do waszego domu.

– Tak. Wyzaczyła spotkanie na polu golfowym. Prawdopodobnie kazała Jackowi, żeby przyszedł sam i nic mi nie mówił.

– Nie. Nieprawda.

– Słucham?

– Gdyby tak było, mielibyśmy tę rozmowę na taśmie.

– O czym ty mówisz?

– Esme Fong rzeczywiście do was zadzwoniła. Domyślam się, że wzmacniła groźby. Pokazała, że nie żartuje. Jack pewnie błagał o wybaczenie. Tego nie wiem i zapewne nigdy się nie dowiem. Lecz założę się, że zakończył rozmowę obietnicą, iż nazajutrz przegra.

– No i? Co to ma wspólnego z nagraniem na taśmie?

– Jack przechodził piekło – ciągnął Myron. – Z powodu zbyt silnego stresu był prawdopodobnie bliski załamania. Tak jak powiedziałaś, wybiegł z domu i dotarł do Merion, swojego ulubionego miejsca na świecie. Na pole golfowe. Tylko po to, by przemyśleć sytuację? Nie wiem. Czy zabrał ze sobą pistolet? Zastanawiał się nad samobójstwem? Tego też nie wiem. Ale wiem, że do waszego telefonu nadal podłączony był magnetofon. Potwierdziła to policja. Gdzie więc podziła się taśma z nagraniem tej ostatniej rozmowy?

– Nie mam pojęcia.

W głosie Lindy zabrzmiała nagle rozwaga.

– Wiesz, Lindo.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Jack mógł zapomnieć, że rozmowa się nagrała – ciągnął. – Ty nie. Kiedy wybiegł z domu, zesłaś do suterenu i odsłuchiłaś taśmę. Nie mówię ci nic nowego. Wiedziałaś, dlaczego kidnaperzy porwali ci dziecko. Wiedziałaś, co zrobił Jack. Wiedziałaś, gdzie lubi chodzić na spacer. I wiedziałaś, że musisz go powstrzymać.

Czekając na odpowiedź, Myron przegapił zjazd, skręcił w następny, zawrócił, znów wjechał na autostradę, odnalazł właściwy zjazd i włączył migacz.

– Jack wziął ze sobą pistolet – przemówiła Linda zbyt spokojnym głosem. – Ja nawet nie wiedziałam, gdzie go trzymał.

Chcąc zachęcić ją do wyznań, Myron lekko skinął głową.

– Masz rację. Po odegraniu taśmy przekonałam się, że Jackowi nie można ufać. On też sobie nie ufał. Nawet w obliczu groźby, że zabiją mu syna, zaliczył osiemnasty dołek. Poszłam za nim. Powiedziałam mu tam, na polu, co myślę. Rozpłakał się. Obiecał, że postara się przegrać. Ale... – zawahała się, ważąc słowa – był jak ten tonący z twojego przykładu.

Myronowi nie udało się przełknąć śliny, miał za sucho w gardle.

– Jack chciał się zabić. Musiał zginąć. Odsłuchiłam taśmę. Słyszałam groźby. I nie miałam wątpliwości: jeżeli wygra, Chad umrze. Wiedziałam coś jeszcze.

Zamilkła i spojrzała na Myrona.

– Co? – spytał.

– Wiedziałam, że wygra. Win miał rację, w jego oczach znów zapłonął ogień. Nie ogień, wielki pożar, nad którym nie mogł zapanować.

– Dlatego go zastrzełaś.

– Chciałam zabrać mu broń. Zranić go. Zranić poważnie. Tak żeby już nie mógł grać. Bałam się, że w przeciwnym razie porywacz będzie więził Chada w nieskończoność. Głos na taśmie brzmiał desperacko. Ale Jack nie oddał pistoletu ani nie mógł mi go wyrwać. Dziwna sytuacja. Nie puszczał i patrzył na mnie. Tak jakby na coś czekał. Położyłam palec na spuście i pociągnęłam – powiedziała całkiem wyraźnie Linda. – Broń nie wypaliła przypadkowo. Miałam nadzieję, że go nie zabiję, tylko poważnie ranie. Strzeliłam. Strzeliłam, żeby ocalić syna. A Jack zginął.

Zamilkła.

– Potem wróciłaś. Po drodze zakopałaś pistolet. Zobaczyłaś mnie w krzakach. Weszłaś do domu i skasowałaś taśmę.

– Tak.

– Dlatego tak szybko wydałaś oświadczenie dla prasy. Policja nie chciała nagłaśniać morderstwa, ty musiałaś je ujawnić. Żeby porywacze dowiedzieli się o śmierci Jacka i wypuścili Chada.

– Miałam wybór: syn albo mąż. – Linda obróciła się twarzą do Myrona. – Co byś zrobił na moim miejscu?

– Nie wiem. Ale wątpię, czybym go zastrzelił.

– „Wątpię”? – powtórzyła ze śmiechem. – Powiedziałeś, że Jack był w stresie, a ja? Nie spałam, roztrzęsiona, wewnętrznie rozdarta, przerażona jak nigdy w życiu i wściekła na męża, że zniweczył szanse syna na sukcesy w naszej ukochanej dyscyplinie sportu. Nie miałam się nad czym zastanawiać, Myron. W grę wchodziło życie mojego dziecka. Musiałam działać.

Skręcili w Ardmore Avenue i minęli w milczeniu Klub Golfowy Merion. Patrzyli przez okno na łagodnie pofałdowane morze zieleni, poprzerywane czystymi, białymi wyspami piasku. Myron przyznał, że to wspaniały widok.

– Wydasz mnie? – spytała Linda, choć znała odpowiedź.

– Nie mogę. Jestem twoim adwokatem – odparł.

– A gdybyś nie był moim adwokatem?

– Nic by to nie zmieniło. Victoria przedstawiłaby tyle uzasadnionych wątpliwości, że wygrałaby sprawę.

– Nie to miałam na myśli.

– Wiem – odparł i zamilkł. Nie doczekała się odpowiedzi.

– Jestem ci obojętna, wiem, ale mówiłam serio. Moje uczucia do ciebie były prawdziwe.

Nie powiedzieli więcej ani słowa. Myron wjechał na podjazd. Policja nie dopuściła mediów. Przed domem czekał Chad. Uśmiechnął się do matki i ruszył ku niej biegiem. Linda otworzyła drzwiczki i wysiadła. Zapewne padli sobie w ramiona, lecz Myron tego nie zobaczył, bo szybko wycofał samochód.

Rozdział 42

Drzwi otworzyła Victoria.

– W sypialni – powiedziała. – Proszę za mną.

– Jak się czuje?

– Dużo spała. Ale aż tak bardzo nie cierpi. Czuwa nad nią pielęgniarka, a w pogotowiu jest kroplówka z morfiny.

Wystrój wnętrza okazał się skromniejszy, nie tak bogaty, jak się Myron spodziewał. Meble i poduszki w jednolitym kolorze. Białe ściany bez nadmiaru ozdób. Sosnowe szafki z wytworami rękodzieła przywiezionymi z wakacji w Azji i Afryce. Od Victorii wiedział, że Cissy Lockwood uwielbiała podróże.

Zatrzymali się w drzwiach. Myron zajął do środka. Matka Wina leżała w łóżku. Znać było po niej wyczerpanie. Nie była w stanie unieść głowy spoczywającej ciężko na poduszce. Do ręki miała podłączoną kroplówkę. Na jego widok zdobyła się na łagodny uśmiech. Też uśmiechnął się w odpowiedzi. Kątem oka zobaczył, że Victoria daje znak pielęgniarce. Pielęgniarka wstała, wyminęła go. Wszedł do środka, drzwi się zamknęły.

Zbliżył się do łóżka. Cissy oddychała z trudem, płytko, jakby powoli się dusiła. Nie wiedział, od czego zacząć. Widział już umierających, ale ich śmierć – odmienna od tej – była gwałtowna i szybka, gaśli od jednego, potężnego podmuchu. Patrzył na umierającą. Życie wyciekało z niej kroplami jak z tego woreczka z kroplówką, światło w oczach przygasało niepostrzeżenie, a ścięgnięta i organy chrzęściły, zżerane przez bezwzględną, obłąkaną, agresywną bestię, która nią zawładnęła. Cissy położyła dłoń na jego dłoni. Uścisk miała zaskakująco mocny. Nie była wychudzona ani blada. Mięśnie wciąż pracowały, a letnia opalenizna zbladła tylko trochę.

– Już wiesz – powiedziała. Skinął głową. Uśmiechnęła się.

– Skąd?

– Na podstawie różnych drobiazgów. Niechęci Victorii do mojego grzebania w przeszłości. Dawnych grzeszków Jacka. Pani uwadze, rzuconej niby od niechcenia, że tamtego dnia Win miał grać w golfa z Jackiem. Przede wszystkim jednak od pani syna. Gdy usłyszał o naszej rozmowie, odparł, że teraz już wiem, dlaczego nie chce mieć nic wspólnego z matką i Jackiem. Dlaczego z panią, mogłem zrozumieć. Ale z Jackiem?

Jej pierś lekko zafalowała. Zamknęła na chwilę oczy.

– Jack zrujnował mi życie – zaczęła. – Dobrze wiem, że był tylko psotnym nastolatkiem. Gorąco mnie przeprosił. Przysiągł, że nie wiedział, iż mój mąż jest w rezydencji. Był pewien, że usłyszę nadchodzącego Wina i ukryje się. „To był żart” – powiedział. Zwykły żart. Nie zmniejsza to jego winy. Przez niego straciłam syna. Musiał ponieść konsekwencje.

Myron skinął głową.

– Zapłaciła pani Lloydowi Rennartowi, żeby przeszkodził Jackowi wygrać tamten turniej.

– Tak. To i tak zbyt mała kara za rozbicie naszej rodziny, ale nic więcej nie mogłam zrobić.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Win. Myron poczuł, że Cissy Lockwood puszcza jego dłoń. Załkała. Nie zawahał się ani chwili. Odwrócił się bez słowa i wyszedł.

Umarła trzy dni później. Win siedział przy niej do końca. Dopiero gdy wydała ostatnie słabe tchnienie, gdy jej piersi przestały wreszcie wznosić się i opadać, a twarz zastygła w maskę – ostatnią, bezkrwistą maskę śmierci – wyszedł na korytarz.

Win spojrzął na czekającego tam Myrona. Twarz miał spokojną i beztroską.

– Nie chciałem, żeby umarła samotnie – powiedział. Myron próbował opanować drżenie.

– Przejdę się.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Win?

Win zatrzymał się.

– Prawdę mówiąc, tak.

– Powiedz co.

Tego dnia zaliczyli w Merion trzydzieści sześć dołków. Tyle samo następnego. A trzeciego dnia Myron zaczął wreszcie załapywać, o co chodzi w tej śmiesznej grze.